

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ALEKSANDER KRAWCZUK**

**SPRAWA  
ALKIBIADESA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Ateńczycy o Alkibiadesie:*

– Powiedzcie najpierw, co myślicie o Alkibiadesie. Bo miasto z trudem na sąd się zbywa!

– A jakież ma zdanie o nim?

Jakie? Tęskni, nienawidzi, pragnie mieć go u siebie!

Ja gardzę obywatelem, który pomóc ojczyźnie nieskory, szkodzić zaś jej chętny. Gdy chodzi o własną korzyść, pomysłów mu nie brak; gdy o dobro państwa, staje bezradny.

– Ja zaś sądzę, że przede wszystkim nie wolno wychowywać lwa w mieście. A skoro już wyrósł tutaj, trzeba mu służyć

(Arystofanes: „Żaby”)

*Alkibiades o sobie:*

– Właśnie wobec tego jednego jedyne człowieka doznaję uczucia, o które nikt by mnie nie posądził: uczucia wstydu. Tak, wstydzę się tylko Sokratesa. Bo wiem doskonale, że kiedy mnie poucza, jak powinienem postępować, nie potrafię odeprzeć jego argumentów. Ale wiem równie dobrze, że skoro od niego odejdę, to znowu przyjmę chętnie wszystkie godności, którymi lud mnie obdarza. Gdy więc po tym spotykam Sokratesa, wstyd mnie ogarnia, bo przecież zgodziłem się z nim, że zbyt wiele we mnie niedostatków, bym mógł się zajmować sprawami państwa

(Platon: „Uczta”)

## TROJA I WYSPA MELOS

Po zdobyciu Troi zwycięzcy wymordowali wszystkich mężczyzn, kobiety zaś i dzieci pogнали w niewolę. Także Andromachę, jeszcze tak niedawno szczęśliwą żonę Hektora, najdzielniejszego z Troja. On sam widział jasno, że miasto musi kiedyś upaść. Toteż nie ukrywał trwoźnych myśli, gdy po raz ostatni rozmawiał z Andromachą.

Spotkał żonę, biegnącą mu naprzeciw, już przy Skajskiej Bramie; bo tędy zamierzał wyjść z Troi na równinę, gdzie bitwa wciąż wrzała. Za panią szła dziewczyna; niosła na ręku dziecko jeszcze maleńkie, ukochanego syna Hektorowego. Sam ojciec zwał go Skamandriosem, ale wszyscy inni dawali mu imię Astyanaksa, czyli Pana Miasta, bo Hektor naj mężniej bronił Ilionu. Uśmiechnął się ojciec; słowem nie przemówił, tylko patrzył na synka. Andromacha płacząc stanęła przy mężu. Za rękę mocno go ujęła i rzekła:

– Najdroższy, zgubi cię twoja odwaga! I nie litujesz się ani nad synkiem maleńkim, ani nade mną nieszczęsną, co wnet będę wdową po tobie! Bo już niedługo zabiją cię Achajowie, kiedy wszyscy razem rzucą się hurmą. A dla mnie lepiej byłoby pod ziemię się zapaść, gdy ciebie nie stanie! Bo wtedy znikąd mi już pociechy, tylko same cierpienia. Nie mam już ani ojca, ani pani matki. Mojego ojca zabił boski Achilles, kiedy zburzył piękne miasto Kilików, Tebę o wysokich wieżach. Zabił Eetiona, ale zbroi z niego nie ściągnął, bo lękał się w swoim sercu to uczynić. Więc spalił go razem z orężem pięknie kowanym, i jeszcze mogiłę mu usypał; a wokół niej nimfy górskie, córki Zeusa, zasadziły wiązy. Siedmiu zaś moich braci, com ich miała w domu, wszyscy w jednym dniu poszli do Hadesu. Zabił ich szybkonogi, boski Achilles, kiedy byli przy powolnych krowach i białych owcach. A matkę moją, co królowała u stóp lesistego Plakosu, aż tutaj przyprowadził, razem z całą zdobyczą. Uwolnił ją później, kiedy wziął okup ogromny, ale potem w domu swego ojca zginęła ona od strzały Artemidy łuczniczki. Więc ty, Hektorze, jesteś mi teraz i ojcem, i matką, i bratem, tyś moim miłym mężem! Zlituj się, zostań tutaj, na wieży, żebyś syna sierotą nie uczynił, a żony wdową! Odpowiedział jej na to Hektor o lśniącym hełmie:

– I ja troskam się o to wszystko, moja żono. Ale wstydzilibym się bardzo i Troja, i Trojanek w długich sukniach, gdybym jak tchórz bitwy unikał. Tego mi serce nie pozwoli, bo zawsze dzielnie walczyłem w pierwszym szeregu Troja; tak bronie wielkiej sławy i ojca, i mojej własnej. Dobrze jednak wiem, w sercu i w duszy, że przyjdzie dzień, w którym zginie święte Illion, i lud Priama, i sam Priam włóczęk niezrównany! Lecz nie tyle boleję nad Trojanami, nad Hekabą i królem Priamem, i nie nad braćmi, choć wielu ich, i to dzielnych, legnie w kurzawie – ile właśnie nad tobą! Weźmie cię, łzami zalaną, któryś z Achajów w spiż zakutych, i będzie to ostatni dzień twojej wolności. Będiesz żyła gdzieś w Argos, tkając dla swej pani. Wodę będziesz nosiła ze źródła, niechętnie, lecz zmusi cię los twardy. A może powie ktoś wówczas, widząc łzy twoje: oto żona Hektora, co był najwaleczniejszy ze wszystkich Troja, kiedy o Ilion wojowano! Tak właśnie może ktoś powie. A w tobie ból znowu odżyje, że nie masz już męża dzielnego, który z niewoli mógłby cię wyrwać. Lecz mnie niech ziemia grobu wpierw przykryje, nim krzyk twój miałbym usłyszeć, kiedy wlec cię będą!

Tak powiedział i ręce wyciągnął do synka. Ale dziecko przytuliło się mocno do piersi piastunki i zaczęło płakać; przestraszył je widok ojca – spiżowy hełm i kita z końskich włosów, co groźnie się chwiała na szczycie. Roześmiał się miły ojciec i matka. Zaraz więc Hektor zdjął hełm z głowy i położył go na ziemi; ucałował synka i na rękę podrzucił, a potem tak się modlił do Zeusa i bogów:

– Zeusie i bogowie wszyscy, dajcie, by syn mój i zyskał jako i ja sławę wśród Troja. Aby siłą znamienity, stał się możnym władcą miasta! I niechby rzekł ktoś o nim, kiedy z bitwy będzie wracał: o wiele on, lepszy od swego ojca! Niech wraca ze skrwawioną zbroją wroga, żeby ucieszyła się matka w sercu swoim!

Rzekł i oddał syna żonie. A ona przez łzy się śmiejąc przytuliła dziecko do piersi. Żałość zdjęła Hektora, gdy to ujrzał, więc ją pogładził i powiedział:

– Najdroższa, nie smuć się tak bardzo w swym sercu! Wbrew przeznaczeniu nikt mnie nie wtrąci do Hadesu! A swego losu nikt z ludzi nie uniknie, skoro już raz się urodził – czy zły to człowiek, czy też dobry. Idź więc do domu i zajmij się swoją pracą, krosnem i kądzielą, dopilnuj też dziewcząt. Bo wojna jest sprawą wszystkich mężczyzn, co urodzili się w Troi, moją zaś przed innymi!

Potem włożył hełm zdobny końską kitą, a miła jego żona poszła w stronę domu, wciąż oglądając się za siebie i łzy gęste roniąc.

\*

Po zdobyciu wyspy Melos Ateńczycy wymordowali wszystkich mężczyzn, kobiety zaś i dzieci sprzedali w niewolę. Stało się to w osiem wieków po upadku Troi, zimą roku 416/5. Ten akt odrażającego ludobójstwa nie był wynikiem samowoli wodzów ani bestialstwa żołnierzy. Wojsko po prostu wykonało rozkaz, który przyszedł z samych Aten. Podstawą prawną tego rozkazu była uchwała ateńskiego zgromadzenia ludowego. Zadecydowało ono spokojnie i po wszechstronnym rozpatrzeniu sprawy: Melijczyków należy wytepić, a wyspę ich zasiedlić kolonistami z Aten.

Wszyscy ateńscy obywatele, członkowie zgromadzenia ludowego, znali dobrze pieśń Homera o pożegnaniu Hektora z Andromachą. Ci, którzy umieli czytać i pisać, znali ją dlatego, że umiejętności tych uczono się właśnie na Homerowych poematach; one to były elementarzem i pierwszym podręcznikiem wszelkiej wiedzy. Ci zaś – bardzo zresztą nieliczni – którzy pozostali analfabetami, nieraz słyszeli recytacje fragmentów „Iliady” w czasie uroczystości religijnych. A jedni i drudzy często oglądali malowidła ilustrujące wielką epopeję; umieszczano je nawet na wazach. Na rynku ateńskim znajdowała się wielka hala zwana Stoa Poikile; był w niej malowany na drzewie ogromny obraz pędzla Polignota (malarz ten uchodził za twórcę nowoczesnego stylu w malarstwie); obraz przedstawiał wydarzenia na gruzach zdobytej Troi, a zwłaszcza los nieszczęsnych branków, wleczonych w niewolę przez butnych zwycięzców.

Nade wszystko jednak przypominały o klęsce Troi utwory dramatyczne. Dwukrotnie w ciągu każdego roku, w okresie zimowych i wiosennych świąt Dionizosa, wystawiano w Atenach kilkanaście dramatów różnych autorów o różnej treści, zwykle jednak mitycznej. Chętnie czerpano wątki utworów z cyklu podań o Troi, bo dzięki Homerowi były one bliskie wszystkim. Tragedia grodu Priama stała się symbolem i prawzorem wszelkich nieszczęść wojny. Toteż ze sceny teatru pod urwistymi skałami Akropolu często płynęły ku widowni przejmujące skargi kobiet, którym okrucieństwo zdobywców odebrało ojczyznę, rodziny, wolność.

W kilka miesięcy po zdobyciu wyspy Melos i po eksterminacji jej ludności Eurypides, dramaturg wówczas bardzo podziwiany, przedstawił w dniach wiosennych świąt Dionizosa roku 415 trzy tragedie. Obrazowały one trzy wielkie chwile w dziejach legendarnej Troi. Pierwsza tragedia przypominała młodość Aleksandra, zwanego też Parysem, jego przygody w lasach góry Ida i w samym mieście. Wszystko to działo się jeszcze przed wyprawą Parysa do Sparty, skąd miał on przywieźć piękną Helenę. Tragedia druga rozgrywała się w kilkanaście lat później, w obozie Achajów pod Troją. Przybyli oni, aby pomścić porwanie Heleny przez

Parysa. Zwiedzeni podstępem chytrego Odysuseusza, skazali na śmierć jednego z najszlachetniejszych swych książąt, Palamedesa. Ale najbardziej wstrząsająca była ostatnia część trylogii, Nosila tytuł „Trojanki”, bo chór jej stanowiły trojańskie kobiety, gnane przez Achajów do niewoli. Z całej trylogii tylko ta tragedia zachowała się do naszych czasów.

Była wśród branek również i Andromacha. Jej mąż zginął, jeszcze przed upadkiem miasta, z ręki Achillesa. Na domiar nieszczęścia Andromacha dostała się przy podziale łupów Neoptolemowi; był to syn Achillesa. A więc miała być nałożnicą człowieka, którego ojciec nie tylko zabił jej męża, lecz jeszcze przez wiele dni pastwił się nad zwłokami; przywiązał je za nogi do rydwanu i włóczył w kurzu po ziemi!

Przed Andromachą, przy której dreptał mały Astyanaks, stanął herold Achajów. Choć ona była niewolnicą, on zaś wysłannikiem zwycięzców, wyglądał na zakłopotanego. Zaczął od usprawiedliwień:

– Daruj mi, żono Hektora, najdzielniejszego niegdyś wśród Trojan! Wbrew woli posłuję. A oto, co każe ci powiedzieć wspólna rada...

Zawahał się, więc zaniepokojona kobieta zapytała go sama:

– Cóż takiego? Złe wróżą twoje pierwsze słowa! Herold zmieszał się jeszcze bardziej:

– Postanowiono, że ten oto chłopiec.. Jak by to rzec...

Przewidując, że rozłączą ją z synkiem, Andromacha odpowiedziała:

– Że nie będzie miał tego samego pana, co i ja? Herold zaprzeczył gwałtownie:

– Nikt z Achajów nie będzie nigdy jego panem! W oczach Andromachy zabłysł promyk nadziei:

– Więc zostanie tutaj, jako ostatnia latorośl Trojan? Bezradny herold wyznał wreszcie po prostu:

– Nie wiem, jak o nieszczęściu powiedzieć ci gładko! Andromacha uśmiechnęła się gorzko:

– Chwałę tę skromność – chyba że jednak kryjesz coś dobrego!

Wreszcie herold zdobył się na odwagę i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Zabiją twego syna. Wiedźże to najgorsze! Potem, głuchy już i na jęki i zawodzenia matki, recytował;

– Bo na wspólnej naradzie Hellenów zwyciężyło zdanie Odysuseusza, który powiedział...

– To straszne, straszne, cierpię ponad miarę!

– Który powiedział, że nie należy wychowywać syna tak dzielnego ojca...

– Oby i jego syna kiedyś to spotkało!

– Więc zrzucą go z murów Troi. I tak się stanie. A ty panuj nad sobą! Dziecka nie trzymaj tak mocno, to nic nie pomoże. Ból musisz znosić szlachetnie. Jesteś bezbronna, nawet nie myśl o sprzeciwie. Upadło twoje miasto, zginął twój mąż, jesteś w mocy obcych. Potrafimy uporać się z jedną niewiastą. Nie próbuj więc walczyć, nie czyn niczego, co by hańbiące było i naganne. I radzę także, żebyś nie rzucała klątw na Achajów. Bo jeśli wypowiesz jakieś słowo, które by rozjątrzyły wojsko, ciało twego syna nie zazna pogrzebu. Nie pozwolą ci nawet płakać nad zmarłym. Jeśli jednak zachowasz milczenie i dzielnie będziesz cierpieć, to nie zostawisz jego zwłok nie pochowanych. A i dla ciebie samej życzliwsi będą Achajowie.

Lecz Andromacha myślała już tylko o swoim synku:

– Dziecko moje najdroższe, nade wszystko kochane! Zabiją cię wrogowie, matkę zostawisz w nieszczęściu! To wielkość twego ojca śmiercią cię karze, ta wielkość, która dla innych była zbawieniem. Jego szlachetność tobie szczęścia nie dała! Przeklęte było moje małżeństwo, przeklęte gody, co mnie przywiodły do domu Hektora! Nie po to urodziłam syna, żeby go mieli zabić Achajowie! On miał panować nad bogatą Azją!

Ty płaczesz, synku? Więc rozumiesz, co cię czeka? Dlaczego rączką tak mocno mnie trzymasz, dlaczego uczepliłeś się sukni? Jesteś jak mała ptaszyna, co tuli się pod skrzydłami matki. Ale Hektor nie weźmie swej włóczni i nie wyjdzie z grobu, żeby cię bronić. Nie ma już

krewnych ojca, nie ma Troi! Runiesz z wysokiej wieży i tak cię życia pozbawią wrogowie okrutni! Małeńkie moje pieścidełko najdroższe! Jak słodkie jest tchnienie twego ciała! A więc na próżno, kiedyś był jeszcze małeństwem w powijakach, moja pierś cię karmiła, na próżno tak się trudziłam i zamęczałam trwożnie! Po raz ostatni ucałuj teraz swoją matkę i przytul się do tej, co cię urodziła! Rączkami obejmij mi szyję i mocno przyłgnij do ust usteczkami!

\*

Kiedy ateńskie zgromadzenie ludowe obradowało, jak postąpić z mieszkańcami wyspy Melos, strateg Alkibiades był gorącym zwolennikiem – a może nawet i autorem – wniosku, by wszystkich mężczyzn wymordować, kobiety zaś i dzieci sprzedać w niewolę. Z wielu względów ze zdaniem Alkibiadesa bardzo się wówczas liczone, choć należał on do najmłodszego pokolenia polityków; zimą roku 416/5 miał lat zaledwie trzydzieści kilka.

Gdy tylko kobiety z wyspy Melos wystawiono na sprzedaż, Alkibiades wziął sobie jedną z dziewcząt; wkrótce urodziła mu ona syna. Ale rok lub dwa przedtem dała mu syna również jego ślubna żona.

Krążyło później po Atenach pisemko, biore ułożył jakiś nieprzejednany wróg młodego polityka. Była tam mowa również i o dziecku, które Alkibiades spłodził z niewolnicą. Autor pamfletu woła:

– Przyszło ono na świat z rodziców, których dzieli nienawiść śmiertelna, bo jedno z nich skrzywdziło drugie w sposób straszliwy. Alkibiades ma syna z kobietą, której zabrał wolność, zamordował ojca i krewnych, zniszczył ojczyznę! A przecież, obywatele Aten, takie wydarzenia budzą w was grozę, gdy oglądacie je na scenie teatru. Kiedy jednak coś podobnego dzieje się przed waszymi oczyma, w waszym mieście, nie przejmujecie się tym zupełnie. Tak, to was nie wzrusza, choć nie potraficie stwierdzić, czy teatralne tragedie odtwarzają rzeczywiste wypadki, czy też są tylko tworem swobodnej fantazji poetów. Dobrze natomiast wiecie, że to, na co pozwolił sobie Alkibiades, jest sprzeczne z wszelkimi prawami – i pozostajecie obojętni!

Trzeba jednak zauważyć, że – wbrew słowom pamphleisty – postępek Alkibiadesa nie był złamaniem żadnej z ustaw ateńskich. Można by co najwyżej mówić o pogwałceniu pewnych zasad ogólnoludzkich, lecz co do tego, czy takie zasady istnieją, zdania były wówczas bardzo podzielone.

Mógłby też odpowiedzieć Alkibiades powołując się na tę samą epopeję Homera, która tak wzruszająco przedstawia pożegnanie Hektora z Andromachą. Kilkakrotnie bowiem wspomina „Iliada” o brance Achillesa, najdzielniejszego bohatera greckiego pod Troją. Miała na imię Bryzeida, Achilles zaś zdobył ją w mieście Lirnessos. Ona sama mówiła o tym:

– Widziałam, jak Achilles zabija ostrym spżem mojego męża pod samymi murami miasta. Zabił także trzech moich ukochanych braci, których ta sama, co i mnie, urodziła matka. Zburzył moje miasto ojczyste.

A jednak Bryzeida kochała swego pana. Odchodziła z płaczem i niechętnie, kiedy na rozkaz króla Agamemnona heroldowie zabierali ją z Achillesowego namiotu. Achilles oddał ją potężniejszemu od siebie królowi, odtąd jednak, rozżalony i rozgniewany, siedział przy swoich okrętach i nie wychodził w pole, by walczyć, choć Trojanie wdzierali się już do obozu.

Ludzie homeryckiego świata uważali, że zdobywca ma święte prawo do kobiet mężczyzny, którego pokonał w walce. Nikt wówczas nie rozumiał, że można z tego powodu czynić komuś zarzuty. W ciągu kilku wieków dokonał się jednak pewien postęp. Dowodzą tego pełne oburzenia słowa pamfletu przeciw Alkibiadesowi:



– Ma syna z kobietą, której zabrał wolność, zamordował ojca i krewnych, zniszczył ojczyznę!

Ale ten postęp w zakresie odczuć i ocen moralnych był .bardzo ograniczony, bo dotyczył tylko postępowania jednostki. W sprawie zaś Melos czemuż by winić wyłącznie Alkibiadesa? Gdyby to nawet on był autorem wniosku dotyczącego eksterminacji ludności tej wyspy (co, wbrew twierdzeniom pamflecisty, wydaje się nieco wątpliwe), to przecież zgromadzenie ludowe miało pełną moc przyjęcia, odrzucenia lub zmodyfikowania projektu każdej ustawy i każdego rozporządzenia! Winni więc byli wszyscy .głosujący za uchwałą w sprawie Melos, czyli kilkanaście tysięcy ateńskich obywateli. Wielu z nich brało potem czynny udział w wykonywaniu jej postanowień.

Zapewne, wiosną roku 415, w czasie świąt Dionizosa, niejeden z widzów w teatrze u stóp Akropolu ze łzami w oczach .słuchał skarg Andromachy, kiedy herold wydzieriał dziecko z jej objęć. Tak, ale też niejeden z tych widzów przed kilku zaledwie miesiącami dobijał na wyspie Melos bezbronnych jeńców, w swoim zaś domu miał niewolnicę lub dziecko, które pozbawił rodziny i ojczyzny, bo głosował za uchwałą lub mieczem wprowadzał ją w życie.

A przecież wszyscy ci ludzie byli wychowani na wielkiej poezji Homera! Wszyscy co roku wzruszali się arcydziełami dramaturgii, które jakżeż przejmująco mówiły o tragizmie człowieczego losu! To wręcz upokarzające: czyżby istotnie nawet najświetniejsza literatura była całkowicie pozbawiona wszelkiego wpływu na kształtowanie ludzkiej psychiki?

A może właśnie mieszkańcy Melos zawinili tak bardzo, że wygasły do szczętu uczucia wyrozumienia w sercach ateńskiego ludu?

## AROGANCJA PRZEMOCY

Jedyną, ale wystarczającą i niewybaczalną winą mieszkańców Melos było to, że po prostu chcieli żyć w spokoju. Pragnęli zachować całkowitą neutralność w krwawej wojnie, która od roku 431 toczyła się pomiędzy dwoma mocarstwami, Atenami i Lacedemonem, i w swój rwący nurt wciągnęła wszystkie państwa Hellady. Wszystkie musiały się opowiedzieć po jednej lub drugiej stronie.

Istniały godne uwagi powody, dla których Melijczycy nie byli skorzy iść za przykładem innych. Owszem, w głębi serc na pewno sympatyzowali z Lacedemonem, bo z ludnością tego kraju łączyły ich związki krwi. Stara tradycja powiadała, że pierwsi osadnicy przybyli na wyspę właśnie z Lacedemonu. Rzeczywiście, w obu krajach mówiono tym samym dialektem greckim. Jednakże Melijczycy bardzo roztropnie odsunęli na bok poczucie pokrewieństwa i argumenty historyczne. Przymierza z Lacedemonem nie zawarli. Byli przecież państwkiem wyspiarskim, a na morzu niepodzielnie panowały Ateny; rozporządzały one potężną flotą, zarówno swoją, jak i Związku Morskiego, któremu od lat przewodziły coraz surowiej.

Wyspa Melos, jedna z archipelagu Sporad, jest niewielka. Wynurzyła się z morza przed tysiącletkami jako wulkan zionący ogniem i lawą. Po wielu wiekach północna krawędź krateru runęła i morze wdarło się do środka. W ten sposób powstała głęboka zatoka, jeden z najlepszych portów naturalnych w całej Helladzie. Swoje miasto zbudowali Melijczycy nad zatoką. Umocnili je murami, aby mieć osłonę w razie niespodziewanego napadu. Ale w latach pokoju ludność zamieszkiwała przeważnie w małych osiedlach rozsianych po wyspie. Ziemia, choć dość skalista, była raczej urodzajna i plon dawała szybko, bo gdzieś z głębin wciąż jeszcze szło ciepło. Była też grota, gdzie tryskało gorące źródło, w wielu zaś miejscach dobywano sól, siarkę i alun.

Melijczycy więc żyli dostatnio, ale bogaci nie byli. Toteż nie jakaś żądza skarbów sprawiła, że już w piątym roku wojny, latem 426, Ateny wysłały na Melos swoje wojska: 60 okrętów wojennych i 2000 hoplitów pod wodzą stratega Nikiasa. Ateńczykom chodziło przede wszystkim o to, by różnymi środkami perswazji przekonać Melijczyków, że przynależność do Związku byłaby dla nich wysoce korzystna. Członkami Związku były prawie wszystkie wyspy – rzekomo dobrowolnie, ale każdą próbę wystąpienia z tej organizacji oraz jakiegokolwiek przejawy nieposłuszeństwa karali Ateńczycy z całą bezwzględnością. Fakt więc, że Melos pozostaje wciąż poza Związkiem, wydawał się Ateńczykom wręcz gorszący; a mógł też mieć groźne konsekwencje polityczne, pokazywał bowiem innym wyspiarzom, że można żyć spokojnie i bezpiecznie, nic sobie nie robiąc ze Związku i z jego przywódcy!

Kiedy eskadra przybiła do wybrzeży wyspy, jej mieszkańcy natychmiast zamknęli się w murach miasta. Przystąpienia do Związku odmówili stanowczo, równocześnie jednak oświadczyli uroczyście, że wrogami Aten nie są i nie będą. Żołnierze spustoszyli całą wyspę, wycięli sady oliwne i winnice, miasta jednak oblegać nie mogli; to wymagałoby sporo czasu, a tymczasem korpus Nikiasa miał inne jeszcze zadania. Okręty więc odplynęły, wyspa pozostała wolna.

Mylili się jednak Melijczycy, jeśli sądzili, że wielkie mocarstwo zapomni o tej upokarzającej porażce i pozostawi ich w spokoju. Co prawda działania wojenne na różnych frontach nie pozwalały Ateńczykom szybko podjąć nowej wyprawy przeciw krnąbrnemu państewku, odkładali więc ekspedycję z roku na rok, zaznaczyli jednak bardzo wyraźnie, że o sprawie Melos pamiętają. W ogłaszanych corocznie spisach członków Związku pomieszczali odtąd tę

wyspę – wbrew jej woli, wbrew faktom! – a nawet określili, jaką ma ona wpłacać daninę do wspólnego skarbcza. Była to danina szczególnie wysoka, bo wynosiła aż 15 talentów.

Wreszcie, po dziesięciu latach, wiosną roku 416, wyruszyła na Melos druga wyprawa ateńska: 38 okrętów i 2000 hoplitów pod wodzą dwóch strategów. Tym razem dowódcy otrzymali wyraźny rozkaz doprowadzenia sprawy do końca. Najpierw spróbowali układow i zastraszenia. Zaraz po wylądowaniu i po rozbiciu obozu wysłali do miasta kilku posłów. Władze nie dopuściły ich jednak przed ogólne zebranie obywateli i rozmowy prowadzono w szczupłym gronie.

\*

Delegacja ateńska stwierdziła z całą otwartością:

– Nie mamy zamiaru wygłaszać tutaj długich przemówień. Nie będziemy też posługiwać się pięknymi słowami. To wszystko i tak by was nie przekonało. Po cóż uzasadniać, że stanowisko przewodnie słusznie nam się należy, bo to my właśnie odparliśmy Persów? I po cóż rozwodzić się nad tym, że musieliśmy obecnie podjąć kroki stanowcze, ponieważ zachowujecie się wobec nas wyzywająco? To wszystko więc pomijamy. Ale zarazem życzymy sobie, byście i wy ze swej strony nie powoływali się na takie na przykład argumenty: Nasi przodkowie przyszli tu: z Lacedemonu, więc nie możemy teraz wspólnie z wami występować przeciw Lacedemonowi! Albo też: Nigdy nie postępowaliśmy wrogo wobec Aten

A więc odsuwamy na bok wszelkie wywody tego rodzaju. Starajmy się natomiast obopólnie osiągnąć to, co jest możliwe do osiągnięcia w granicach zdrowego rozsądku. Powiedzmy sobie jasno to, o czym dobrze wiemy zarówno my, jak i wy sami: w stosunkach międzyludzkich sprawiedliwość tylko wówczas dochodzi do głosu, jeśli siły obu stron są równe. W praktyce bowiem silniejszy zawsze dopnie swego, słabszy zaś musi ustąpić!

Melijczycy odparli:

– Dobrze więc, rozprawiamy nie o tym, co sprawiedliwe, lecz o tym tylko, co korzystne. Musimy zgodzić się na to, skoro założyliście już z góry, że zagadnienie, jakie rozwiązanie byłoby tu sprawiedliwe, nie może być w ogóle przedmiotem debaty. My jednak uważamy właśnie za korzystne, żebyście nie lekceważyli sobie tego, co można określić jako „wspólne dobro”. Chodzi o to:

Kto znajdzie się w groźnym położeniu, powinien mieć prawo odwoływania się do pewnych ogólnych zasad słuszności. I nawet jeśli nie będzie w stanie bronić swej sprawy przy pomocy wszystkich argumentów, to odniesie pewną przynajmniej korzyść, przedstawiając strome przeciwnej swój punkt widzenia. Ostatecznie i dla was przyjęcie takiej zasady może mieć kiedyś jakieś znaczenie: gdyby się bowiem zdarzyło, że poniesiecie klęskę, czeka was straszliwa kara – innym ku przestrodze...

Rzecz dziwna, ta ostatnia uwaga nie uraziła Ateńczyków tak bardzo, jak można by się tego spodziewać. Odpowiedzieli spokojnie:

– Możliwe, że kiedyś załamię się potęgą naszego państwa. Tym jednak nie przejmujemy się zbyt. Jeśli nawet upadniemy, to prawdziwie groźne będzie dla nas nie jakieś mocarstwo, które samo przewodzi innym państwom, jak na przykład Lacedemon (a skoro o tym już mowa, chcielibyśmy zauważyć, że obecnie nie jesteśmy w stanie wojny z Lacedemonem!). Nie, rzeczywiście najbardziej obawiać się musimy własnych poddanych, a więc tych państw, które należą do naszego Związku. Te, gdyby przeciw nam się zwróciły i odniosły zwycięstwo, istotnie mogłyby nie okazać nam żadnej litości. Pozwólcie jednak, że to my sami weźmiemy na siebie ryzyko takiego niebezpieczeństwa! Obecnie zaś chcemy jasno postawić sprawę: jesteśmy tutaj, bo mamy na oku przede wszystkim własną korzyść, prowadzimy zaś te rokowania, bo jednak życzymy sobie, aby wasze państwo ocalało. Po prostu: naszym celem

jest zawładnięcie wami możliwie bez wysiłku, ale równocześnie uważamy za korzystne dla obu stron, abyście utrzymali swój byt państwowy.

Przedstawiciele Melijczyków zapytali ironicznie:

– W jakiz to sposób korzyść będzie obustronna, skoro my mamy służyć, wy zaś panować? Ateńczycy wyjaśnili:

– Korzyść polegałaby na tym: na was nie spadną najgorsze nieszczęścia, będziecie tylko naszymi poddanymi; my zaś też trochę zyskamy, jeśli was nie zniszczymy. Melijczycy wysunęli inną propozycję:

– A czy nie byłoby słuszne takie rozwiązanie: my będziemy żyć w pokoju, nie jako wasi wrogowie, lecz jako przyjaciele, choć nie związani przymierzem z żadną ze stron wojujących?

Ateńczycy odpowiedzieli pogardliwie:

– Wasza nienawiść nie przynosi nam tyle szkody, ile przynieść by mogła przyjaźń. Podległe nam państwa wnet by uznały, że tolerujemy waszą neutralną przyjaźń z konieczności, bo nie możemy złamać was siłą. Wiadomo przecież, że tylko te państwa zachowują niezależność, których nikt nie chce zaczepiać!

Mimo brutalnej szczerości Ateńczyków Melijczycy nie rezygnowali w dalszym toku rozmowy z prób ich przekonania. Wywodzili więc:

– Czy jednak właśnie pozostawienie nas w spokoju w gruncie rzeczy nie sprzyjałoby waszemu bezpieczeństwu? Przecież są jeszcze w Helladzie państwa neutralne! Kiedy ujrzą, jak z nami postępujecie, z pewnością dojdą do wniosku, że i one staną się później ofiarą agresji. Jakżeż więc postąpią? Przechylą się na stronę waszych nieprzyjaciół. Powiększą ich liczbę, i to właściwie wbrew swej woli, wbrew temu, że obecnie takich zamiarów nie mają!

Lecz i ten argument potraktowali Ateńczycy bardzo lekceważąco. Stwierdzili, że nie obawiają się neutralnych państw na lądzie stałym. Muszą natomiast pilnie baczyć na wyspiarzy – zarówno na jeszcze niezależnych, a więc na Melos, jak i na tych, którzy weszli w skład Związku, ale znoszą to bardzo niechętnie.

Melijczycy starali się uprzytomnić swoim rozmówcom, że właściwie nie mają wyboru i muszą się bronić:

– Wy gotowi jesteście ważyć się na wszystko – byle utrzymać swoje mocarstwowe stanowisko. Państwa waszego Związku również – byle zrzucić waszą władzę. My jeszcze jesteśmy wolni. Byłoby więc chyba przejawem haniebnego tchórzostwa z naszej strony, gdybyśmy nie walczyli o tę niepodległość – również bez względu na wszystko!

Ateńczycy wydrwili te słowa jako sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem:

– Przecież to nie są zawody o sławę dzielności pomiędzy partnerami o równych siłach! O jakąż hańbę tu chodzi? Trzeba wam myśleć o tym tylko, jak się uratować, czyli po prostu o tym, by nie przeciwstawiać się potędze znacznie od was możniejszej!

Jednakże Melijczycy byli zdania, że poddać się, to znaczy z góry rezygnować z wszystkiego, walka natomiast daje jeszcze jakąś nadzieję ratunku. Pokładali przy tym ufność zarówno w bogu – jako że walczyć będą w obronie słusznej sprawy przeciw napastnikowi – jak i w Lacedemonie.

Ateńczycy oświadczyli na to, że i oni pokładają nadzieję w boskiej opiece. Bo przecież jest przyrodnym prawem bogów i ludzi, że silniejsi rządzą słabszymi! Usiłowali też rozwiać złudzenia Melijczyków, że Lacedemen przyjdzie im z pomocą. Mówili:

– Tym państwem zawsze powoduje ciasny egoizm, a na morzu nie może ono równać się z nami!

\*

Rozmowy nie dały żadnych wyników, co zresztą było z góry do przewidzenia. Cóż to bowiem za dialog – słabego z silnym? Jediną korzyścią dla słabego bywa niekiedy zysk na czasie, ceną jednak jest zawsze upokorzenie.

Tak więc wiosną roku 416 rozpoczęło się oblężenie miasta na wyspie Melos. Ateńskie przewidywania spełniły się całkowicie. Choć Melijczycy bronili się prawie rok, do zimy 416/5, Lacedemon nie pospieszył im z pomocą. A przecież wyspa leżała niezbyt daleko od wschodnich wybrzeży Peloponezu. Przy dobrej woli znalazłoby się sporo okrętów transportowych i wojennych, jakkolwiek potęgą morską Lacedemon istotnie nie był. Pomóc Melijczykom było tym łatwiej, że zaraz po zbudowaniu fortyfikacji wokół miasta Ateńczycy wycofali część swych okrętów i żołnierzy. Na wyspie pozostawili tylko tyle wojsk, żeby uniemożliwić obleganym zaopatrywanie się w żywność. O tym bowiem, by zdobywać mury szturmem, Ateńczycy nawet nie myśleli, jako że takie walki pochłonyłyby wiele ofiar w ludziach.

Sami Melijczycy nie siedzieli beczynnienie i dobrze wyzyskiwali wszystkie sposoby. Dwukrotnie dokonali śmiałych i udanych wypadów na straże ateńskie. Wypiarze walczyli bohatersko, ale ich położenie z każdym miesiącem stawało się gorsze, wręcz beznadziejne. Odsiecz, tak wyczekiwana, nie nadchodziła. Srożył się głód. Mnożyły się wypadki zdrady. Potem, już jesienią roku 416, przybyły nowe wojska ateńskie. Miasto musiało skapitulować. Zdało się na łaskę i niełaskę ateńskiego ludu, ale ten wobec słabych był zawsze niełaskawy; toteż i tym razem wydał wyrok śmierci.

Strateg Alkibiades nie brał w ogóle udziału w operacjach wojskowych przeciw wyspie. Miał wówczas inne zadania do spełnienia, może i ważniejsze. Było więc bardzo znamienne, że w czasie obrad zgromadzenia ludowego nad losami ludności Melos Alkibiades zajął się tą sprawą z taką namiętnością i tak mściwie. Nie, osobiście nie żywił on do Melijczyków żadnej nienawiści, nigdy nie uczynili mu nic złego.

Młody strateg miał jednak swoje powody, by domagać się przykładowego ukarania opornych.

Po wykonaniu wyroku, to jest po wymordowaniu mężczyzn oraz po wywiezieniu dzieci i kobiet, Ateńczycy wysłali na Melos około pięciuset rodzin swoich obywateli. Chodziło nie tyle o to, żeby wyspa nie stała się całkowitą pustynią, ile raczej o utrzymanie w tym dogodnym punkcie zawsze wiernej straży.

W ten sposób na przykładzie wyspy Melos objawiło się raz jeszcze działanie owego prawa, które wysłannicy ateńscy przypomnieli w czasie rozmów, przed oblężeniem:

– Jest przyrodzonym prawem boskim i ludzkim, że silniejsi mają rządzić słabymi!

Ci, którzy wobec Melijczyków tak sformułowali to prawo, powtórzyli tylko pogląd szeroko wówczas głoszony w samych Atenach.

## FILOZOFOWIE I PRAWO SIŁY

Kallikles jest postacią zagadkową. Czy istotnie żył w Atenach, w czasach wojny z Lacedemonem, człowiek tego imienia – czy też jest to postać całkowicie fikcyjna, wymyślona przez Platona? Występuje bowiem tylko w jednym jedynym dialogu tego filozofa, w „Gorgiaszu”. Poza tym nie wspomina o nim żadne współczesne źródło. Za to jakże wyraźnie i barwnie rysuje się ów Platonowy Kallikles! Z jaką swadą przemawia! Jest zresztą w dialogu wiele szczegółowych danych o jego osobie: do której należał gminy, jakich miał przyjaciół, w kim się kochał. Przedmiotem westchnień Kalliklesa był młody chłopiec imieniem Demos, czyli Lud; ów Demos spowinowacił się później z rodziną Platona.

Może więc Platon uwiecznił w swym dialogu człowieka, którego rzeczywiście znał – lub o którym słyszał – w latach swej wczesnej młodości? Jest to tym bardziej prawdopodobne, że raczej unikał wprowadzania do swych utworów postaci zrodzonych w wyobraźni.

Jeśli jednak wypadnie się zgodzić, że istniał człowiek imieniem Kallikles, to jeszcze nie wynika stąd, by miał on głosić takie poglądy, jakie reprezentuje w dialogu „Gorgiasz”. Są podejrzenia, że Kallikles to tylko maska. Platon, być może, włożył mu w usta słowa, które w rzeczywistości wyrzec by powinien ktoś inny. W Platonowym dialogu Sokrates mówi w pewnym momencie do Kalliklesa:

– My dwaj mamy po dwa przedmioty miłości: ja Alkibiadesa i filozofię, ty zaś demos i Demosa!

Był więc Kallikles demokratą i zabiegał o względy ateńskiego ludu tak samo, jak o łaski młodego chłopca. W innym miejscu tego samego dialogu Sokrates ostrzega Kalliklesa:

– Jeśli nie będziesz miał się na baczności, lud tego miasta zwróci się kiedyś przeciw tobie, a także przeciw Alkibiadesowi – choćbyście nawet naprawdę nie byli winni nieszczęść, które przyjdą, lecz tylko współwinni!

Z jakiejże to jednak racji można było w ogóle mówić o ewentualności współwiny? Chyba tylko ze względu na podobieństwo poglądów i działalności politycznej obu młodych ludzi.

W rozmowie z Sokratesem Kallikles wyłożył swoje teorie w sposób może niezbyt gładki, bo uporczywie powtarzał wciąż te same słowa, myśli i określenia, ale za to jasno i szczerze:

– Ja sądzę, że ci, co ustanawiają prawa, to ludzie słabi. A więc tacy, jakich jest mnóstwo. Oni to wprowadzają ustawy i określają, za co należy się pochwała, a za co nagana, siebie samych tylko mając na oku i własną korzyść. Czego zaś obawiają się przede wszystkim? Tego oczywiście, żeby ludzie mocni i zaradni nie posiadli więcej, niż mają oni sami. Dlatego to utrzymują, że zachłanność to coś wstrętnego i niesprawiedliwego. I że krzywdzenie na tym właśnie polega, że ktoś chce mieć więcej od innych. Bo oni sami, jak sądzę, są całkowicie zadowoleni, kiedy posiadają tyle tylko, co inni. Nic dziwnego, skoro są tacy niezaradni!

Dlatego to uznaje się powszechnie, że kto chce mieć więcej niż inni, postępuje niesprawiedliwie i haniebnie. Nazywa się to krzywdzeniem bliźnich. A tymczasem, moim zdaniem, sama przyroda wskazuje, że właśnie sprawiedliwie byłoby, żeby jednostki lepsze miały więcej niż marne, silniejsze zaś więcej niż słabe. Objawia to przyroda w bardzo wielu dziedzinach. Tak przecież jest wśród zwierząt. A jeśli chodzi o ludzi, to właśnie na tej zasadzie układają się stosunki pomiędzy całymi państwami i szczepami. Wszędzie tam uważa się za sprawiedliwe, żeby silniejszy panował nad słabym. Bo i na jakąż to sprawiedliwość powoływał się Kserkses, kiedy zbrojnie szedł na Helladę? Albo ojciec jego, Dariusz, kiedy wyprawiał się na Scytów? Można by przytoczyć niezliczoną ilość podobnych przykładów. Moim zdaniem tacy ludzie postępują zgodnie z samą istotą sprawiedliwości. Na Zeusa, postępują zgodnie z pra-

wem! Oczywiście, nie z tym, które my ustanawiamy, lecz z prawem natury. A co natomiast my czynimy? Kształtujemy według tego naszego prawa jednostki najlepsze i najenergiczniejsze. Bierzymy je już za młodu, jak lwiątko. Poddajemy je urokowi zamawiań i czarów. Wychowujemy je na niewolników. Bo wmawiamy im, że należy posiadać tyle tylko, ile mają inni, i że to właśnie jest rzeczą piękną i sprawiedliwą! Zdarza się jednak czasem człowiek, który ma odpowiedni charakter. Ten wszystko strząsa z siebie i wszystko rozrywa. Z pogardą depce te nasze formuły, sztuczki, zamawiania, wszystkie te prawa przeciwne naturze! Wstaje oto i jako pan nasz się objawia – on, co był dotąd niewolnikiem! Wtedy dopiero może zająśnić owa sprawiedliwość zgodna z naturą!

W toku dalszej dysputy Kallikles raz jeszcze obszernie przedstawił swoje poglądy:

– Jak może być szczęśliwy człowiek, który służy czemukolwiek? Ja wciąż ci wskazuję, i to z całą szczerością, na czym polega piękno i sprawiedliwość zgodne z naturą; kto chce żyć szczęśliwie, musi pozwolić swoim pragnieniom, żeby rozwijały się jak najbujniej. Tłumić ich nie wolno! A kiedy już będą ogromne, trzeba umieć je zaspokoić przy pomocy męstwa i rozumu. Trzeba też umieć napęlić się do syta wszystkim, ku czemu tylko zwróci się pragnienie. A właśnie tego, moim zdaniem, większość ludzi nie potrafi. Dlatego to owa większość gani tych, co potrafią. Gani wstydem powodowana, bo w ten sposób maskuje swoją własną niezaradność. Powiada się więc, że brzydka to rzecz nie panować nad swymi pragnieniami; tej niewolniczej moralności uczy się nawet takich ludzi, którzy mają lepsze właściwości wrodzone. O tym już mówiłem. Ci, którzy sami nie potrafią zaspokoić swych pragnień, wychwalają powściągliwość i sprawiedliwość. Czynią tak właśnie dlatego, że brak im odwagi. Weźmy jednak synów królewskich! Albo ludzi, którzy sami zdobyli władzę tyrańską lub weszli w skład tyrańskiego rządu! Prawdę mówiąc, cóż mogłoby być dla nich haniebniejszego i gorszego od powodowania się powściągliwością i sprawiedliwością? Po cóż mieliby sami ograniczać się prawem, rozumowaniem i naganami, które obowiązują większość ludzi? Przecież właśnie to uczyniłoby ich nieszczęśliwymi! Choćby dlatego, że nie mogliby dać swoim przyjaciółom więcej niż wrogom – i to samowładnie rządząc całym państwem. Prawda, której ty, Sokratesie, rzekomo poszukujesz, brzmi po prostu tak: rozkoszne życie, niekrepowanie się niczym, pełna wolność – jeśli tylko istnieją po temu podstawy – to jest właśnie cnota i szczęście! A wszystko inne to tylko piękne słówka, to sprzeczne z ludzką naturą konwenanse, to głupie gadanie i bzdura!

\*

Kallikles urodził się w Atenach i był obywatelem ateńskim. Natomiast Trazymach pochodził z daleka, bo aż z Chalcedonu; było to bogate miasto, położone naprzeciw Bizantion i razem z nim strzegące wejścia do Morza Czarnego. Chalcedon należał do Związku Morskiego, był więc z Atenami sprzymierzony, a raczej, mówiąc ściśle, był im tak samo poddany, jak wszystkie inne miasta Związku. Ponieważ Trazymach nie posiadał obywatelstwa ateńskiego, można by się spodziewać, że potrafi on zrozumieć położenie słabych; można by oczekiwać, że będzie występował w obronie sprawiedliwości i pokrzywdzonych. Jednakże większą część swego życia Trazymach spędził właśnie w Atenach, toteż przynajmniej z ducha czuł się pełnoprawnym obywatelem tego miasta. Dla słabych miał tylko pogardę. Jego poglądy właściwie niczym się nie różniły od Kalliklesowych, jeśli wolno wierzyć Platonowi. Na pewno znał on Trazymacha osobiście, w pierwszej zaś księdze „Rzeczypospolitej” włożył mu w usta takie słowa:

– Tobie wydaje się, mój Sokratesie, że pasterze owiec lub wołów troszczą się o dobro właśnie owiec lub wołów, że tuczą te zwierzęta i dbają o nie dla nich samych, że w ogóle chodzi pasterzom o cośkolwiek innego poza korzyścią swoją i posiadaczy! Tak samo wydaje ci się,

że ci, co rządzą państwami – oczywiście mam na myśli tych, którzy rządzą naprawdę – inaczej patrzą na rządzonych, niż właściciel patrzy na swoje bydło. Wyobrażasz sobie, że władcy dzień i noc myślą jeszcze o czymś poza tym jednym: jaką by największą korzyść wycisnąć ze swych rządów! Zaiste, posunąłeś się już bardzo daleko w swojej wiedzy zarówno o tym, co słuszne i sprawiedliwe, jak i o tym, co niesłuszne i niesprawiedliwe! Ale nawet na myśl ci nie przyjdzie, że słuszność i sprawiedliwość to rzeczywiście dobro – tyle że cudze dobro! Bo jest nim po prostu to wszystko, co przynosi korzyść silnemu i rządzącemu. Natomiast słaby i rządzony otrzymuje jako swoje tylko krzywdę! Z niesprawiedliwością natomiast rzecz ma się przeciwnie: ona naprawdę włada wszystkimi pocziwcami i sprawiedliwymi. Rządzeni czynią dla swego pana, czyli dla tego, który jest od nich silniejszy, wszystko, co mu korzyść przynosi. Służąc mu czynią go szczęśliwym, siebie zaś ani trochę!

Całe to zagadnienie rozważyć musisz, mój pocziwy Sokratesie, w ten sposób:

Człowiek uczciwy zawsze ma mniej od nieuczciwego. Przede wszystkim w różnych spółkach. Jeśli dwóch ludzi prowadzi jakiś interes, to nigdy się z tym nie spotkasz, żeby po rozwiązaniu spółki uczciwy miał więcej od nieuczciwego; zawsze wychodzi na tym gorzej. Tak samo w stosunkach z państwem. Jeśli trzeba coś złożyć na rzecz państwa, to z równego majątku uczciwy zawsze da więcej, nieuczciwy zaś mniej. A kiedy znowu od państwa można coś zyskać, to uczciwy i tak niczego nie dostanie, nieuczciwy zaś zarobi, i to sporo. Albo weźmy sprawowanie jakiegoś urzędu! Uczciwy, żeby już nie mówić o różnych innych stratach, jakie poniesie piastując godności państwowe, na pewno ucierpi na majątku, bo nie będzie miał czasu należycie chodzić koło swoich spraw domowych. Z państwowych środków, oczywiście, nic nie zaczerpnie, bo przecież jest uczciwy! Co więcej, znenawidzą go wszyscy krewni i znajomi, bo w niczym nie zechce im pomóc, jako że byłoby to wbrew sprawiedliwości. Tymczasem nieuczciwemu wszystko to ułoży się inaczej. Rzecz jasna, mówię wciąż o takim człowieku, który potrafi zagarnąć dużo. Jego to miej przed oczyma, jeśli chcesz osądzić, o ile korzystniejsza jest niesprawiedliwość od sprawiedliwości!

Ale najlepiej to zrozumiesz, jeśli rozważysz niesprawiedliwość doskonałą, to znaczy taką, która krzywdzącemu zapewnia szczęście, krzywdzonych zaś strąca na samo dno cierpienia. Otóż taką doskonałą formą niesprawiedliwości jest tyrania. Zagarnia ona cudzą własność nie po trochu, lecz od razu wszystko — zarówno podstępem, jak siłą, tak samo własność bogów, jak świecką, tak samo prywatną, jak państwową. A tymczasem gdyby kogoś przyłapano, że dopuszcza się choćby jednego z tych przestępstw, spadłaby nań surowa kara i głęboka pogarda. Bo przecież tacy właśnie otrzymują miano świętokradców, rozbójników, włamywaczy, złodziei! Ale jeśli ktoś zabierze majątki wszystkich obywateli, a prócz tego ich samych schwyci twardą ręką i w niewolników obróci, to zamiast tamtych wszystkich szpetnych wyzwisk spotka się z uwielbieniem, nazwą go szczęśliwcem! Tak będą o nim mówić nie tylko obywatele jego państwa, lecz i ludzie obcy, skoro tylko się dowiedzą, jakich to dopuścił się zbrodni! Rzecz bowiem polega na tym: ci, co atakują niesprawiedliwość, czynią to nie dlatego, żeby sami nie chcieli popełniać niesprawiedliwości, lecz po prostu dlatego, że lękają się, by nie padli jej ofiarą!

\*

Alte i w ateńskim teatrze można było wówczas usłyszeć słowa, które swoją treścią bynajmniej nie odbiegały od poglądów Kalliklesa i Trazymacha. W jednym z dramatów Eurypidesa któraś z osób mówiła:

– I któż tu jeszcze śmie twierdzić, że istnieją bogowie w niebiosach? Nie ma ich, nie ma – chyba że ktoś, jak głupiec, koniecznie pragnie wierzyć starymu podaniu! Zresztą rozważcie to sami. Nie opierajcie swego sądu na moich tylko słowach! Tyran morduje tysiące ludzi, wy-



zuwa ich z majątków, łamie wszelkie układy, podbija i niszczy sąsiednie miasta. Tak czyni – i szczęśliwszy jest od tych wszystkich, co. każdy dzień spędzają pobożnie i spokojnie. Wiem też, że kwitnęły niegdyś miasta, co bogów czciły kornie – dziś zaś z czegoż są znane? Z tego tylko, że padły ofiarą miast innych, które postępowały wprawdzie bezbożnie, ale były potężne i miały więcej włóczni!

Tak właśnie – „świętym miastem”, o czym słuchacze Eurypidesa dobrze wiedzieli, nazywano Troję. W starych pieśniach epicznych sam Zeus, ojciec bogów i ludzi, przyznawał, że miłuje jej władcę jak nikogo z królów na szerokiej ziemi. A mimo to runęło miasto Priama, najeźdźcy zburzyli je do fundamentów. Zapewne, nie było ono bez winy, jeśli wierzyć mitom i dawnej poezji. Czymże jednak zawiniła mała wysepka Melos? Potężna ojczyzna Eurypidesa zdruzgotała spokojny byt jej mieszkańców tylko dlatego, że naprawdę pragnęli oni żyć w przyjaźni z wszystkimi.

Dramat nosił tytuł „Bellerofontes”. Nie zachował się do naszych czasów, znane są tylko pewne jego fragmenty, jak ów przytoczony. Wolno jednak przypuszczać, że w dalszych scenach sztuki ktoś polemizował z poglądami ateisty. Tak samo .zresztą w dialogach Platona Sokrates wykazuje, że zarówno Kallikles, jak i Trazymach właściwie sami niezbyt zdają sobie sprawę z tego, co mówią; bo myśli ich, konsekwentnie rozwinięte, prowadzą po prostu do niedorzeczności.

Jest rzeczą bardzo znamioną, jeśli w jakiejś społeczności, w pewnym okresie jej rozwoju, .mnożą się, rozważania o „prawie silniejszego”. A cóż dopiero rzecz o jego pochwałach? Powoływali się na to prawo ateńscy posłowie w trakcie rozmów z rządem Melos. Wynosił je pod niebiosa, nazywając po prostu „prawem natury”, zarówno filozof-amator Kallikles, jak zawodowy nauczyciel wymowy Trazymach. A w dramacie subtelny poeta Eurypidesa znalazła się myśl, że to ono panuje, a nie bogowie!

Ponad wszelką wątpliwość były to poglądy bardzo żywo wówczas odczuwane i wciąż omawiane. Weszły już w krwiobieg społecznego myślenia. Argumenty zaś tych, którzy propagowali „prawo silniejszego”, wypowiedane z pasją i bezkompromisową szczerością, trafiły wielu młodym ludziom bardziej do przekonania, niż mdłe wywody obrońców moralności tradycyjnej.

Platon twierdzi z naciskiem, że jego mistrz Sokrates był nieprzejednanym przeciwnikiem wszystkich, chwalców „prawa natury”. Rzekomo w każdym starciu przygwałdzał ich logiką, kpina, szyderstwem. Widocznie jednak te Sokratesowe argumenty nie były zbyt celne i palące. Bo oto właśnie wokół Sokratesa wciąż skupiali się ludzie, którzy jeśli nawet nie sławili wprost „prawa natury”, to w swoim życiu wiernie postępowali według jego przykazań. Z niektórymi spośród owych młodzieńców łączył Sokratesa przedziwny stosunek uczuciowy – tak dziwny, że nawet współczesnym trudno było orzec, kto jest pod którym urokiem. Tak właśnie było z Alkibiadesem. On sam mówił o tym bardzo otwarcie w czasie pewnego przyjęcia, na którym obaj spotkali się przypadkowo.

## UCZTA

Niespodziewanie rozległo się pukanie do bramy, bardzo hałaśliwe. Wydawało się, że do-  
bija się banda pijaków; z ulicy dochodziły też dźwięki fletu. Agaton krzyknął na służbę:

– Chłopcy, popatrzcie szybko, co się tam dzieje! Poproście ich do środka, jeśli to znajomi.  
Ale gdyby to byli jacyś ludzie obcy, to powiedzcie, że już nie pijemy i teraz odpoczywamy!

Zaraz potem dał się słyszeć z podwórza donośny, głos człowieka, który widać dobrze sobie  
podpił. Głos ten znali tu wszyscy. To krzyczał, z pijackim uporem, Alkibiades:

– Gdzie jest Agaton? Prowadźcie mnie do Agatona!

Chwiał się na nogach, więc podparła go fletnistka i jeszcze jacyś tam ludzie z tego towa-  
rzystwa, z którym tu przyszedł. Tak go podprowadzili i postawili, w progu sali. Na głowie  
miał gęsty wieniec z bluszczu i fiołków, zdobny całym mnóstwem kolorowych wstążek.  
Młody człowiek, podpierany i uwieńczony stał w drzwiach i przemawiał:

– Panowie, witajcie! Powiedzcie, jak będzie! Przyjmiecie do towarzystwa kogoś bardzo  
pijanego, czy też mamy iść sobie dalej? Ale najpierw, tak czy owak, uwieńczymy tego oto  
Agatona, bośmy po to właśnie tutaj przyszli! Wczoraj nie mogłem, naprawdę nie mogłem, ale  
dzisiaj przychodzę. A na głowie mam wstążki. Po co mam te wstążki? Bo chcę wprost z mo-  
jej głowy uwieńczyć tego człowieka, co taki jest mądry i taki przystojny. Rozejrzał się po sali  
i dalej ciągnął:

– A może będziecie śmiać się ze mnie, że sobie podpił? Ale ja i tak wiem, że mówię  
prawdę. Tylko mi zaraz powiedzcie: mam wejść czy nie? Pijemy wszyscy albo nie pijemy?

Zakrzyknęli wszyscy, żeby wchodził i zajął jedno z miejsc. Agaton też go zaprosił. Więc  
on wszedł do środka prowadzony przez tych ludzi, a wstążki uniósł do góry, żeby nimi  
uwieńczyć Agatona; zasłaniały mu oczy, nie dostrzegł więc Sokratesa. Usiadł pomiędzy nim i  
Agatonem, bo Sokrates, jak tylko go zobaczył, odsunął się nieco na bok i zostawił wolne  
miejsce. Alkibiades uściskał Agatona i wieniec mu nałożył; ten zaś powiedział:

– Chłopcy, zdejmijcie mu Obuwie! Będzie tu leżał jako trzeci!

– Doskonale – rzekł Alkibiades – ale kto jest tutaj trzeci?

Mówiąc te słowa odwrócił się i zobaczył Sokratesa. Skoczył na równe nogi i krzyknął:

– Heraklesie, a cóż to znowu? Przecież to Sokrates! Znowu na mnie polujesz? Zawsze tam  
jesteś, gdzie ja bym najmniej się spodziewałem! A teraz po co tu przyszedłeś? I czemu tutaj le-  
żysz, a nie przy Arystofanesie lub przy innym jakimś wesołku i dowcipnisiu? Wszystko tak  
urządziłeś, żeby się położyć przy tym, co tutaj najprzystojniejszy!

Na to Sokrates:

– Agatonie, chyba będziesz mnie bronił? Bo odkąd się w nim zakochałem, już mi nie wol-  
no ani spojrzeć na kogoś przystojnego, ani porozmawiać z kimkolwiek. Ten człowiek tak jest  
o mnie zazdrosny, ale i zawistny, że przedziwne rzeczy wyprawia! Wymyśla mi i mało nie  
bije. Uważaj więc, żeby i teraz nie zrobił sceny. A najlepiej by było, żebyś nas pogodził. Lecz  
broń mnie, gdyby on chciał użyć siły! Bo ja strasznie się boję jego szału i pożądlivosti!

Przerwał mu Alkibiades:

– Nie może być pokoju pomiędzy nami! Ale ukarzę cię później. A teraz, Agatonie, daj mi  
trochę wstążek, żebym uwieńczył i tę dziwną głowę. Bo później jeszcze by mi przygad-  
wał, że ciebie uwieńczyłem, a jego nie, choć zwycięża słowem wszystkich ludzi, i to zawsze,  
nie tylko jeden raz, jak ty przedwczoraj!

Niepotrzebnie usprawiedliwiał się Alkibiades, że poprzedniego dnia nie mógł przyjść na ucztę. Co prawda, uroczyste przyjęcie odbyło się właśnie wtedy, uświetniając składanie przez Agatona dziękczynnych ofiar bogom nieśmiertelnym. Dziękował im gospodarz domu za to, że jego tragedię odznaczono pierwszą nagrodą w czasie trwających właśnie zimowych świąt Dionizosa; a był to, według naszej rachuby czasu, sam początek roku 416. Jednakże ta pierwsza uczta miała charakter poważny i oficjalny, bo zaszczyściło ją swym udziałem wielu dostojników. Toteż co bliżsi znajomi Agatona nie zjawili się na niej, przyjęli natomiast zaproszenie na dzień następny. Tak postąpił również Sokrates. Udając się na Agatonowe przyjęcie wziął nawet kąpiel (czego widać nie czynił tak często) i przywdział sandały; zwykle bowiem chodził boso.

Agaton był szczęśliwy, że jego poetyckie zamiłowania znalazły życzliwy oddźwięk i uznanie sędziów. Był przecież twórcą śmiałym i awangardowym. Tak na przykład, wbrew dotychczasowej tradycji, pieśni chóru w jego dramatach nie były związane z akcją i stanowiły zupełnie samoistne intermezza; już w tym widziano nowość godną uwagi. A co powiedzieć o języku i stylu utworów Agatona? O tym lubowaniu się w błyskotliwych, zręcznych zwrotach? Jak choćby to, które poszło niemal w przysłowie:

„Prawdopodobnie wiele się dzieje wbrew prawdopodobieństwu!”

Były też inne powody, dla których Agaton słusznie mógł się czuć bardzo zadowolonym. Przede wszystkim osiągnął zaszczytne zwycięstwo poetyckie dość młodo, bo liczył lat zaledwie trzydzieści. Dalej, był bardzo zamożny i naprawdę przystojny, może nawet zbyt przystojny, bo niemal kobieco urodziwy. „Piękny, białutki, gładko wygolony, wdzięczny, niewieścio-głosy, powabnej postaci” – tak pisał o nim później jeden z gości obecnych na tym przyjęciu, Arystofanes. Ten bezczelnie złośliwy komediopisarz wprowadził w jednym ze swoich utworów Agatona przyodzianego w kobiece szatki i tak to tłumaczącego:

– Ubieram się zgodnie z moim obecnym usposobieniem. Bo wypada, żeby obyczaje poety odpowiadały dramatom, nad którymi pracuje. Więc jeśli ktoś układa dramaty niewieście, to i ciało powinno się przeistoczyć! A zresztą widok to niemiły – poeta nieokrzesany i zarośnięty!

Właśnie ta sława Agatonowej urody sprawiła, że Alkibiades pozwolił sobie na żarcik, kiedy spostrzegł, że Sokrates ma miejsce obok gospodarza:

– Wszystko tak urządziłeś, żeby się położyć przy tym, który tutaj najprzystojniejszy!

Nie sposób powtarzać tych wszystkich złośliwości, na jakie Arystofanes pozwalał sobie wobec Agatona, bezlitośnie wyszydając jego rzekomą zniewieściałość. W gruncie rzeczy były to jednak tylko niewinne porachunki pomiędzy poetami tego samego pokolenia; bo Arystofanes był starszy od Agatona zaledwie o dwa lub trzy lata. Co prawda, właśnie on powinien był okazywać więcej życzliwości rówieśnikowi, sam bowiem zaczął zbierać pierwsze nagrody za swoje komedie znacznie wcześniej, licząc lat niewiele ponad dwadzieścia!

Na owym drugim przyjęciu u Agatona było w ogóle sporo młodych ludzi z tego pokolenia. Ale przyszło, też kilku poważniejszych wiekiem przyjaciół młodzieży, jak choćby Sokrates; ten, dobrze już po pięćdziesiątce, mógł być być ojcem niejednego z obecnych – także Alkibiadesa.

Była pewna sprawa, o której może nie wszyscy goście Agatona chcieli pamiętać, kiedy na sali zjawił się ten młody mężczyzna, urodziwy jak Hermes lub Apollon, ale chwiejący się na nogach, podtrzymywany przez fletnistkę i głośno przyznający:

– Jestem mocno zawiany!

Chodziło o to: Alkibiades był wówczas, i to już po raz czwarty, członkiem kolegium strategów. Był więc jednym z odpowiedzialnych sterników państwa, które od piętnastu lat toczyło krwawą wojnę, wyężdżając do ostateczności wszystkie swoje siły; było bowiem jasne, że od wyniku tych zmagania zależy byt i przyszłość Aten. Wojna trwała od lat piętnastu; znaczyło

to, że większość z zebranych u Agatona, łącznie z nim samym i Alkibiadesem, dopiero wyra- stała z chłopiństwa, kiedy wiosną roku 431 świsnęły pierwsze strzały i rozległ się głuchy ło- skot mieczów uderzających w tarcze. Odtąd corocznie była już tylko wrzawa bitew, wieści o poległych w dalekich krainach, dymy pogrzebowych stosów, drętwo patriotyczne mowy po- lityków nad zbiorowymi mogiłami młodych żołnierzy. A przede wszystkim był głód, droży- zna i ciasnota, szerzyły się choroby – nie mówiąc już o tamtej, wielkiej zarazie, która pochło-nęła trzecią część mieszkańców miasta.

Przed pięcioma laty, w roku 421, zaświtała nadzieja pokoju. Co więcej, pokój zawarto – jakże jednak krótkotrwały! Nie kto inny, lecz właśnie Alkibiades dołożył wszelkich starań, by na ziemiach Hellady znowu rozgorzały bratobójcze walki. Doprowadził do koalicji trzech państw Peloponezu przeciw Lacedemonowi. Wprawdzie wojska tej koalicji, wspomagane przez Ateny, zostały rozgromione w bitwie pod Mantineją w roku 418, ale klęska nie ugasiła wojennych zapałów. Goście Agatona wiedzieli doskonale, co się stanie, kiedy tylko miną zimowe wichury, deszcze i chłody; wiedzieli, że okręty wojenne znowu wypłyną z portu w Pireusie i, jak co roku, powiozą na swych pokładach oddziały hoplitów. Mogło być co najwy- żej tajemnicą – ale dla zwykłych obywateli, nie dla członka rządu, nie dla stratega Alkibiadesa! – ku jakim to wybrzeżom skierują się ateńskie trójrzędowce.

Gdy nadeszła wiosna, jedna z eskadr floty wojennej popłynęła, jak się już rzekło, ku wy- spie Melos.

Wysłannicy dowództwa tej eskadry, prowadząc wiosną roku 416 pertraktacje z rządem melijskim, zwrócili uwagę swym rozmówcom, którzy skłonni byli liczyć na pomoc Lacede- monu:

– Obecnie nie jesteśmy w stanie wojny z tym krajem!

I tak rzeczywiście było. Pokój zawarty w roku 421 formalnie wciąż obowiązywał. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że obie strony dokładały pewnych wysiłków, ażeby pod- trzymać tę fikcję. W szczególności ostrożny był Lacedemon. Wojny więc między Atenami a Lacedemonem nie było, toczyły się jednak działania zbrojne. Tyle tylko, że oba mocarstwa pilnie unikały starcia bezpośredniego. Walczyły więc przy pomocy państw trzecich lub prze- ciw nim, i zawsze na obcych ziemiach; tak właśnie było w roku 418 pod Mantineją.

Toteż i obecnie, wysyłając wojska na Melos, Ateńczycy zarówno mogli utrzymywać, że wojny z Lacedemonem nie prowadzą, jak też byli całkowicie pewni, że państwo to nie przyjdzie z bezpośrednią pomocą ofierze agresji. Jakże inaczej wyglądało wszystko przed rokiem 421! Wówczas zbrojne zastępy lacedemońskie niemal rokrocznie wkraczały na ziemie Ateń- czyków, na półwysep attycki; najeźdźcy spokojnie pustoszyli cały kraj, ludność zaś zamykała się w murach miasta i stamtąd bezsilnie patrzyła, jak płoną wiejskie zabudowania i niszczejają zasiewy.

Decyzja podjęcia wyprawy przeciw Melos musiała zapaść na tajnych posiedzeniach rady już z początkiem roku 416, a więc właśnie w tym okresie, kiedy lud ateński cieszył się świę- tami Dionizosa, Agaton zaś wydawał ucztę, uradowany swym triumfem poetyckim. Jednakże wówczas sprawy tej wyspy nie interesowały zbyt stratega Alkibiadesa, osobiście bowiem był on odpowiedzialny za stan rzeczy w innej krainie, pod wielu względami ważniejszej dla Aten od Melos.

## SPÓR O LEGALNOŚĆ RZĄDU W ARGOS

W północno-wschodniej części Peloponezu leżało miasto Argos. Wprawdzie nie było ono potęgą, zaliczało się jednak do tych państw Hellady, które stać jeszcze było na prowadzenie względnie samodzielnej polityki. W ówczesnej sytuacji polegało to na zręcznym lawirowaniu pomiędzy Atenami a Lacedemonem.

Latem roku 417 doszło w Argos do przewrotu, Demokraci obalili rząd oligarchiczny, który sprawował władzę od kilku miesięcy. Oligarchowie argiwscy a więc przedstawiciele najbogatszych rodzin i warstw konserwatywnych, upatrywali, jak wszystkie rządy oligarchiczne, swego naturalnego sojusznika w Lacedemonie. Wobec ludu był to rząd surowy. Postępował samowolnie, deptał prawa i swobody obywatelskie. W mieście rosło wzburzenie; doszło ono do szczytu, kiedy przywódca oligarchów zgwałcił młodą dziewczynę w przededniu jej ślubu.

Przygotowując zamach stanu demokraci bardzo przemyślnie wyznaczyli go na te dni lata, w których Lacedemończycy obchodzili swoje uroczyste święta zwane „gimnopedia”; trwały one dni kilkanaście, a wypełniały je popisy sportowe i artystyczne. Między innymi na rynku Sparty, koło posągów Apollona i Artemidy, występowały chóry dorastających chłopców, sławiąc zarówno wielkie czyny bogów, jak i dzielność przodków – także tych, którzy przed kilkudziesięciu laty bohatercko odpierali w Termopilach nieprzejrzane zastępy Persów i polegli wszyscy co do jednego, broniąc się, kiedy nie stało już włóczni i wyszczerbiły się miecze, nawet zębami.

Znaleźli się jednak zdrajcy, którzy w porę donieśli oligarchom, kiedy to powstanie przeciw nim lud miasta. Trwożliwy rząd natychmiast wezwał na pomoc Lacedemończyków. Odległość pomiędzy Argos a Spartą nie jest wielka i można pokonać ją bez trudu w ciągu jednego dnia, a nawet kilku godzin. Jednakże Lacedemończycy zlekceważyli to pierwsze wołanie swych sojuszników i świąt nie przesunęli; a miały one rozpocząć się już wkrótce. Lecz oto nadeszły z Argos dalsze wieści: w mieście toczą się na ulicach prawdziwe bitwy, demokraci zdają się zwyciężać, wielu oligarchów już wymordowano, inni ratują się ucieczką! Wtedy dopiero rząd Lacedemonu uznał, że zwlekać nie wolno. Wysłano oddział zbrojnych.

Korpus wymaszerował i szedł szybko na północ, przez góry ku równinie Argos. Był prawie dokładnie w połowie drogi (jeśli więc wyruszył o świcie, słońce stało już wysoko), w miasteczku Tegea, kiedy napotkał grupę ludzi w popłochu uciekających z Argos. Byli to oligarchowie i ich stronnicy. Oznajmili oni, że tam już wszystko stracone: miasto jest w ręku demokratów! Wygnańcy jednak usilnie nalegali, żeby mimo to śmiało iść naprzód i rozgromić tamtych, nim umocnią swe rządy. Ale Lacedemończycy osądzili, że byłby to krok zbyt ryzykowny; zresztą i siły, jak się zdaje, mieli szczupłe. Zawrócili więc do Sparty, aby święcić swoje „gimnopedia”. Ten krok podyktowało nie tylko przywiązanie do tradycji, lecz i roztropność polityczna: należało odczekać, jak sprawy rozwiną się dalej.

I rzeczywiście: po niedługim czasie przybyło do Sparty oficjalne poselstwo nowych władz w Argos. Chodziło rzecz prosta o to, by Lacedemończycy wyrazili swoją zgodę na wszystko, co się stało, i uznali rząd obecny. Jednakże w Sparcie przebywał też prawie cały wygnany z Argos rząd oligarchiczny, który znowu ze swej strony domagał się zbrojnej interwencji dla przywrócenia „porządku” i usunięcia „elementów wywrotowych”. Pod względem prawnym sprawa nie była prosta: czy prawdziwym rządem jest ten, który sprawuje rzeczywistą władzę, ale zdobył ją siłą, czy też ten, który, obalony i wygnany, reprezentuje jednak ciągłość legalną?

Sami Lacedemończycy wiedzieli najlepiej, że to oni dali przed kilku miesiącami władzę oligarchom, wysyłając swoje wojska do Argos! Więc może to właśnie demokraci przedstawiają ciągłość i legalność rządów?

Jednakże chodziło nie tylko o rozważania teoretyczne – a raczej chodziło o nie najmniej. Rzecz była w tym, że każda decyzja musiała pociągnąć za sobą bardzo poważne skutki polityczne i wojskowe. Uznać w Argos rząd demokratyczny? To by równało się zgodzie na istnienie w najbliższym sąsiedztwie państwa, które ze względów ustrojowych sprzyjać by musiało Atenom! Opowiedzieć się za wygnanym rządem oligarchicznym? To by oznaczało, że należy siłą wprowadzić go z powrotem do miasta. A więc – wyprawa, oblężenie, nowy front wojny, a potem konieczność stałego podtrzymywania reżimu, który z całą oczywistością nie cieszył się poparciem ludności. Nade wszystko zaś pytanie najbardziej dręczące: jak zachowają się Ateny w razie otwartej ingerencji w wewnętrzne sprawy Argos? Jeśli wyślą i oni swoje wojska, żeby podtrzymać demokratów, dojdzie do bezpośredniego starcia zbrojnego i pokój – ten pokój fikcyjny, ale przecież pokój – przestanie całkowicie obowiązywać!

Delegaci obu rządów, faktycznego i emigracyjnego, wzajem oskarżali się nie tylko przed Lacedemończykami, ale przed całą konferencją państw sprzymierzonych. Jak bowiem Ateńczycy przewodzili Związkowi Morskiemu, tak samo Lacedemon stał na czele Związku zwanego Peloponeskim; co prawda była to organizacja znacznie luźniejsza, a rola hegemonia sprowadzała się do ogólnego kierownictwa w sprawach polityki zagranicznej i dowództwa strategicznego. Ostatecznie, po długich debatach i wahaniach, konferencja uznała, że obecny rząd w Argos jest nielegalny. Postanowiła też, że w celu obalenia go zorganizuje się wyprawę wojskową, w której udział wezmą nie tylko oddziały lacedemońskie, lecz i państw sprzymierzonych. Była to decyzja bardzo roztropna, bo odpowiedzialność za mieszanie się w sprawy wewnętrzne państwa ościennego i suwerennego rozkładała się w ten sposób na kilka rządów, a sama ingerencja zyskiwała większą powagę moralną.

Postanowienia zapadły, jednakże wykonanie ich wciąż odkładano. To dało demokratyznemu rządowi w Argos czas do przeprowadzenia pewnych przygotowań. Gdyby nawet do tychczas rząd ten nie nosił się z takim zamiarem, to obecnie pozostawało mu tylko jedno: szukać pomocy u Ateńczyków. Późnym latem lub jesienią roku 417 przyjechał do Argos strateg Alkibiades, znany tu bardzo dobrze z poprzednich swoich bytności i z wielu akcji politycznych. Alkibiades oczywiście przyobiecał ateńską pomoc, a także doradził, żeby natychmiast przystąpić do budowy „długich murów”.

Chodziło o to: Argos leży na wzgórzu nieco w głębi łądu, mniej więcej godzinę drogi od wybrzeża. A żeby więc zapewnić połączenie z morzem, czyli dopływ żywności i wszelkiej pomocy w razie wojny, trzeba było zbudować korytarz w postaci dwóch długich murów aż do samej przystani. Ateńczycy już prawie przed pięćdziesięciu laty poprowadzili u siebie takie mury – nawet jeszcze dłuższe, bo odległość do ich portu, do Pireusu, była większa. Do budowy zabrano się w Argos z ogromnym pośpiechem i zapalem. Pracowali wszyscy, którzy mieli choć trochę sił, nawet kobiety i dzieci. Z samych Aten przysłano dobrych rzemieślników, murarzy i kamieniarzy.

Przyszła zima, a mur jeszcze nie był skończony. Tymczasem na ziemi Argos wtargnęła silna armia nieprzyjacielska; składała się ona z oddziałów zarówno lacedemońskich, jak też przysłanych przez inne państwa Związku Peloponeskiego. Najeźdźcy spodziewali się, że równocześnie z ich pojawieniem się pod Argos w mieście wybuchnie powstanie; według poufnych informacji przygotowywali je ludzie skrycie sprzyjający wygnanemu rządowi oligarchicznemu. Jednakże nadzieje te okazały się płonne. Powstania nie wybuchło. Armia lacedemońska, choć liczna i silna, nie była jednak przygotowana do prowadzenia prac oblężniczych. Wszystko więc, co zdołała osiągnąć, to było zburzenie długich murów. W drodze powrotnej Lacedemończycy opanowali miasto Hyzje, podległe Argos. Tych mężczyzn w miasteczku, których udało się schwytać, zdobywcy wymordowali. Miał to być odwet za to, że w czasie

ostatniego przewrotu w Argos demokraci wymordowali oligarchów i wszystkich ich stronników.

Kiedy tylko armia lacedemońska opuściła granice Argos, demokraci tego kraju wzięli pomstę. Dokonali błyskawicznego wypadu na ziemie miasteczka Flius; leżało ono na drodze ku Koryntowi. W tym właśnie miasteczku znalazło schronienie wielu wygnanych oligarchów. Ażeby pokazać mieszkańcom Flius, jak nieroztropnie postępują udzielając gościny emigrantom, demokraci argiwscy spustoszyli pola, wycięli sady oliwne i stratowali winnice.

## UWAGI HISTORYKA O WALKACH STRONNICTW

Tukidydes był starszy od Alkibiadesa tylko o kilka lat. Miał wszelkie dane po temu, aby w swej ojczyźnie, w Atenach, odegrać dużą rolę polityczną; pochodził ze znakomitego rodu, posiadał wielki majątek, otrzymał staranne wykształcenie, był inteligentny i zdolny. Jednakże pierwszy wyższy urząd państwowy przyniósł Tukidydesowi całkowitą klęskę życiową. Jako strateg w roku 424 nie mógł w porę wykonać pewnego rozkazu, bo rozkaz przyszedł za późno. Lud ateński nie przyjął żadnych usprawiedliwień i uznał młodego dowódcę za zdrajcę. Odtąd Tukidydes przebywał na wygnaniu. Stracił wprawdzie ojczyznę, zyskał natomiast idealne i wręcz wyjątkowe warunki, aby móc spokojnie i obiektywnie osądzać wydarzenia wielkiej wojny Hellenów.

Żył Tukidydes, dostatnio i bezpiecznie, w swoim rodowym majątku u wybrzeży Tracji, na ziemiach wówczas neutralnych. Stąd przez lat dwadzieścia obserwował krwawe zmagania walczących, jak widz w teatrze ogląda dramat sceniczny. Mając również pieniądze środki po temu, historyk starał się zbierać z różnych źródeł informacje o przebiegu ważnych wydarzeń dziejów współczesnych. Usiłował dojść do ukrytych przyczyn pewnych posunięć i decyzji. Zestawiał i wywazał różne relacje. Pragnął wznieść się ponad małostkową stronnictwość. Nie taił swego podziwu dla wielkiego przywódcy demokratów ateńskich, Peryklesa, choć sam był spokrewniony z przywódcami oligarchów. Otwarcie potępiał szaleńcze i zbrodnicze decyzje swoich rodaków. Dawał do zrozumienia, że większość Hellenów nienawidzi jego ojczyzny za jej wielkomocarstwowe ambicje i brutalne narzucanie własnego ustroju państwom słabszym.

Pracując nad historią wojny, z którą tak tragicznie splotło się jego życie, Tukidydes zadawał sobie przede wszystkim pytanie:

Dlaczego właśnie ta wojna wstrząsnęła całą Helladą do samych podstaw? Dlaczego obecny konflikt zbrojny stał się powszechny i prowadzi wszędzie do tak potwornych okrucieństw?

W trzeciej księdze swego dzieła historyk daje próbę odpowiedzi. Oto zasadniczy tok jego rozumowania:

Z całą pewnością istotnym powodem tego, co się dzieje, jest nie tylko potęga wojskowa obu mocarstw, ale też sytuacja wewnętrzna we wszystkich prawie państwach helleńskich. Bo przecież w każdym prawie mieście są dwa stronnictwa, bezwzględnie walczące o władzę: oligarchowie i demokraci. Jest zrozumiałe, że każde z nich, chcąc pognębić przeciwnika, szuka poparcia z zewnątrz. A więc naturalną kolejną rzeczą oligarchowie zwracają się do Lacedemonu, demokraci zaś do Aten. To prawda, że stronnictwa działały już przedtem, w okresie pokoju. Wtedy jednak żadne z nich nie miało ani dogodnego pretekstu, ani też tak łatwej sposobności, aby korzystać z obcej pomocy. Wojna natomiast wręcz zachęca tych, którzy chcieliby dokonać w swym kraju przewrotu, do wzywania sprzymierzeńców z zagranicy.

Stwierdza więc Tukidydes:

Tak to skutkiem owych walk wewnętrznych spada na wszystkie państwa Hellady wiele nieszczęść. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że podobne rzeczy działy się już nieraz przedtem i jeszcze niejednokrotnie wydarzą się w przyszłości. Nic się nie zmieni, póki natura ludzka pozostanie taka sama. Co najwyżej owe wewnętrzne konflikty będą się różnić natężeniem, które z kolei jest uzależnione od rozwoju sytuacji w danym państwie. Kiedy panuje pokój i dobrobyt, zarówno całe społeczności, jak i jednostki postępują sensowniej, bo nie muszą się zmagać z twardą koniecznością. Wojna natomiast burzy do gruntu ład codziennego życia. Jest



nauczycielem, ale nauczycielem brutalnym. Sprawia, że charaktery większości ludzi upodobią się do surowych warunków, w których żyć wypadło.

Następnie historyk pyta:

Dlaczego to jednak walki stronnictw toczą się z coraz większą bezwzględnością?

I odpowiada:

Każdy kolejny zamach stanu uczy się czegoś od tych wszystkich, które poprzednio dokonały się w którymkolwiek z państw. Uczy się, jak przygotowywać plany coraz przemyślniej i śmieiej oraz jak mścić się coraz okrutniej. A jednocześnie zmienia się zupełnie dowolnie dawne nazwania pewnych czynów. Tak więc okazuje się nagle, że to, co dotychczas uchodziło za bezmyślną zuchwałość, jest właśnie bohaterskim poświęceniem się dla sprawy stronnictwa. Co natomiast było uważane za postępowanie rozsądne, obecnie piętnuje się jako piękną pokrywkę i tchórzostwa. Umiarkowanie i panowanie nad sobą to rzekomo płaszczyk bojaźliwości, a wzgląd na dobro ogółu to po prostu niechęć do czynu. Porywczność, i to ślepa, uznaje się za cechę prawdziwego mężczyzny, natomiast troskę o przyszłość traktuje się jako ucieczkę od uczestnictwa we wspólnej sprawie. Ufa się zawsze temu tylko, kto złorzeczy i krytykuje a kto się temu sprzeciwia, od razu staje się podejrzany. Kto jest rozumny? Intrygant. Kto jeszcze rozumniejszy? Uprzedzający intrygę. Kto zaś trzyma się z dala od wszystkiego, ściągą na siebie zarzut, że osłabia własne stronnictwo, a zarazem lęka się stronnictwa przeciwnego. Krótko mówiąc: zbiera pochwały, kto uprzedzi każdego, kto chciałby mu zło wyrządzić; ale także ten, kto zdoła drugiego nakłonić do popełnienia zbrodni.

Pokrewieństwo znaczy mniej od przynależności do tajnego związku, do hetajrii, a to z tego względu, że hetajrie chętniej porywają się na czyny śmiałe i bezwzględne. Powstają bowiem nie po to, by ich członkowie pomagali sobie nawzajem w ramach obowiązujących praw, lecz w celu osiągnięcia korzyści wbrew prawom! Wzajemne zaś zaufanie pomiędzy członkami hetajrii opiera się nie na prawie boskim, lecz na współuczestnictwie w zbrodni.

Gdy strona przeciwna zaproponuje uczciwe porozumienie, to przyjmuje się je tylko wówczas, jeśli samemu jest się w dobrej sytuacji. Myśli się więcej o tym, jak wziąć pomstę za doznaną krzywdę niż jak w ogóle uniknąć krzywdy. Przysięgi przy zawieraniu układu obowiązują tak długo, jak długo obie strony borykają się z trudnościami i nie mają pomocy z zewnątrz. Bardziej cieszy zniszczenie przeciwnika zdradą niż zwycięstwo w otwartej walce. Kto bowiem osiąga sukces dzięki podstępowi, otrzymuje jeszcze pochwały za przebiegłość. Ludzie wolą uchodzić za zręcznych zbrodniarzy niż za uczciwych a głupich. Tamtym się szczycą, to zaś za wstyd by sobie mieli, co w istocie jest źródłem tego wszystkiego? Żądza władzy, chciwość, ambicja. Właśnie dlatego rywalizacja, raz rozpoczęta, podtrzymywana jest z taką zaciekłością. W każdym państwie przywódcy obu stronnictw walczą o swoje własne interesy – pod pozorem, że chodzi im tylko o wspólne dobro. Powołują się na pięknie brzmiące hasła; jedni mówią o równości praw politycznych dla wszystkich, drudzy o rozsądnym uprzywilejowaniu najlepszych. Starają się zmóc przeciwnika każdym sposobem i dopuszczają się przy tym rzeczy strasznych. Biorą pomstę w sposób coraz bardziej okrutny, bo nie oglądają się ani na to, co sprawiedliwe, ani na to, co korzystne dla państwa, lecz to tylko mają na względzie, co im odpowiada w danym momencie. Aby zadowolić swoje ambicje, tak samo gotowi są posłużyć się niesprawiedliwym wyrokiem, jak przemocą. Ani jedno, ani drugie stronnictwo nie postępuje uczciwie; zawsze jednak bardziej chwali się tych, którzy potrafią osiągnąć coś haniebnego przy pomocy pięknych haseł. Obywateli zaś, którzy trzymają się z dala od obu stronnictw, mszczą oba – częściowo właśnie dlatego, że nie chcą razem z nimi walczyć, częściowo zaś z zawiści i lęku, żeby właśnie ci, co spokojnie stoją na uboczu, nie przetrwali całej zawieruchy. Tak więc walki wewnętrzne stały się przyczyną wszelkiego zła w Helladzie.

Historyk zamykał swoje rozważania takimi refleksjami:

Zacność, której głównym przeciwieństwem jest szlachetność, w ogóle zniknęła z życia publicznego. Wszyscy są sobie wrogi, nikt nikomu nie ufa. Każdy z góry szuka jakiegoś zabezpieczenia, aby nie paść czyjąś ofiarą. Rzecz bardzo ciekawa: w rozgrywkach tych zwykle zwyciężają ludzie umysłowo ograniczeni! Czym to tłumaczyć? Chyba tym, że działają energicznie, zdając sobie sprawę, że mogliby łatwo ulec ludziom inteligentnym – gdyby tylko tamci wzięli się do czynu. Natomiast jednostki rzeczywiście wyróżniające się inteligencją wolą nie uciekać się do siły, bo gardząc przeciwnikami myślą, że zawsze zdołają przewidzieć i ubiec ich poczynania; dlatego też często giną zaskoczeni.

## ALKIBIADES W ARGOS

Wiemy już, jak przedstawiały się sprawy Argos z początkiem roku 416; w Atenach najbardziej zainteresowany ich rozwojem był strateg Alkibiades. Należało liczyć się z tym, że kiedy tylko minie zima, Lacedemończycy ponownie wyślą swoje wojska na ziemie Argos. Było również wiadomo, że w samym mieście wciąż jeszcze działają zwolennicy obalonego rządu oligarchicznego; czekali oni tylko na sposobną chwilę, aby dokonać nowego zamachu stanu i powrócić do władzy.

Chociaż więc sytuacja była trudna, Alkibiades nie czynił wrażenia człowieka, który ma jakiegokolwiek poważne sprawy i kłopoty. Tej zimy oddawał się z młodzieńczą – tak, wciąż jeszcze młodzieńczą – beztroską wszelkim zabawom, głównie zaś pijaństwu i rozkoszom miłości. Nie tylko on w Atenach, to też prawda. Odkąd bowiem wybuchła wojna, w stolicy Związku Morskiego bawiono się coraz to huczniej i weselej. Można by nawet rzec, że bawiono się z pewnym jakby uporem i zapamiętaniem, na przekór grozie śmierci. Wspaniałe przyjęcia i uczty były ucieczką od ponurej rzeczywistości.

O czymże rozprawiali goście zebrani w domu Agatona? Powiedział to Alkibiadesowi lekarz Eryksymach:

– Nim tu przyszedłeś, taka zapadła uchwała; po kolei, idąc w prawo, każdy z obecnych wygłosi mowę o miłości, jak będzie umiał najlepiej, i to mowę pochwalną. Otóż my wszyscy jużśmy swoje powiedzieli. Sprawiedliwie by więc było, żebyś teraz ty coś powiedział: bo i w porę przyszedłeś, i swoje już wypiełeś! Jednakże Alkibiades obrał inny przedmiot swej mowy: wolał nie miłość chwalić, lecz Sokratesa, z którym łączył go tak dziwny stosunek. Z szokującą szczerością przedstawił różne perypetie ich znajomości. Mówił otwarcie o sprawach bardzo drażliwych, lecz czynił to taktownie, a nawet z wdziękiem. Ale wydarzenia, o których w tej mowie wspominał, wiązały się z latami jego wczesnej młodości; wrócimy do nich później. Teraz zajmiemy się sprawami Argos.

\*

Wiosną roku 416 z Pireusu wypłynęły dwie eskadry ateńskiej floty wojennej. Jedna z nich, licząca 38 okrętów i mająca 2000 żołnierzy, skierowała się, jak powiedzieliśmy, ku wyspie Melos. Tam Ateńczycy rozbili obóz i rozpoczęli pertraktacje. Skoro jednak rząd melijski nie ustąpił przed pogrozkami i uparcie obstawał przy swojej neutralności, przystąpiono do oblężenia miasta. Oblężenie miało trwać długo, bo aż do zimy, i ostatecznie zakończyło się masakrą mieszkańców wyspy.

Natomiast druga eskadra, która opuściła Pireus prawie równocześnie z tamtą, składała się tylko z dwudziestu ośmiu okrętów, bo też miała do wypełnienia znacznie łatwiejsze zadanie. Flotyllą tą dowodził Alkibiades, niedawno znowu wybrany strategiem. Wybory na ten urząd odbywały się zwykle wczesną wiosną, kadencja zaś rozpoczynała się w lipcu i trwała przez rok, do następnego lipca. Kolegium składało się z dziesięciu osób. Godność stratega można było piastować rok po roku, i to wielokrotnie, podczas gdy inne wyższe urzędy sprawowało się, według praw ateńskich, tylko raz w życiu.

Eskadra Alkibiadesa przybiła do wybrzeży Argolidy. Natychmiast po wylądowaniu żołnierze przystąpili do akcji o charakterze policyjnym. Wychwytili w mieście Argos i uwięzili osoby podejrzane o sprzyjanie obalonemu rządowi oligarchicznemu, a więc i Lacedemończy-

kom; było takich ludzi około trzystu. Wszystkich ich wywieziono z ojczyzny, później zaś internowano na wyspach podległych Atenom. Cała ta akcja została przeprowadzona oczywiście nie tylko za zgodą, ale i przy czynnej pomocy rządu w Argos, bo właśnie on orientował się najlepiej, kto jest niechętny obecnemu ustrojowi. Tak więc rząd, który zarzucał oligarchom, że wysługują się Lacedemonowi, sam zgodził się na niesłychane naruszenie swej suwerenności przez inne mocarstwo i z lekkim sercem wydał swoich obywateli w obce ręce! Przy sposobności ludzie władający wówczas w Argos na pewno załatwili też osobiste porachunki, a także wzbogacili się niezłe, bo zagarnęli prywatne majątki swych ofiar. Na obronę Ateńczyków, którzy tak brutalnie ingerowali w wewnętrzne sprawy niezależnego państwa, można powiedzieć tylko jedno: uwięzionych przez siebie zwolenników oligarchii potraktowali wyrozumiale, bo przecież mogli ich po prostu wyrzucić – tak jak w kilka miesięcy później wycięli w pień męzczyzn wyspy Melos.

Mniej więcej w tym samym czasie, a więc wiosną roku 416, Ateny i Argos zawarły przymierze na lat pięćdziesiąt. Jest zrozumiałe, że przy formułowaniu jego postanowień główną rolę po stronie ateńskiej odgrywał właśnie Alkibiades. Już przed czterema laty doprowadził on do związania się obu państw podobnym układem, który zresztą obowiązywał bardzo krótko. Przymierze obecne było pozornie bardzo korzystne dla Argiwczyków. Jeden z pierwszych punktów przewidywał:

Argiwczyki otrzymywać będą corocznie przynajmniej 40 talentów ze skarbcza Związku Morskiego, ażeby rozporządzali odpowiednimi środkami na cele wojenne.

Jednakże zaraz następane zdanie układu jasno określało, jaka ma być pozycja Argos w stosunku do wielkiego sojusznika:

Gdyby Lacedemończycy wystąpili z propozycją zawarcia pokoju, Argiwczyki skierują ich posłów przed ateński lud i radę.

Czyż można było wyraźniej stwierdzić, że odbiera się państwu Argos prawo prowadzenia własnej polityki zagranicznej?

Punkt dalszy postanawiał:

Jeśliby Lacedemończycy lub jakikolwiek inny nieprzyjaciel wtargnął w granice Aten, Argiwczyki zobowiązani są wysłać na pierwsze wezwanie przynajmniej dwa tysiące żołnierzy, i to na okres dwóch miesięcy.

Oczywiście, Ateny ze swej strony również zobowiązywały się do udzielenia w razie potrzeby pomocy wojskowej.

Ów pięknie brzmiący punkt pierwszy przymierza, to jest pomoc finansowa dla Argos, nigdy nie został zrealizowany. W zachowanych rachunkach skarbcza Związku Morskiego nie ma śladu żadnej wypłaty na rzecz Argos ani w roku 416, ani 415. Wiadomo też z całą pewnością, że nie było takich wypłat w latach, następnym. Co prawda, nie było żadnej po temu potrzeby. Lacedemończycy bowiem tylko raz jeszcze, usiłowali zbrojnie najechać na ziemie Argos. Było to zimą roku 416/5. Ich korpus zatrzymał się jednak na samej granicy, obozował tam przez pewien czas, potem zaś niespodziewanie zawrócił. W Sparcie podano oficjalnie do wiadomości, że wyprawę odwołano ponieważ ofiary złożone bogom przed przekroczeniem granicy nie wypadły pomyślnie. Oczywiście, nikt nie był tak łatwowierny, żeby traktować to oświadczenie poważnie, a już najmniej demokratyczny rząd w Argos. Tutaj panowała taka opinia:

Widocznie Lacedemończycy oczekiwali, że w mieście dojdzie do nowego przewrotu, tym razem na rzeczny oligarchów. Liczyli na jakichś ludzi, z którymi uprzednio nawiązali tajne porozumienie. Wycofali się, bo zdrąjcy nie śmieli wywołać nawet drobnych rozruchów. Jednakże owi sprzymierzeńcy oligarchów i Lacedemończyków są tutaj, w murach miasta. Należy więc stanowczo i do końca rozprawić się z wszystkimi, którzy wydają się niepewni!

Znowu więc, i to zaledwie w kilka miesięcy po aresztowaniach i deportacjach, które przeprowadził Alkibiades, doszło w Argos do polowania na ludzi, Uwięziono pewną liczbę osób

podejrzanych, niektórym jednak udało się w porę zbiec za granice kraju. Dopiero po tych represjach i po wyzbyciu się wszystkich obywateli niechętnych ustrojowi – lub o to tylko posądzanych – demokratyczny rząd w Argos poczuł się bezpieczny. Odtąd Argos było całkowicie wiernym sprzymierzeńcem Aten aż do końca wielkiej wojny. Tak więc i tutaj spełniło się to, co Alkibiades powiedział kiedyś, obrazowo i szczerze, przedstawicielowi pewnego miasta, które nie bardzo było skore wiązać się z Atenami:

– Nie macie wyboru. Różnica pomiędzy nami a Lacedemończykami na tym tylko polega, że my pożremy was po trochu i zaczynając od nóg, tamci zaś od razu i to od głowy! Co wolicie?

Pod koniec roku 416 Argos, głównie dzięki Alkibiadesowi, zostało pożarte przynajmniej do połowy. Tak samo byłoby na pewno, gdyby u władzy utrzymał się rząd oligarchiczny, a pożerającymi byli Lacedemończycy. Alkibiades bowiem przesadzał twierdząc, że pochłaniają oni swoje ofiary tak łapczywie. To rzec by można raczej o Ateńczykach.

Po załatwieniu sprawy Argos przez kilka następnych miesięcy strateg Alkibiades nie otrzymywał żadnych zadań wojskowych i w ogóle nie interesował się sprawami wojny. Wprawdzie oblężenie miasta Melijczyków wciąż jeszcze trwało, ale zajmowali się tym inni dowódcy. Dlatego latem roku 416 Alkibiades mógł poświęcić się wyłącznie igrzyskom sportowym.

## OLIMPIADA 91

Wbrew rozpowszechnionemu dziś mniemaniu Hellenowie nie byli ani tak szlachetni, ani też tak naiwni, aby przerywać wszelkie działania wojenne na czas trwania igrzysk w Olimpii. Tak więc i latem roku 416, kiedy to owe igrzyska odbywały się po raz 91, Ateńczycy ani na moment nie przestali oblegać Melos.

Prawdą jest natomiast, że od chwili ogłoszenia „świętego pokoju” nie wolno było prowadzić żadnych wojen przeciw krainie, w której Olimpia leżała, to jest przeciw Elidzie; ogłaszano zaś ów pokój na pewien czas przed igrzyskami, aby delegacje wszystkich państw mogły bezpiecznie do Elidy przybywać. W czasie Olimpiady poprzedniej, to jest 90 (czyli według naszej rachuby w roku 420), doszło w związku z tym do poważnych i gorszących wydarzeń:

Na krótko przed igrzyskami, w lipcu roku 420, Elijczycy zerwali swoje dotychczasowe przymierze z Lacedemonem i weszli w sojusz z Atenami; wszystko, to stało się nie bez udziału Alkibiadesa. W odpowiedzi Lacedemończycy poważnie wzmocnili swoje załogi w pewnej ziemi pogranicznej, o którą toczyli spór z Elijczykami. Od razu wybuchł ostry zatarg:

Elijczycy utrzymywali, że aktu tego dokonano już po ogłoszeniu „świętego pokoju”, Lacedemończycy zaś twierdzili:

– Wystaliśmy nasze wojska, zanim jeszcze przybyło do nas oficjalne poselstwo z Elidy, obwieszczające pokój!

W Elidzie nie przyjęto tego tłumaczenia i według starego zwyczaju ukarano Lacedemon wysoką grzywną. Kiedy nie została ona wpłacona, wykluczono Lacedemończyków od udziału w igrzyskach. Ponieważ jednak zachodziła obawa, że ci będą usiłowali przemocą dostać się do świętego obwodu, na czas igrzysk rozstawiono na granicy silne oddziały zbrojnych, złożone z Elijczyków i ich sprzymierzeńców; w Argos stała w pogotowiu jazda ateńska.

Lacedemon, choć tak upokorzony, zachował dostojny spokój. Mniej godny był przebieg samych igrzysk. Przybył na nie, oczywiście zupełnie prywatnie, pewien bardzo zamożny starszy Spartanin wysokiego rodu; zwał się Lichas. Miał czwórkę świetnych koni, nie mógł ich jednak wystawić do wyścigów jako swoich, bo przecież od udziału w zawodach wykluczono wszystkich Lacedemończyków. Wobec tego Lichas zdecydował się na krok dość niezwykły: zgłosił swój zaprzęg jako należący do innego państwa, a mianowicie do Teb – ściśle mówiąc do ludu tebańskiego.

Właśnie ten zaprzęg pierwszy przyszedł do mety. Herold ogłosił:

– Zwyciężył zaprzęg wystawiony przez lud tebański!

Lichas natychmiast pospieszył na stadion, aby własnoręcznie uwieńczyć woźnicę. Chciał w ten sposób pokazać wszystkim, kto jest prawdziwym właścicielem koni, a więc i zwycięzcą. Mianowicie według zwyczajów helleńskich sława opromieniała przede wszystkim posiadacza koni. Wówczas jednak rzucili się na starca porządkowi i pobili go dotkliwie – niby to karząc zuchwalca, który samowolnie przywłaszczył sobie ów zaszczyt. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, do kogo konie należą naprawdę. Ale i to zajście nie sprowokowało Lacedemończyków. Igrzyska potoczyły się dalej bez przeszkód.

Tak było przed czterema laty. Olimpiada 91 odbywała się w spokojniejszej atmosferze. Obecnie nie obawiano się bezpośredniego ataku Lacedemończyków, choć Elida nadal utrzymywała przymierze z Atenami. Skoro Lacedemon nie chciał pomóc wciąż obleganej wyspie Melos, do czego był moralnie zobowiązany, to z jakiejże racji miałby zbrojnie zakłócać święty pokój w Elidzie i ściągać na siebie potępienie ze strony wszystkich Hellenów? Tak

więc latem roku 416 igrzyska w Olimpii nie odbywały się już pod osłoną wojskową. Polityka jednak dawała znać o sobie i także tym razem było to zasługą Alkibiadesa.

Przyjechał on jako członek oficjalnej delegacji ateńskiej; igrzyska bowiem miały charakter obrzędów religijnych i każde państwo wysyłało do Olimpii swoje poselstwo. Udział w takiej delegacji, choć zaszczytny, był jednak kosztowny. Należało przecież wystąpić godnie, aby należycie reprezentować swój kraj; ateński skarb państwa niby to pokrywał koszty, w istocie jednak – jak zawsze i wszędzie, gdzie chodzi o zwrot kosztów przez państwo – wystarczało to na pokrycie zaledwie części rzeczywistych wydatków.

Tymczasem Alkibiades wystąpił w Olimpii z przepychem wręcz olśniewającym. Owszem, prywatny majątek Alkibiadesa był znaczny, ale strateg potrafił czerpać i z innych źródeł. Wielką pomoc okazały mu w tym wypadku niektóre zamożne państwa należące do Związku Morskiego. A więc mieszkańcy Efezu wypożyczyli mu wspaniałą, ogromny namiot perski – dwa razy większy od tego, jaki dawało swoim posłom państwo ateńskie; mieszkańcy wyspy Chios wzięli na siebie koszt kupna zwierząt ofiarnych i paszy dla koni, Lesbijczycy dostarczyli wina i pokryli inne wydatki. Wszystko to mogło wydawać się tym dziwniejsze, że Alkibiades nigdy nie przebywał w tamtych stronach, to jest u wybrzeży Azji Mniejszej, przez czas dłuższy, i w ogóle nie zajmował się sprawami owych państw. Cała jego dotychczasowa działalność w polityce zagranicznej Aten związana była z krajami Peloponezu. To on w roku 420 doprowadził do zawarcia przymierza z Elidą, Argos i Mantineją, i on także w roku 416 walnie wspomógł rząd demokratyczny w Argos, wiążąc go z Atenami nowym sojuszem. Widocznie jednak młody strateg zdołał przekonać Efez, Chios i Lesbos, że to on właśnie jest tym politykiem, od którego w przyszłości zależeć będą losy państw Związku Morskiego, wypada więc zabiegać o jego względy.

Ale prawdziwą sensację wzbudził Alkibiades w Olimpii nie przepychem, jaki wokół siebie roztaczał, lecz tym, że w wyścigach rydwanów wystawił aż sześć własnych zaprzęgów. Toteż w kilka miesięcy później jego najzaciętszy rywal polityczny wołał publicznie w Atenach:

– Alkibiades chce imponować stajniami koni wyścigowych!

Było to powiedzenie złośliwe. Alkibiades uchodził i chciał uchodzić za gorącego demokrate, a więc za rzecznika ludzi ubogich, co najwyżej średnio zamożnych, tymczasem zaś utrzymywał tabuny świętych koni wyścigowych i pysznił się tym przed całą Helladą! Toteż Alkibiades szeroko usprawiedliwiał przed ateńską radą swoje wystąpienie w Olimpii względami wielkiej polityki:

– Właśnie dzięki przepychowi, jaki roztoczyłem, Hellenowie nabrali przesadnego wyobrażenia o naszej potędze. A poprzednio już żywili nadzieję, że wojna całkowicie nas wyczerpała! Tymczasem ja wystawiłem na igrzyskach aż sześć rydwanów, na co nie pozwolił sobie dotychczas nikt z ludzi prywatnych. Zwyciężyłem i zająłem ponadto miejsce drugie i trzecie. A i całą resztę tak przygotowałem, aby wszystko wypadło odpowiednio do świetności zwycięstwa. Według panującego poglądu przynosi to chwałę. Samo zaś powodzenie w zawodach sprawia, że kraj, który odnosi sukces, uważany jest za potęgę.

\*

Jak to było w zwyczaju, jeszcze w Olimpii Alkibiades wydał dwa przyjęcia; najpierw w imieniu swoim, potem w imieniu państwa ateńskiego. To drugie miało charakter oficjalny i łączyło się ze złożeniem Zeusowi ofiar dziękczynnych. Również powrót Alkibiadesa do Aten wypadł bardzo okazale. Państwo przyznało mu zaszczyt, który spotykał tylko najczcigodniejszych gości i najbardziej zasłużonych obywateli: podjęto go posiłkiem w prytanejon. Był to stary budynek u stóp Akropolu. Płonęło tam święte ognisko miasta, tam też przechowywano

teksty dawnych ustaw. Natomiast sami prythanowie, czyli dziesiąta część rady, urzędowali już wtedy gdzie indziej: w okrągłej budowli przy rynku zwanej „tolos”, czyli Rotunda.

Alkibiades czynił wiele, aby rozgłosić i uwiecznić sławę swojego zwycięstwa. Zamówił u cenionego wówczas artysty, Aglaofonta, dwa obrazy. Ci, którzy je oglądali, mogli nie tylko podziwiać walory malarskie, lecz i zastanawiać się nad symboliką kompozycji. Obraz pierwszy przedstawiał Alkibiadesa wieńczonego przez dwie kobiety. Nietrudno było odgadnąć, co one wyobrazają, patrząc po prostu na wieńce: gałązki dzikiej oliwki były nagrodą zwycięzcy olimpijskiego, a liściem lauru zdobiono zwycięzców w igrzyskach pytyjskich, w Delfach. Sam Alkibiades rzeczywiście uzyskał wieniec oliwny, skądże jednak ów laur delficki? Otóż było to przypomnienie dawnej chwały rodu: przed siedemdziesięciu laty przodek Alkibiadesa po kądzieli odniósł w Delfach świetne zwycięstwo, i to również w wyścigach rydwanów.

Symbolika obrazu drugiego miała wymowę raczej polityczną. Wysoka, piękna kobieta trzymała Alkibiadesa na kolanach. Napis objaśniał, że dziewczyna ma na imię Nemea; była to więc personifikacja igrzysk w Nemei. Lecz przecież tam Alkibiades nigdy nie stawał do zawodów! Tak, ale Nemea należała wówczas do miasta Argos, które upatrywało swego opiekuna właśnie w Alkibiadesie. A jako polityk odniósł on tam już przed Olimpiadą wielki sukces i rzeczywiście zasługiwałby na wieniec nemejski.

Właśnie ten obraz stał się przedmiotem ostrej kontrowersji prawnej. Modelką postaci Nemei była oczywiście, jak zwykle wówczas, prostytutka. Tymczasem ustawa zakazywała nadawania prostytutkom i fletnistkom imion wielkich igrzysk, jak Nemea lub Olimpias, uważając to za „szarganie świętości”. W tym wypadku jednak można się było bronić: imię dano nie samej modelce, lecz jej portretowi.

Tak więc, choć starcy wołali, że to tyrania i bezprawie, obrazy pozostały. Stały się nawet sławne, może właśnie dzięki prawnemu sporowi o boskie imię prostytutki. Przetrwały w Atenach „bardzo długo, całe wieki. Jeszcze w sześćset lat później wisiały w galerii malowideł w Propylejach; był to zespół budynków, przez które wstępowało się na Akropol.

Alkibiades nie poprzestał na tym. Naśladując książąt i panów z nie tak dawnej przeszłości, zamówił pieśń poetycką o swoim zwycięstwie w Olimpii. Na jego prośbę napisał ją sam Eurypides, będący wówczas u szczytu sławy. Zachowany początek tego hymnu pochwalnego brzmi:

„Ciebie podziwiam, synu Klejniasa! Rzecz to piękna, zwycięstwo. Najpiękniejsze to jednak, że nikt z Hellenów nie mógł się dotychczas poszczycić zwycięstwem, które stało się twoim udziałem: w wyścigach rydwanów zdobyłeś miejsce pierwsze, drugie, trzecie! Szedłeś nieznużony, zdobny oliwnym wieńcem Zeusa, heroldowi zaś pozwoliłeś, by głośno obwieszczał twe imię!”

Tak słał Eurypides młodego Alkibiadesa w roku 416. Poeta był wówczas niewątpliwie pod urokiem rzutkiego polityka, kipiącego pomysłami i energią. Ale już w kilka miesięcy później Eurypides całkowicie zmienił swój stosunek do syna Klejniasa. Miejsce podziwu i sympatii zajęła niechęć, a może i odraza. Wpłynęła na to sprawa wyspy Melos.

\*

Olimpiadzie 91 zawdzięczał Alkibiades wiele zaszczytów. Były jednak także pewne przykrości. Źródłem ich była nieodłączna towarzysząca wszelkiego powodzenia, zawiść. Uczucie to niezbyt szlachetne czasem jednak można je usprawiedliwić. Tak na przykład trudno się dziwić, że zawiścią powodował się wówczas ów rywal polityczny, który wołał:

– Alkibiades chce imponować stajniami koni wyścigowych!

Rywalem był Nikias. Był starszy od Alkibiadesa o lat przynajmniej dwadzieścia. W życiu politycznym Aten liczone się z nim już wtedy, gdy przyszedł zwycięzca olimpijski był dopiero



kilkunastoletnim chłopaczkiem i beztrąsko uganiał ze swymi rówieśnikami po ulicach, polach, ogrodach.

Co prawda, ów złotowłosek malec potrafił już wtedy dokonywać rzeczy niezwykłych, jeśli mu tylko na czymś zależało.

Zdarzyło się raz, że z gromadą wyrostków grał w kości na jednej z owych małych, ciasnych uliczek, których płataniną były ówczesne Ateny. Przyszła jego kolej. Rzucił. W tej samej chwili w uliczkę wtoczył się ciężki wóz chłopski. Alkibiades krzyknął do woźnicy:

– Stój! Tu są nasze kostki!

Chłop nawet nie odpowiedział, wóz jechał dalej, kostka Alkibiadesa, która wpadła gdzieś pomiędzy kamienie, znalazła się w niebezpieczeństwie! Aby wóz przepuścić, chłopcy rozbiegli się lub przywarli do murów. Tylko Alkibiades, dla kostki ratowania, rzucił się plackiem na ziemię, tuż przed kopytami mułów. Wrzasnął:

– Jedź teraz po mnie!

Wóz zatrzymał się natychmiast. Kostka ocalała. Kiedy indziej, w czasie ćwiczeń i zapasów w gimnazjone, Alkibiades ugryzł w rękę kolegę, który powalił go na piasek boiska. Oczywiście, reguły gryźć nie pozwalały. Poszkodowany zawołał ze złością:

– Gryziesz jak kobieta! Alkibiades odparował bez namysłu:

– Nie, ja gryzę jak lew!

Podobnie postępował Alkibiades później, w swej działalności politycznej. Rozpoczął ją około roku 428. Ryzykował, gryzł wbrew regułom, szantażował, na każdy atak odpowiadał błyskawicznie i celnie. Nikias, z usposobienia zawsze bardzo stateczny, z biegiem lat stawał się coraz ostrożniejszy; toteż w pewnych sytuacjach, kiedy przyszło mu ścierać się z Alkibiadesem, bywał niemal bezradny. A przecież to on powinien był gromić młodzika w każdej rozgrywce – gdyby tylko umiał i chciał wyzyskiwać środki, które miał w ręku!

Przed wszystkim był znacznie bogatszy od Alkibiadesa. Dalej, posiadał bez porównania większe doświadczenie polityczne i wojskowe. Mógł również liczyć na poparcie wielu wpływowych osobistości zarówno w Atenach, jak i w innych państwach Hellady. Dość powszechnie upatrywano w Nikiasie następcę wielkiego Peryklesa.

A jak tymczasem potoczyły się wypadki? Oto zaledwie Alkibiades pojawił się na scenie życia politycznego, Nikias zaczął ustępować, i to w sprawach najbardziej istotnych! Nikias przyczynił się do zawarcia pokoju z Lacedemonem w roku 421, a już w roku następnym zręczne machinacje Alkibiadesa sprawiły, że Ateny weszły w przymierze z trzema państwami Peloponezu: z Argos, Elidą, Mantineją. W praktyce oznaczało to przekreślenie poprzedniego układu i doprowadziło do bitwy pod Mantineją, gdzie Lacedemończycy rozgromili wielką armię sprzymierzeńców. Wówczas Argos i Mantineja wystąpiły z sojuszu z Atenami, a w obu tych państwach do władzy doszli oligarchowie, zawsze przyjaźni Lacedemonowi.

Wydawać by się mogło, że bitwa pod Mantineją i jej skutki przekreślą polityczną karierę Alkibiadesa. On przecież był głównym sprawcą kompromitującej klęski. Lecz właśnie wtedy młodzieniec dokazał cudu! Pogodził się z Nikiasem, a nawet wszedł z nim w tajne porozumienie. Potem wspólnie skierowali gniew ludu przeciw drugorzędnemu politykowi, Hyperbolosowi. Był to fabrykant lampek, pieniacz sądowy, siewca plotek i oszczerstw; gorący zwolennik wojny, najchętniej poddałby władzę Aten całą Helladę. Cieszył się tedy pewną popularnością wśród pospółstwa i mógł uchodzić za przywódcę najsłabszego skrzydła demokratów. Równocześnie jednak naraził się warstwom umiarkowanym, a obecnie opuścił go także Alkibiades, który reprezentował równie wojowniczy program w polityce zagranicznej. Hyperbolos poszedł na wygnanie.

Taktyczny sojusz Alkibiadesa z Nikiasem trwał bardzo krótko. W roku 416, kiedy to Alkibiades dopomógł nowemu rządowi demokratycznemu w Argos i przyczynił się do zawarcia z nim drugiego przymierza, obaj politycy zaledwie maskowali swoją wzajemną niechęć.

Zwłaszcza podrażniony był Nikias, który sukcesom politycznym swego młodego rywala nie mógł niczego przeciwstawić.

Wszystko to miało charakter spraw wielkich i poważnych. Często jednak wydarzenie pozornie błahe bardziej jątrzy stosunki między politykami niż odmienność ich programów i metod działania. Takim wydarzeniem, które szczególnie zabolalo Nikiasa, był rozgłos olimpijskich zwycięstw Alkibiadesa.

Normalną zawiść potęgowało jeszcze i to, że niedawno sam Nikias wykosztował się ogromnie, pragnąc olśnić całą Helladę. Przypadł mu mianowicie zaszczyt przewodzenia poselstwu, które co roku płynęło z Aten na wyspę Delos, by wziąć udział w uroczystościach ku czci boga Apollona. Co czwarty rok były one obchodzone ze szczególną świątobliwością. Przybywało wówczas wiele delegacji i osób prywatnych z różnych wysp i krajów. Posłowie ateńscy zwyczajowo zabierali ze sobą chór złożony z chłopców, którego występy zawsze cieszyły się wielkim powodzeniem. Toteż gdy tylko pojawiał się okręt z Aten, mieszkańcy Delos i pielgrzymi tłumnie wylęgali do przystani. Chłopcy musieli występować od razu, niemal na brzegu, w zamieszaniu i hałasie. Otóż Nikias poprowadził swoje poselstwo inaczej. Kazał przybić do wysepki leżącej tuż koło Delos. W nocy jego ludzie przerzucili przez wąską cieśninę most, którego gotowe elementy przywieziono z Aten. Nie zapomniano nawet o złoceńniach, kwiatach i kobiercach. Gdy wzeszło słońce, chór w barwnych szatach przeszedł przez most śpiewając przy wtórze fletów i gitar pieśni ku czci Apollona. Potem złożono bogu ofiary, odbyły się igrzyska, wydano ucztę. Sam Nikias ofiarował Apollonowi gałąź palmową ze szczerego złota. Kupił też spory kawał ziemi za ogromną sumę stu min. Oddał go mieszkańcom Delos pod warunkiem, że dochody z tego pola będą corocznie obracać na uroczyste nabożeństwa i wspólne uczty, przy których nie zapomną prosić bogów o wszelką pomyślność dla dobroczyńcy.

I oto zwycięstwo Alkibiadesa w Olimpii przyćmiło owe delijskie poczynania Nikiasa. A przecież i Nikias mógłby argumentować, że rozpaczał przepych tylko po to, aby przekonać Hellenów, jak mało, mimo długoletniej wojny, ucierpiały nieprzebrane bogactwa Aten.

Prześladowała Alkibiadesa nie tylko osobista zawiść pewnych polityków. Po powrocie z Olimpii spotkał się z zarzutami, że popełnił tam nadużycia. Oczywiście, gdyby nie zawiść, nie nadano by tym oskarżeniom większego rozgłosu, choć wydawały się uzasadnione.

Pierwszy zarzut był z pozoru błaży. Jak się już rzekło, Alkibiades po zwycięstwie wydał w Olimpii dwa przyjęcia, najpierw w swoim imieniu, potem w imieniu państwa ateńskiego. Otóż w czasie pierwszego z nich posłużył się złotymi naczyniami, które wypożyczył ze skarbca delegacji na dzień następny, kiedy to miał podejmować gości i dziękować bogom oficjalnie jako członek poselstwa. Naczynia były własnością państwową i miały charakter kultowy. Rozpowiadano więc później w Atenach, że Alkibiades popełnił poważne wykroczenie czy nawet dopuścił się świętokradztwa, bo na pierwszym przyjęciu używał jako człowiek prywatny misek i kadzielnic, w których wolno było składać ofiary tylko urzędowo i tylko w imieniu całego ludu.

Zarzut był małostkowy, wręcz śmieszny, ale przecież wysoce charakterystyczny dla stosunków ateńskiej demokracji. Cechowała je ustawiczna podejrzliwość, czy ktoś nie naruszył, choćby przypadkiem, praw ludu i jego własności. Żerem tego nieufnego wglądania w cudze sprawy były nawet drobiazgi, zwłaszcza gdy chodziło o religię i obrządków kultowych, ponieważ Ateńczycy byli trwożnie nabożni, wręcz zabobonni. Tocząca się od wielu lat wojna przyczyniła się do nasilenia tych niesympatycznych cech w społeczności grodu Pallady. Toteż wielu traktowało zarzut postawiony Alkibiadesowi bardzo poważnie. Inni nie wdawali się w żadne subtelności i rozgłaszali po prostu, że Alkibiades przywłaszczył sobie złote naczynia w Olimpii i odmawiał ich zwrotu.

Ale jeszcze więcej hałasu wywołała inna sprawa. Trafiła nawet przed trybunał sądowy, i to dwukrotnie. Po raz pierwszy rozpatrywano ją prawdopodobnie w dziesięć lat po igrzyskach

Olimpiady 91, a więc w roku 406, po raz drugi zaś w dziesięć lat później, czyli w roku 396. W czasie drugiej rozprawy Alkibiades już nie żył i za przestępstwo ojca miał odpowiadać syn.

Czy jednak rzeczywiście chodziło o przestępstwo? Chyba tak. Choć bowiem okoliczności i szczegóły nie są jasne, sama istota tego, co się stało, nie może budzić poważniejszych wątpliwości. Z ułankowych świadectw można przebieg wypadków odtworzyć następująco:

Do ateńskich przyjaciół Alkibiadesa należał niejaki Diomedes. Był to człowiek średnio zamożny, marzył jednak o tym, by wystawić na olimpijskich igrzyskach zaprzęg koni i zyskać sławę w całej Helladzie, bo zwycięstwo w tej konkurencji uchodziło powszechnie za najszlachetniejsze. Niedługo po przewrocie demokratycznym w Argos, a przed Olimpiadą 91, Diomedes zwrócił się do Alkibiadesa z propozycją:

– W Argos jest czwórka doskonałych koni, ale są one własnością państwa. Mnie rząd Argos tych koni nie sprzedaje, jak zresztą chyba nikomu, bo woli wysłać je na igrzyska olimpijskie w swoim własnym imieniu. Jest jednak sposób, żeby je zdobyć. Dla ciebie ludzie w Argos zrobią wszystko. Ty jesteś opiekunem obecnego ustroju. Ty gwarantujesz, że w razie najazdu Lacedemończyków Ateny udzielą pomocy. Tobie więc na pewno sprzedadzą konie, i to nawet niezbyt drogo. Umówmy się tak: ja dam ci pieniądze, ty kupisz w Argos te konie niby to dla siebie, potem zaś przeprowadzisz je do Olimpii i tam staną do wyścigów już jako moje!

Alkibiades z całą życzliwością przychylił się do prośby przyjaciela. Wziął pieniądze, w Argos rzecz załatwił szybko i rzetelnie. Konie znalazły się w Olimpii na czas, ale biegły na stadionie jako własność – Alkibiadesa! Właśnie one zajęły pierwsze miejsce. Nawet po igrzyskach Diomedes nie otrzymał koni, za które zapłacił.

Czemuż jednak poszkodowany nie wystąpił od razu na drogę sądową? Czemu czekał aż dziesięć lat? Najprawdopodobniej zwłoka ta wynikała z sytuacji wewnętrznej w Atenach. Proces przeciw tak wybitnej osobistości, jaką był Alkibiades, musiałby z konieczności przybrać charakter polityczny. Byłby rozumiany przez ogół jako pośredni atak na stronnictwo demokratyczne i jego przywódców. Dlatego to Diomedes nie kwapił się z nadaniem rozgłosu swym roszczeniom. Wprawdzie potem Alkibiades stracił wszelkie znaczenie, a nawet uznany został za wroga ludu, ale cały jego majątek skonfiskowano, wobec czego wszelkie roszczenia finansowe stały się bezprzedmiotowe. Po kilku latach Alkibiades wrócił do łask i odzyskał majątek, ale znowu był zbyt wpływowy, aby można go było oskarżać bez wywołania perturbacji politycznych. Dopiero więc po dziesięciu latach od owej Olimpiady, kiedy Alkibiadesa ponownie okrzyczano za wroga państwa i ludu, nadarzyła się sposobna chwila, by wnieść formalne oskarżenie. Jednakże rozprawa z 406 roku nie przyniosła Diomedesowi spodziewanego sukcesu. Prawdopodobnie nie miał on w ręku żadnych oczywistych dowodów, ponieważ umowa między nim a Alkibiadesem chyba nigdy nie została spisana, mógł więc co najwyżej powoływać się na świadków. Znowu więc upłynęło dziesięć lat i dopiero kiedy wśród żywych nie było już ani samego Alkibiadesa, ani Diomedesa, do sprawy powrócił jego spadkobierca czy też współnik imieniem Tejzjas; wytoczył on proces synowi zwycięzcy Olimpiady 91.

## MAJĄTEK I RODZINA

Jak się już rzekło, w kilka miesięcy po Olimpiadzie 91 Nikias zarzucał Alkibiadesowi, że pragnie on imponować swoimi stajniami. A ponieważ w Atenach wiadano już, że nie wszystkie zaprzęgi, które zwyciężyły dla Alkibiadesa na igrzyskach, naprawdę do niego należały, zarzut brzmiał szczególnie jadowicie. Zresztą Nikias głosił całkiem otwarcie, że Alkibiades wyzyskuje swoje stanowisko w państwie dla osobistych korzyści. Publicznie ostrzegał:

– Pamiętajcie, że ludzie tego pokroju potrafią tak samo uszczuplić majątek społeczny, jak i zmarnotrawili swój własny!

Czy Alkibiades rzeczywiście strwonił zasoby swojego domu? Czy naprawdę musiał mieć się takich środków, jak przywłaszczanie sobie cudzych koni lub wywieranie nacisku na państwa sprzymierzone, by przed wyjazdem do Olimpii wspomogły go swymi darami? Można w to wątpić. Nikias, powodowany niechęcią do Alkibiadesa, na pewno przedstawiał rzecz niezbyt obiektywnie. Wszystko, jak się zdaje, sprowadzało się do tego, że Alkibiades był wprawdzie człowiekiem zamożnym, jednakże kariera polityczna stale zmuszała go do czynienia wielkich wydatków, znacznie nad stan posiadania. Jeśli więc niekiedy pozwalał sobie na akty, które postronni uważali po prostu za naruszenie cudzego imienia, on traktował to tylko jako częściowy zwrot pieniędzy, które stracił dla dobra ludu i państwa.

W istocie bowiem Ateny zmuszały swoich polityków do łożenia ogromnych sum na cele społeczne. Nie tylko zresztą polityków. Na wszystkich zamożniejszych obywateli państwo nakładało pewne szczególne obciążenia, które obejmowano wspólną nazwą „liturgii”. Jedną z najczęstszych liturgii było pokrycie kosztów nauki chóru, który występował w dorocznych przedstawieniach dramatycznych lub uświetniał uroczystości religijne. Inna polegała na wyposażeniu i utrzymywaniu przez pewien czas któregoś z okrętów wojennych. Same przez się były to obciążenia bardzo poważne, ale ludzie, którzy chcieli mieć coś do powiedzenia w polityce, odczuwali je znacznie dotkliwiej. Zwykłemu obywatelowi wystarczyło w zupełności, jeśli po prostu dał tyle, ile musiał. Tamci natomiast musieli dokładać starań, żeby poświęceniem dla sprawy publicznej zwrócić na siebie uwagę ogółu. Bo na głosy wyborców można było liczyć tylko wtedy, gdy się miało opinię szczerego patrioty, który niczego nie szczędzi dla dobra ojczyzny. Pewien zamożny Ateńczyk wydał na liturgie w ciągu kilku zaledwie lat ogromną sumę sześćdziesięciu tysięcy drachm, twierdził zaś z całą otwartością:

– Wystarczyłaby w zupełności czwarta część tych pieniędzy, gdybym ograniczył się tylko do tego, czego wymaga litera ustawy!

Alkibiades występował z niezwykłą hojnością, i to od zarania swojej działalności politycznej. Po raz pierwszy przedstawił się zgromadzeniu ludowemu właśnie jako szczodry ofiarodawca. Było to w piątym lub szóstym roku wojny z Lacedemonem. Zgromadzenie obradowało nad sprawą ważną i kłopotliwą: należało zasilić skarb państwa dobrowolnymi darami. Zwano je „epidosejs”, a zwracano się o nie do obywateli w chwilach krytycznych, kiedy trzeba było szybko zaradzić palącym potrzebom finansowym. Państwo ateńskie, jak większość starożytnych, nie znało stałych, bezpośrednich podatków; stąd właśnie konieczność sięgania do takich środków, jak liturgie i „epidosejs”. Wszystko odbyło się tak, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach. Przyjęto wniosek, że należy wpłacać dobrowolne składki dla wspomnienia skarbu. Nie było śmiałka, który by przeciw takiej propozycji wystąpił, któż bowiem przyzna otwarcie, że woli własną kieszeń od wspólnego dobra? Gdy jednak przyszło do zgłaszania się na listę ofiarodawców, chętnych jakoś brakło. Wówczas to właśnie stanął na mów-

nicy młody Alkibiades: zgłosił kwotę dość znaczną, i to jako jeden z pierwszych, a może w ogóle pierwszy.

Dotychczas Alkibiades znany był swym ziomkom głównie ze skandalicznych plotek. Chyba właśnie dlatego jego ofiarność spotkała się ze szczególnym aplauzem ludu. Zapewne wielu wtedy myślało i mówiło:

– Alkibiades należy do pokolenia „pięknych dwudziestoletnich”. Tak głośno obecnie o zepsuciu młodzieży, o jej obojętności dla spraw państwa i demokracji! I oto okazuje się, że ten piękny dwudziestolatek kocha swoją ojczyznę bardziej od wielu dostojnych starców.

Podniosły się okrzyki, rozległy się oklaski. Kiedy Alkibiades zstąpił z mównicy, otoczyła go ciżba. Niespodziewanie wybuchł gromki śmiech: z fałd himationu młodziutkiego patrioty wyfrunęła kawka.

Alkibiades, zwyczajem ówczesnej złotej młodzieży, stale nosił przy sobie ptaka, który teraz polatywał wokół, trzepocąc podciętymi skrzydłami. Kawkę złapał młody sternik okrętowy imieniem Antioch; stało się to początkiem jego długotrwałej przyjaźni z Alkibiadesem.

W latach następnych właściciel kawki pięknie kontynuował swoją ofiarność na rzecz państwa. Nie szczędził starań, by jego liturgie zapisywały się w pamięci obywateli prawdziwie złotymi głoskami.

Nikiasowi łatwo było sprostać wydatkom związanym z karierą polityczną, należał bowiem do najmajętniejszych ludzi w Atenach. Głównym źródłem jego dochodów były kopalnie srebra w Laurion, gdzie trzymał setki niewolników. Natomiast Alkibiades dysponował skromniejszymi środkami. Posiadał jakieś majątki ziemskie oraz dom w mieście. Gdyby żył oszczędnie, jak poprzednio Perykles, jego krewny i opiekun, to mimo hojności na cele publiczne substancja majątku zapewne nie doznałaby poważniejszego uszczerbku. Ale właśnie w swoim życiu prywatnym Alkibiades był rozrzutny w sposób wręcz nieodpowiedzialny. Lubował się w pięknej, drogiej odzieży. Sławne były jego purpurowe płaszcze, długie, wlokące się po ziemi na wzór kobiecych. Tłumy na rynku nieraz podziwiała niedbałość, z jaką ciągnął za sobą tren kosztownej szaty. Nawet w czasie kampanii wojennych zwracał na siebie uwagę: noszono przed nim połączoną tarczę, której godłem był Eros z piorunami w rękę. Uczty Alkibiadesowe należały do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek oglądano w stolicy Związku. Stajnia koni wyścigowych, o której była mowa, pochłaniała jeszcze więcej pieniędzy. Najkosztowniejsze jednak były kobiety.

O miłosnych przygodach Alkibiadesa krążyły po mieście przedziwne opowieści.

\*

Ale właśnie przy pomocy kobiety chciał Alkibiades poprawić swoją sytuację majątkową. Prawie równocześnie z wkroczeniem w życie polityczne, a więc około roku 425, pojął za żonę jedną z najposażniejszych dziewcząt w Atenach. Sprawy majątkowe, które wiązały się z tym małżeństwem, przedstawiło w jaskrawych barwach pewne pismo anonimowe. Jego autorem był, oczywiście, wróg Alkibiadesa, można by więc sądzić, że to zmyślenia podyktowane nienawiścią. Jednakże inne źródła potwierdzają przynajmniej niektóre z oskarżeń wysuniętych w pamflecie. Oto rozdział poświęcony małżeństwu Alkibiadesa:

„Podziwiam ludzi, którzy święcie wierzą, że Alkibiades jest demokratą. Wydaje mi się, że w naszym ustroju sprawą najistotniejszą jest równość wszystkich obywateli. Widocznie więc ci, co upatrują w Alkibiadesie demokratę, zupełnie nie biorą pod uwagę jego życia prywatnego i nie dostrzegają jego żądzy posiadania i pychy.

Alkibiades poślubił Hipparę, córkę Hipponika. W posagu dostał sumę ogromną, bo aż 10 talentów. Niedługo potem teść zginął w bitwie pod Delion, żona zaś dała Alkibiadesowi syna

(pierwszego, który zresztą zmarł rychło). Cóż robi wówczas szczęśliwy ojciec? Natychmiast zgłasza się do brata swej żony, Kalliasa, i mówi:

– Należy mi się jeszcze 10 talentów. Twój ojciec obiecał mi, że podwoi posag, kiedy urodzi się pierwszy wnuk! I dostał te drugie 10 talentów, łącznie więc posag, jakiego jeszcze nigdy nie otrzymał żaden z Hellenów. Wtedy dał miarę swojej bezczelności! Sprowadzał sobie do domu kobiety lekkich obyczajów, niewolnice na równi z paniami wolno urodzonymi. Doprowadził do tego, że żona, kobieta wielkiej skromności, kochająca go i taktowna, musiała odejść. Przeniosła się do brata. W jakiś czas potem postanowiła, zgodnie z prawem, osobiście doręczyć archontowi prośbę o rozwód. Wtedy dopiero zjawił się Alkibiades! Zwołał swoich druhów i siłą porwał kobietę z rynku, w chwili gdy szła do urzędu. Czyż mógł jawniej okazać, jak gardzi godnością dostojnego urzędnika, prawem, obywatelami?

Nie poprzestając na tym, zaczął przemyśliwać, jak by tu skrycie uśmiercić Kalliasa, bo w ten sposób stałby się przez żonę dziedzicem całego majątku swego teścia. Sam Kallias oskarżył go o to przed zgromadzeniem ludowym. Nie wymienił wprawdzie Alkibiadesa po imieniu, stwierdził jednak:

– W razie gdybym zmarł bezdztynie, spadkobiercą moim ustanawiam cały lud ateński. Żyję bowiem w obawie, aby właśnie majątek nie stał się przyczyną mojej śmierci.

Kto tak traktuje własną żonę, a swojemu szwagrowi śmierć gotuje, jakże będzie się odnosił do zwykłych obywateli? Tymczasem on – rzecz najbardziej oburzająca – postępując w ten sposób jednocześnie przemawia jako przyjaciel ludu, a wszystkich innych polityków atakuje jako zwolenników oligarchii i wrogów władzy ludowej! Człowiek, który właściwie sam zasługiwałby na karę śmierci, bywa oskarżycielem innych, o sobie zaś mówi, że jest stróżem ustroju!”

\*

Postać Kalliasa, szwagra Alkibiadesa, jest ze wszech miar godna uwagi. Wyzyskiwał go nie tylko Alkibiades. Nawet najzłośliwsi komediopisarze uzalali się nad Kalliasem:

– Szlachetny jest, więc skubią go donosiciele! A jeszcze i samiczki pióra mu wydzierają.

Skubano tak dobrze, że pod koniec swego długiego życia (przeżył Alkibiadesa o lat kilkadziesiąt) Kallias miał całego majątku tylko dwa talenty, podczas gdy jego ojciec i dziad należeli do najbogatszych ludzi nie tylko w Atenach, lecz i w całej Helladzie. W jaki sposób strwonił Kallias tę fortunę?

Owszem, był czuły na wdzięki niewieście, ale najcięższe perypetie z kobietami miał we własnym domu. Jego pierwsza żona była córką niejakiego Glaukona. Dała mu syna, lecz rozwiodł się z nią bardzo szybko. Poślubił następnie córkę Ischomacha. Pożycie z nią nie trwało nawet roku, bo tymczasem Kallias zakochał się w matce swojej żony! Tak się właśnie złożyło, że teściowa owdowiała. Kallias wziął ją do domu – i żył jednocześnie z matką i córką. Wywołało to, rzecz prosta, powszechne oburzenie, tym większe, że Kallias piastował dziedziczną w jego rodzinie godność kapłana Demetery i Persefony. Żona nie mogła znieść upokorzenia. Chciała popełnić samobójstwo, odratowano ją w ostatniej chwili. Opuściła jednak dom męża; w ten sposób matka wyrzuciła córkę. Ale potem i ona (miała na imię Chryzylla) znudziła się Kalliasowi, więc kazał się jej wyprowadzić. Jednakże kobieta była w ciąży; rozpowiadała wszędzie, że to Kallias będzie ojcem. Urodziła syna.

Ponieważ Kallias stanowczo przeczył, że to ma być jego dziecko, krewni Chryzylli wymyślili podstęp. W czasie świąt Apaturiów, kiedy to właśnie Kallias pełnił obowiązki kapłańskie, stanęli z dzieckiem przy ołtarzu. Kallias zapytał:

– Czyjeż to maleństwo? Odpowiedziano:

– Kalliasa, syna Hipponika! Ten udał zdumienie:

– Kallias, syn Hipponika? W Atenach tylko ja się tak nazywam! Tamci zakrzyknęli:

– Więc właśnie twój jest ten chłopiec!

Jednakże Kalliasa nic nie zdołało wzruszyć. Położył rękę na ołtarzu i uroczyście przysiągł:

– Nie mam i nigdy nie miałem innego syna prócz tego, którego urodziła mi córka Glaukona! Jeśli kłamię, niech zguba spadnie na mnie i na całą moją rodzinę!

Później jakoś mu się odmieniło i znowu wziął Chryzylłę do swego domu. Chłopiec już dorastał. Kallias przedstawił go rodowi Keryków i oświadczył, że to jego dziecko. Któryś z nich sprzeciwił się wpisaniu chłopca na listę członków rodu, jednakże większość uznała, że ojciec ma prawo go zgłosić, musi jednak złożyć przysięgę, że to naprawdę jego dziecko. Kallias bez wahania położył rękę na ołtarzu i uroczyście przysiągł:

– To rodzony syn mój i Chryzylli!

Poza tym miał jeszcze Kallias dziecko nieślubne.

Ale bogacz wykosztowywał się nie tylko na rodzinę. Kto wie, czy jeszcze mocniej nie skubali go sofisci, czyli zawodowi nauczyciele krasomówstwa i adwokackich kruczków, podający się za mistrzów prawdziwej mądrości. Sam Sokrates, broniąc się przed sądem, tak mówił o Kalliasowym kulcie sofistów:

„Spotkałem raz człowieka, który wydał na sofistów więcej pieniędzy, niż wszyscy inni razem wzięci. Tym człowiekiem był Kallias, syn Hipponika. Miał on dwóch synów. Zapytałem go:

– Gdybyś miał źrebięta lub cielaki jako synów, tobyśmy mogli wziąć dla nich za opłatą jakiegoś nauczyciela, który by zrobił z nich istoty piękne i zacne – według cnót właściwych danemu gatunkowi. Byłby to oczywiście jakiś jeździec lub chłop. Ale skoro twoi synowie urodzili się ludźmi, jakiegoż damy im nauczyciela? Któż będzie ich uczył cnoty właściwej ludziom i społeczeństwu? Mam bowiem nadzieję, że myślałeś już o tym, skoro jesteś ojcem. Otóż – masz kogoś takiego, czy jeszcze nie?

– Oczywiście – odpowiedział mi Kallias.

– Któż to taki? I skąd pochodzi? I za ile uczy?

– Euenos, Sokratesie, urodził się na wyspie Paros, bierze 5 min!

Odpowiedziałem mu, że szczęśliwy ten Euenos, jeśli prawdziwie posiadał tę sztukę i pilnie jej uczy. Bo ja, gdybym umiał coś takiego, bardzo bym się szczycił i kazałbym dobrze sobie płacić!”

Tyle Sokrates. Można by jeszcze zrozumieć, że Kallias nie żałował pieniędzy, aby dać synom jak najlepsze wykształcenie (choć ironiczny ton Sokratesa wyraźnie wskazuje, że dobór nauczycieli był, raczej przypadkowy), natomiast mniej rozumiałe wydaje się to, że Kallias ustawicznie gościł w swym domu przedziwnych mędrków z wszystkich stron świata. Zapewne zdarzali się wśród nich także i prawdziwi uczeni, przeważał jednak raczej typ naukowca, to jest człowieka żyjącego nie dla nauki, lecz z nauki – pojmowanej po prostu jako zawód i rzemiosło w którym wszystko sprowadza się do opanowania pewnych chwytów i napuszonego żargonu oraz do żonglowania błyskotliwym słowem. Doszło do tego że nawet służba Kalliasa nie mogła już znieść natłoku rozgdakanych pyszałków. Przekonał się o tym również Sokrates. Przyszedł któregoś ranka do domu Kalliasa razem (z młodym Hippokratesem. Ale w przedśionku zatrzymali się na chwilę i rozmawiali o pewnej sprawie, kończąc dyskusję zaczęta wcześniej. Usłyszał ich mądre wywody odźwierny. Kiedy więc zastukali do bramy otworzył ją natychmiast, ale o nic nie pytając krzyknął:

Ejże, to sofisci! Pan nie ma teraz czasu! I od razu zatrzasnął bramę, oburącz i z całej siły. Tamci znowu zaczęli się dobijać, on zaś odpowiadał zza zamkniętych drzwi:

– Cóż z was za ludzie, nie słyszycie, że pan nie ma czasu? Na to Sokrates:

– Ależ my nie do Kalliasa, i w ogóle nie jesteśmy sofistami! Uspokój się i wpuść nas do środka! Chcemy tylko porozmawiać z Protagorasem!

Z wielkim trudem dostali się do domu. Zastali tam – prócz Ateńczyków – wielu mędrców z zagranicy. Był Protagoras, był Hippias z Elei, był Prodikos z wyspy Kos. Ten zajmował mały pokoik, który poprzednio służył za skarbczyk lub spiżarnię; obecnie jednak z powodu napływu miłych gości Kallias kazał wynieść stamtąd zapasy żywności i uzyskał w ten sposób dla swoich sofistów jedno pomieszczenie więcej. Prodikos leżał owinięty w koce i kilimy, młodzi zaś siedzieli koło niego na krzesłach.

Takie przyjęcia i gościny kosztowały bardzo dużo. Nadweręzały one majątek Kalliasa równie skutecznie, jak działalność polityczna, luksusowy tryb życia i stajnie koni wyścigowych rujnowały jego szwagra, Alkibiadesa.

Zresztą Kallias wydawał pieniądze nie tylko na naukę i uczonych. Przepych i zbytek były mu tak samo miłe, jak i mężowi siostry. Sławne były jego uczyty, w czasie których kobiety lekkich obyczajów i pieczeniarze rozkradali ze stołów złoto i srebro. Trzeba przyznać, że pod tym względem Alkibiades był mniej rozrzutny; to raczej on w sprzyjających okolicznościach skłonny byłby zabrać cudzą zastawę. Raz to zresztą zrobił. Zaszedł na przyjęcie do Anytosa, swego wielbiciela; przyprowadził ze sobą niejakiego Trazyllosa, ubożego człeczynę, z którym jednak wówczas chętnie przestawał. Do niego właśnie przepił kielichem przy stole w domu Anytosa, a potem, żeby uczcić i wzbogacić biedaka, rozkazał swojej służbie:

– Zabierzcie z kredensu połowę naczyń i zanieście do domu Trazyllosa!

Polecenie spełniono, przy czym Anytos nie odezwał się ani słowem. Alkibiades wstał, serdecznie go uściskał i opuścił dom, tak zdumiewająco gościnnie. Wśród zebranych podniosły się głosy oburzenia:

– Jak on mógł tak niegrzecznie postąpić! A na to Anytos z uśmiechem:

– Przeciwnie, postąpił bardzo grzecznie! Przecież mógł mi zabrać wszystko, a jednak połowę zostawił!

Inni opowiadali tę samą historię w nieco innej wersji, bardzo dla Alkibiadesa niepochlebnej. Mianowicie zaproszony do Anytosa na ucztę, wolał pić u siebie w domu. Zaszedł wreszcie do Anytosa, ale nie raczył wejść do sali, tylko stanął w drzwiach i rozkazał swoim chłopcom, żeby ściągnęli ze stołu część złotych naczyń i zanieśli mu do domu. I ta wersja przyznawała jednak, że Anytos nie tylko pogodził się ze stratą, ale jeszcze był wdzięczny za pozostawienie reszty zastawy.

W wiele lat później Anytos stał się jednym z oskarżycieli Sokratesa, którego przedtem podziwiał i często słuchał – tak samo jak Alkibiades.

\*

Gdyby Alkibiades zezwolił swej żonie, siostrze Kalliasa, złożyć pismo rozwodowe, straciłby posag, który mu wniosła. Dlatego właśnie siłą zabrał Hipparetę z rynku, sprzed samego gmachu, w którym rezydował archont. Wydarzenie to stało się głośnie. Mówi o nim nie tylko pamflet, napisany przez wroga Alkibiadesa, lecz również inne źródła. Z drugiej strony nie był to czyn tak niesłychany i bezprawny, jak by się wydawało. Dopóki Hippareta nie stanęła przed archontem i nie złożyła pisma, była żoną Alkibiadesa. A więc zgodnie ze zwyczajem i prawem mógł on każdym sposobem zmusić ją, by powróciła do domu! Niektórzy twierdzili nawet:

To właśnie samo prawo zachęca męża, by choćby siłą uniemożliwił żonie wszczęcie kroków rozwodowych. Przecież postanawia ono, że kobieta musi sama udać się do archonta i złożyć mu pismo osobiście, nie przez pośrednika. Dzięki temu mąż może zastąpić jej drogę jeszcze w ostatniej chwili.

Po tej sławnej scenie na rynku małżonkowie jakoś się pogodzili. Hippareta pozostała w domu męża i nie usiłowała już wnosić o rozwód. Zmarła zresztą młodo, najwyżej w kilka lat



po próbie porzucenia Alkibiadesa. Była mu zawsze wierna. On jednak aż nadto dobrze znał obyczaje ateńskich kobiet, toteż postanowił wypróbować stałość swej żony podstępem. Wysłał człowieka, który ofiarował Hipparecie olbrzymią sumę 1000 drachm za samą obietnicę przyścia na schadzki z pewnym, niby to zakochanym w niej mężczyzną. Hippareta skusić się nie dała, choć miała, wszelkie prawo, by pozwalać sobie na wiele. Jej mąż przekraczał bowiem zwykłą miarę swobody, skądinąd określoną dla mężczyzn bardzo szeroko. Zapewne sporo z tego, co opowiadano o Alkibiadesowych orgiach, to zwykła plotka, ubarwienie lub nawet świadome fałszerstwo, rozsiewane przez wrogów politycznych. Gdyby jednak za wiarogodną uznać tylko część opowieści, to i ona wystarczy, by wyczyny jego uznać za niezwykłe.

Pierwszą głośną aferę spowodował jeszcze jako, chłopiec. Któregoś dnia uciekł z domu swego opiekuna, Peryklesa. Z początku obawiano się, że został zamordowany lub porwany. Aryfron, brat Peryklesa, a zarazem współopiekun, radził, by przez woźnego ogłosić po mieście, że chłopiec zaginął. Jednakże Perykles sprzeciwił się temu stanowczo:

– Przypuśćmy, że stało się to najgorsze i chłopiec już nie żyje. Cóż zyskamy, wzywając do poszukiwań? Dowiemy się o jego śmierci może o dzień wcześniej. A jeśli nic się nie stało i Alkibiades jest po prostu u któregoś ze swoich wielbicieli, to w swoim czasie rzecz wyjdzie na jaw. Najważniejsze więc, żeby sprawa pozostała w rodzime. Jeśli woźny zacznie wykrzykiwać na rynku i po ulicach: Zaginął Alkibiades, syn Klejniasa! Wyszedł z domu i dotąd nie powrócił! – całe miasto przez wiele dni będzie mówiło tylko o tym. Kiedy chłopiec wreszcie wróci (a osobiście jestem tego całkiem pewny), wszyscy zaczną pytać, gdzie był, u kogo, dlaczego uciekł? Zła sława przylgnie do niego już na całe życie.

Zdanie Peryklesa przeważało. Woźny nie wyszedł z wołaniem na ulicę. Po pewnym czasie Alkibiades, zapewne nieco skruszony, zgłosił się do swych opiekunów. Przebywał, jak słusznie domyślał się Perykles, u jednego ze swych licznych wielbicieli. Choć starano się zachować rzecz w tajemnicy, wnet wiedzieli o niej wszyscy.

Pierwszym samodzielnym wyczynem Alkibiadesa po dojściu do pełnoletności była daleka podróż do miasta Abydos nad Hellespontem. Za towarzysza obrał swego młodego stryja, Aksjochosa. Nie była to bynajmniej ciekawość obcych krain, nie przywiodły ich tam studia lub interesy handlowe! Młodzieńców nęciła po prostu sława tego portu jako przybytku wszelkiej rozwiążności. Zagadnienie, czy jest to sławą uzasadniona, zgłębili na miejscu bardzo gruntownie. Jako przewodniczkę w badaniach obrali sobie dziewczynę lekkich obyczajów imieniem Medontis.

Według krążących później plotek, romans z Medontis miał swój ciąg dalszy, naprawdę skandaliczny. Dziewczyna powiła córeczkę. Obaj młodzi ludzie mogli uchodzić za ojców, i obaj się tego wypierali. To było zrozumiałe. Rzeczą gorsząca było to, co stało się po wielu latach. Córka Medontis wyrosła na piękną dziewczynę; urodę i obyczaje odziedziczyła po matce. Wówczas obaj domniemani ojcowie zaopiekowali się nią, ale w sposób szczególny: żyli z nią na zmianę, przy czym Alkibiades twierdził, że to córka Aksjochosa, ten zaś – że Alkibiadesa.

Takich opowiadań o synu Klejniasa krążyło po Atenach bez liku. Dzięki życzliwości bliźnich wszystkie one, prawdziwe i zełgano, natychmiast docierały do Hipparety. Co jednak sprawiło, że ostatecznie zdecydowała się ona na rozwód z Alkibiadesem? Może chodziło o dziewczynę z Melos, którą po kapitulacji wyspy zimą roku 416/5 Alkibiades zabrał do swego domu?

## WYCHOWAWCY

Wniosek, by wymordować na Melos wszystkich mężczyzn, kobiety zaś i dzieci sprzedać do niewoli, a także romans z jedną z Melijek, to niewątpliwie ukoronowanie amoralnych poczynań młodego Alkibiadesa. W porównaniu z tym jego miłostki i pijatyki, zamięłowanie do cudzej własności i nadużywanie urzędów dla osobistej korzyści wydają się dziecinnie niewinne. Tak samo błędną wobec sprawy Melos inne przejawy Alkibiadesowej samowoli i pychy. A było ich sporo, i to poczynając od jego lat chłopięcych. Co prawda, jako uczeń był Alkibiades raczej posłuszny i układowy. Tylko nauczyciel muzyki miał z chłopcem pewien kłopot; przedmiot ten należał wówczas, obok studium poezji i ćwiczeń gimnastycznych, do podstaw wykształcenia. Otóż Alkibiades stanowczo odmawiał uczenia się gry na flecie. Godził się grać tylko na lirze. Uzasadniał to tak:

– Grając na flecie nadyma się policzki. To zniekształca twarz do tego stopnia, że nie poznają jej nawet najbliżsi krewni. Lira natomiast w niczym nie zmienia nawet postawy ciała, jaka przystoi człowiekowi wolno urodzonemu. A poza tym, kto gra na lirze, może jednocześnie śpiewać. Flet w ogóle odbiera mowę!

Wysuwał też pewien argument patriotyczny:

– Niech grą na flecie popisują się ludzie z Beocji. Naszymi opiekunami są Atena i Apollon. Ona, jak wszyscy wiedzą, flet złamała, on zaś obłupił ze skóry pewnego fletnistę.

Jakiegokolwiek były przyczyny Alkibiadesowej wzdąry dla fletu, jego upór okazał się skuteczny. Nie tylko sam nie musiał uczyć się gry na tym instrumencie, lecz jeszcze zaraził swymi poglądami wielu kolegów. Przez pewien czas wśród ateńskich chłopców modną była tylko lira; instrument ten był odpowiednikiem dzisiejszej gitary.

Alkibiades bywał też agresywny. Z jakichś powodów naraził mu się nauczyciel czytania i pisanie. Toteż zaraz po opuszczeniu szkoły, a więc mając kilkanaście lat, podszedł do niego i z ujmującą uprzejmością poprosił o egzemplarz poematów Homera. Nauczyciel odpowiedział, że nie ma, co pewno było prawdą, bo książki były wówczas bardzo drogie i stosunkowo rzadkie. Ale wdzięczny wychowanek, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, zdzielił swego mistrza pięścią w twarz; później tłumaczył, że zrobił to wzburzony odmową.

Jako człowiek dorosły Alkibiades rozdzielał policzki bardzo hojnie. Najślawniejszy z nich wymierzył Taureasowi, i to na oczach tysięcy ludzi. Wydarzyło się to w czasie świąt ku czci Dionizosa, tzw. Dionizjów Miejskich, obchodzonych w marcu. Jedną z tradycyjnych imprez tych uroczystości był konkurs dziesięciu chórów chłopięcych. Każdy chór był wystawiony przez inną fyle (tak nazywano okręgi administracyjne, na które dzieliło się terytorium Attyki) i każdy, był szkolony kosztem któregoś z zamożnych obywateli, a więc w ramach świadczeń liturgicznych. Skutkiem tego rywalizacja chórów o pierwsze miejsce miała wyraźny charakter polityczny, bo spletały się tu ambicje zarówno fyl, jak i ludzi, którzy chór opłacali.

Pewnego roku wśród dziesięciu chórów jeden wystawiony był przez Alkibiadesa, drugi zaś przez niejakiego Taureasa. Taureas włożył w wyszkolenie swoich chłopców dużo pieniędzy i wszystko wskazywało na to, że właśnie jego chórowi przypadnie zwycięstwo. Alkibiades niespodziewanie przerwał występy krzycząc wielkim głosem, że jeden z chłopców na scenie nie jest Ateńczykiem. Istotnie, do chórów należeć mogli według prawa i zwyczaju tylko ci chłopcy, których rodzice mieli obywatelstwo ateńskie. Nie wolno było jednak usuwać obcych chórzystów w czasie samych występów, aby nie zakłócać przebiegu uroczystości. Tymczasem Alkibiades domagał się stanowczo, by chłopiec natychmiast opuścił scenę. Taureas

gwałtownie się temu sprzeciwił. Doszło między nimi do bójki. Ostatecznie Alkibiades wyrzucił nie tylko owego chłopca, lecz i samego Taureasa, którego przy sposobności spoliczkował.

A jak zachowali się widzowie i kolegium sędziowskie? Nikt nie wystąpił w obronie Taureasa, zwycięstwo zaś przyznano chórowi Alkibiadesa. Pisząc o tej sprawie autor pamfletu przeciw Alkibiadesowi wywodzi, że część sędziów wydała taki wyrok po prostu ze strachu, część zaś chciała się przypodobać energicznemu człowiekowi. Uważa jednak, że właściwą winę za to, co się stało, ponosi ogół obywateli:

„Nie ukaraliście bezczelnych sprawców zajścia. Bo surowi jesteście wobec tych, którzy popełniają przestępstwa skrycie, natomiast ludzi, którzy jawnie dopuszczają się gorszących czynów, podziwiacie!”

Spoliczkowanie kogoś można ostatecznie uznać za odruch, godny oczywiście potępienia, ale tylko odruch człowieka o gwałtownym temperamencie. Trudno tak jednak usprawiedliwiać i tłumaczyć to, co spotkało malarza Agatarchosa. W każdym zaś razie pamflecista upatrywał w tym przejaw nieposkromionej pychy i samowoli. Pisał:

„Alkibiades uważałby za niegodne siebie mieć już nie tyle samo co inni, lecz choćby tylko trochę więcej. A wami wszystkimi gardzi tak bardzo, że schlebia wam jedynie wówczas, kiedy jesteście w tłumie, każdym zaś z osobna poniewiera. Oto do czego się posunął w swojej bezczelności:

Namówił malarza Agatarchosa, żeby poszedł z nim do domu. A kiedy się tam znaleźli, prosił, żeby mu ozdobił ściany mieszkania malowidłami. Ten zaczął się wymawiać i podawał najrozmaitsze powody, dla których na razie nie może się tym zająć, jako że ma już zawarte umowy z innymi. Na to wszystko Alkibiades zagroził, że każe go okuć, jeśli nie zabierze się do malowania, i to szybko.

Tak się też stało. Alkibiades nie wypuszczał go z domu, aż wreszcie malarzowi udało się zmylić dozorców i uciekł, w czwartym dopiero miesiącu! Zupełnie jakby był więźniem króla perskiego! Alkibiades zaś jest tak bezczelny, że jeszcze poszedł do Agatarchosa i robił mu wymówki, jakby tamten go skrzywdził, bo nie dokończył malowania!

Jakiż więc jest pożytek z tej naszej demokracji i wszystkich swobód obywatelskich? Agatarchos był zakuty w kajdany jak niewolnik. Kiedy zawieramy układy z innymi państwami, obejmują one zawsze wyraźne postanowienie: zabrania się przetrzymywać lub więzić człowieka wolnego; kto by się tego dopuścił, podlega surowej karze. Proszę, Alkibiades to zrobił, a nikt nie wyznacza mu kary!

W moim przekonaniu tylko praworządność może nas uratować. Kto nią gardzi, ten podrywa i niszczy ostoję państwa.”

A więc autor pamfletu jest zdania, że ludzi typu Alkibiadesa wychowuje przede wszystkim tchórzostwo i służalczość całego społeczeństwa; toteż nie ma ono później prawa do narzekania. Pogląd, który warto zapamiętać.

Agatarchos, choć nie tak sławny jak wielu współczesnych mu twórców, ma jednak swoje zaszczytne miejsce w dziejach malarstwa i teatru. Był pierwszym malarzem dekoracji scenicznych. Opracował nawet zasady ich perspektywy w formie osobnego traktatu. Dziełko to czytano jeszcze kilka wieków później. Można więc zrozumieć, że Alkibiadesowi, który lubował się we wszelkim zbytku, bardzo zależało na tym, aby jego dom ozdobiły dzieła świetnego dekoratora. Czy jednak naprawdę go uwięził? I jak to się stało, że Agatarchos nie pozwał później przed sąd swego ciemieżyciela? To prawda, że Agatarchos nie był obywatelem ateńskim; pochodził z wyspy Samos. Ale państwo to należało do Związku Morskiego i złączone było z Atenami przymierzem, które gwarantowało, że praworządność będzie przestrzegana w stosunku do obywateli obu państw na zasadzie wzajemności.

Nie ulega więc wątpliwości, że pamflecista nieco zniekształcił rzeczywisty przebieg wypadku. Z drugiej strony pewne jest, że Agatarchos istotnie stał się ofiarą Alkibiadesa, bo

sprawa ta była bardzo głośna w Atenach, i to jeszcze w kilkadziesiąt lat potem. Tym, którzy dziwili się, że gwałt pozostał bezkarny, odpowiadano:

– Owszem, uwięził Agatarchosa, ale puścił go potem z królewskimi darami!

Wiarygodniejsza jednak jest inna wersja; Alkibiades miał przyłapać malarza w swoim domu ze swoją kochanką. Wspaniałomyślnie obiecał puścić to płazem, zażądał jednak wynagrodzenia za stratę moralną: Agatarchos musi przyzdobić mu pokoje malowidłami, a do pracy zabierze się natychmiast! Mistrz zgodził się na te warunki. Przez długi czas nie wychodził za próg Alkibiadesowego domu. Jednakże, jak to wynika z pamfletu, po trzech miesiącach uciekł, choć pracy jeszcze nie ukończył. Stąd właśnie pretensje Alkibiadesa.

A co mogłoby grozić Agatarchosowi za uwiedzenie kobiety w cudzym domu? Niełatwo to określić, bo ateńską ustawę można w tym wypadku rozmaicie wyklądać. Mąż, który schwytał kochankę u żony, miał prawo zabić go na miejscu, byle przy świadkach; nie ponosił wówczas żadnej odpowiedzialności. Czy jednak ustawę tę stosowano w wypadku, gdy uwiedziona była nałożnica? Wydaje się, że gdyby Alkibiades w pierwszym porywie wściekłości położył rywala trupem, niewiele by ryzykował. Zapewne, bez procesu by się nie obeszło. obrońca i oskarżyciel wygłosiliby mowy długie i piękne. Prawdopodobnie jednak zwyciężyłoby szerokie rozumienie ustawy: zabójca odszedłby wolny i triumfujący.

Agatarchos mógł być więc mówić o szczęściu, jeśli pokrzywdzony skazał go tylko na dekorowanie ścian mieszkania.

\*

Nieokielznaną samowolę Alkibiadesa wielu przypisywało po prostu temu, że już od wczesnego dzieciństwa chłopiec pozbawiony był surowej opieki ojcowskiej. Jego ojciec, Klejniaś, zginął w bitwie pod Koroneją, gdy Alkibiades liczył najwyżej pięć lat. Tę krwawą klęskę, jedną z najdotkliwszych w swej historii, ponieśli Ateńczycy głównie skutkiem zbyt dużej dumy Tolmidesa; a był to wódz znakomity, który wsławił się w wielu wyprawach.

Latem roku 447 powstały przeciw Atenom liczne miasta Beocji. Kraina ta graniczyła z Attyką od zachodu. Na pierwszą wieść o niepokojach w Beocji Tolmides zaczął zbierać zbrojnych i wnet uformował oddział liczący około tysiąca hoplitów; byli to niemal wyłącznie przedstawiciele najwyższych rodów ateńskich. Perykles sprzeciwiał się poczynaniom Tolmidesa. Powstanie w Beocji miało wyraźnie masowy charakter, a w dodatku wydawało się, że popierają je inne państwa Hellady, głównie, rzecz prosta, Lacedemon. Perykles doradził więc, by czekać na przybycie posiłków z miast Związku. Mimo to Tolmides wkroczył do Beocji. Początkowo wszystko rozwijało się pomyślnie. Kiedy jednak nadeszła jesień, zła pora do prowadzenia działań wojennych, oddział ruszył z powrotem ku granicom Attyki.

Groza tajemniczości otaczała później ów marsz przez beockie równiny. Opowiadano o Jakichś złych wróżbach. Jedni twierdzili, że wódz je zlekceważył, inni — że zrozumiał je opacznie. Mówiono też, że najeźdźców zgubiła wrogość bóstw Beocji. Fantastycznym opowieściom sprzyjało przede wszystkim to, że do Aten dotarło bardzo niewiele świadków tragedii, ci zaś ubarwiali swoje przeżycia, aby usprawiedliwić klęskę tak miażdżącą.

W istocie rzeczy Ateńczycy sami ściągnęli na siebie to nieszczęście. Pod Koroneją zebrali się nie tylko Beoci, ale i mieszkańcy pobliskiej Eubei. I tam bowiem Ateńczycy sprawowali twarde rządy po swojemu: popierali demokratów, wyganiali oligarchów. Kilka miesięcy przedtem Tolmides wprowadził na Eubeję kilkuset ateńskich osadników; wywołało to na wyspie ogromne wzburzenie. Przybyli też z zachodu Focejczycy, dotychczas sojusznicy Aten. Nieprzyjaciel uderzył na ateńską kolumnę rozciągniętą w marszu — uderzył niespodziewanie i w przeważającej liczbie. Był to z pewnością najjaskrawszy dowód powszechnej nienawiści do ateńskiej władzy w całej środkowej Helladzie.

Z zastępu tysiąca ateńskich hoplitów nikt się nie uratował. Wielu zginęło, inni poszli do niewoli. Tolmides poległ na polu bitwy. Wśród zabitych był też Klejnias.

Na ateńskim cmentarzu państwowym za Bramą Dipylońską, gdzie chowano zasłużonych, stanął wielki zbiorowy grobowiec. Napis wyryty na jego płycie głosił w pierwszych słowach:

„Nieszczęśni! Tocząc straszliwe zmagania w bitwie beznadziejnej, z woli bogów oddaliście swe życie. Nią zgubiła was wraza przemoc – to któryś z herosów zadał ten cios umyślnie.”

Klejnias osierocił dwóch synów; Alkibiades był starszy, młodszy nazywał się tak samo jak ojciec. Opiekę nad oboma objął, jak już kilkakrotnie była o tym mowa, Perykles oraz brat jego, Aryfron. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sam Klejnias, udając się na wyprawę wojenną, prosił ich o to w testamencie; było to wówczas często praktykowane.

Jakie pokrewieństwo łączyło opiekunów z sierotami? Dość bliskie, ale – rzecz charakterystyczna – tylko w linii żeńskiej: byli oni cioteczными braćmi, żony Klejniasa, Dejnomychy. Zazwyczaj na opiekunów wybierano krewnych ojca; wydaje się jednak, że, w tym wypadku było to niemożliwe, bo rodzony brat Klejniasa, Aksjochos, był jeszcze sam bardzo młodym człowiekiem. Zresztą późniejszym swym życiem Aksjochos pokazał dowodnie, że całkowicie nie nadawałby się na opiekuna nieletnich. To właśnie on wyprawił się z Alkibiadesem do Abydos, by zakosztować tam łatwej miłości.

Drugim, co najmniej równie ważnym powodem, dla którego Klejnias wybrał na opiekuna swych dzieci Peryklesa, było to, że już od wielu lat odgrywał on czołową rolę w życiu politycznym Aten. Był przywódcą stronnictwa demokratycznego i wielokrotnym strategiem. Cieszył się powszechnym poważaniem jako człowiek nieposzlakowanie uczciwy (co w Atenach należało do rzadkości), mądry i opanowany. Klejnias, choć pochodził ze znakomitego rodu, politycznie związany był z demokratami, a z krewnym swej żony współpracował bardzo ściśle. Zaledwie na kilka miesięcy przed ową nieszczęsną wyprawą do Beocji Klejnias przedłożył zgromadzeniu ludowemu projekt ustawy, opracowany niewątpliwie z inicjatywy samego Peryklesa. Ustawa wprowadzała nowy sposób ściągania składek od państw należących do Związku Morskiego. A właśnie w tym czasie Perykles zaczął brać w karby państwa związane; dążył do całkowitego ich uzależnienia od Aten.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wybór dokonany przez Klejniasa można by uznać za bardzo trafny. Czy jednak istotnie należało wyznaczać na opiekuna dzieci kogoś tak pochłoniętego sprawami wielkiej polityki? I czy w ogóle osoba Peryklesa oraz stosunki w jego domu mogły wywierać dodatni wpływ na wychowanków?

\*

Perykles, zawsze i wszędzie, zachowywał się poważnie, godnie, statecznie. Towarzysko nie udzielał się prawie w ogóle, nie przyjmował zaproszeń na przyjęcia i uczyty. W mieście spotkać go było można właściwie tylko na jednej ulicy: tej, która wiodła z jego domu na rynek, do budynków rządowych. Szedł tą ulicą powoli, zawsze zamyślony. Ubierał się skromnie, ale bardzo schludnie; ze szczególną skrupulatnością zważał, aby fałdy szaty układały się równo. Publicznie przemawiał raczej rzadko, ale słuchano go wówczas z wielkim skupieniem. Jego mowy były rzeczowe i jasne, oszczędne w słowach, wygłaszane bez żadnej afektacji. Właśnie ta prostota przekonywała bardziej niż pusta retoryka wyświechtanych komunałów. Wszystko to, a zwłaszcza niewzruszony spokój, zyskało Peryklesowi przydomek Olimpijczyka. Miało to oznaczać, że jest on tak samo wyniesiony ponad tłum, jak Zeus na Olimpie ponad chmury i zamęt ludzkiego świata.

A jak przedstawiały się stosunki rodzinne Olimpijczyka?

Ożenił się ze swoją daleką krewną; imienia jej nie znamy. Miał z nią dwóch synów, Ksantyposa i Paralosa. Jednakże małżeństwo nie było dobrane. Ona zapewne nie miała łagodnego usposobienia, on zaś niewątpliwie dawał jej wiele powodów do zazdrości. Miłostki Peryklesa były w Atenach powszechnie znane. Wyśmiewano je nawet w komediach. Około roku 450, a więc niedługo przed bitwą pod Koroneją domowe rozterki zakończyły się wreszcie rozwodem. Była żona Peryklesa wyszła za mąż powtórnie, za Hipponika. Z tego to małżeństwa przyszedł na świat Kallias, który strwonił majątek poszukując mądrości i rozkoszy, oraz Hippareta, którą później miał poślubić Alkibiades.

Natomiast Perykles wziął do swego domu dziewczynę imieniem Aspazja. Pochodziła ona z Miletu, nie posiadała więc ateńskiego obywatelstwa. Już to samo wykluczało możliwość zawarcia z nią legalnego małżeństwa. Zresztą sprzeciwiały się temu także ówczesne względy obyczajowe, oboje bowiem wywodzili się z zupełnie różnych warstw społecznych. Ojciec Aspa-zji był kupcem, Perykles zaś należał do wysokiej arystokracji. W demokratycznych Atenach przywiązywano dużą wagę do znakomitości rodu. Małżeństwo polityka z kobietą z „niższych sfer” byłoby bardzo źle widziane, i to właśnie przez owe „niższe sfery”! Utrzymywano też, zarówno wówczas, jak i potem, że Aspazja, zanim związała się z Peryklosem, była heterą, a więc dziewczyną lekkich obyczajów. W życiu towarzyskim Aten hetery odgrywały wielką rolę. W przeciwieństwie bowiem do mężatek, zawsze zamkniętych w domu, mogły swobodnie być wszędzie. Było wśród nich wiele kobiet takich jak Aspazja – inteligentnych i wykształconych. Żenić się z heterą jednak nie wypadało.

Aspazja urodziła Peryklesowi syna, któremu dał on swoje imię. Być może dziecko przyszło na świat w tym samym roku, w którym osieroceni synowie Klejniasa znaleźli się w domu opiekuna. Tak więc wychowywało się u Peryklesa pięciu chłopców; dwóch z jego pierwszego małżeństwa, dwóch podopiecznych i jeden nieślubny. Wychowywali się na pewno razem, bo różnica wieku pomiędzy najstarszym a najmłodszym nie mogła wynosić więcej niż pięć lub sześć lat. Kapłanką tego domowego ogniska była kobieta, o której krążyły po Atenach plotki bardzo ucieszne. Kiedy chłopcy podrośli, niechybnie dowiedzieli się o wszystkim. Postarała się o to choćby pierwsza żona Peryklesa i nie bez skutku, bo stosunki pomiędzy Peryklosem a jego pierworodnym synem Ksantyposem układały się jak najgorzej. Wielokrotnie wyszydano Aspazję publicznie, na scenie teatru. Przypisywano jej zgubny wpływ na Peryklesa, zarzucano nawet mieszanie się do spraw politycznych. Sami chłopcy co dzień mogli oglądać, jak Perykles całuje Aspazję, ilekroć wychodzi z domu lub powraca. Całe miasto mówiło o tym ze zgorzeniem, bo jawne okazywanie czułości kobiecie, nawet ślubnej żonie, było przez Ateńczyków źle widziane.

Życie rodzinne w tym domu trudno byłoby więc uznać za budujące czy choćby normalne – oczywiście, patrząc na nie oczyma współczesnych.

Sam Perykles był zbyt zajęty sprawami państwa, by osobiście czuwać nad tym, jak zachowują się chłopcy i jak przebiega ich kształcenie. We wszystkich zamożniejszych domach dziećmi opiekowali się niewolnicy – a raczej chyba tylko udawali, że się opiekują. Z reguły bowiem na „pedagogów” wybierano niewolników najstarszych, a więc nie nadających się już do żadnej pracy. W domu Peryklesa funkcję tę sprawował Zopyros, który – jak bardzo wielu niewolników w Atenach – pochodził z Tracji; być może zresztą, że miał powierzonego sobie tylko Alkibiadesa, co chyba sprawiało aż nadto kłopotu.

Ze wszystkich spraw domowych naprawdę interesowało Peryklesa tylko jedno: jak najdalej posunięta oszczędność w prowadzeniu gospodarstwa. Podstawę bytu całej rodziny stanowiło to, co zdołano uzyskać ze sprzedaży płodów rolnych. Perykles nie brał udziału w żadnych przedsięwzięciach kupieckich i finansowych, choć to one dawały wówczas największe dochody; przywódca demokratów uważał widocznie, nie bez racji, że to podejrzane, jeśli polityk dochodzi do wielkiego majątku. Baczył więc pilnie, aby dochód z ziemi wystarczył na cały rok, i sam wyznaczał dokładnie, ile można wydać każdego dnia.

Perykles na pewno chciał swoim przykładem przyuczyć chłopców do skromnego, oszczędnego trybu życia. Szlachetny zamiar dał, jak to zwykle bywa, skutki wręcz przeciwne. Chłopców bolało, że nie mogą żyć tak wesoło i swobodnie jak wszyscy ich rówieśnicy z możnych domów. Ksantypos żył z wydzielanych przez ojca niewielkich pieniędzy nawet wówczas, gdy się ożenił. Doprowadzony do ostateczności dopuścił się oszustwa: pożyczył dość znaczną kwotę, występując w imieniu Peryklesa.

\*

W rozmowie z Protagorasem w domu Kalliasa (do którego, jak pamiętamy, odzwierny nie chciał już wpuszczać sofistów) Sokrates powiedział:

– Ja, tak samo zresztą jak inni Hellenowie, twierdzą, że Ateńczycy to mądrzy ludzie. Ale cóż widzę? Oto zbieramy się na zgromadzeniach ludowych. Zdarza się, że trzeba rozważyć sprawy dotyczące jakichś budowli państwowych. Powołujemy wówczas architektów, zęby nam doradzali. Podobnie, kiedy chodzi o budowę okrętów; wzywamy wówczas cieśli okrętowych. I tak się dzieje ze wszystkim, co, jak sądzą Ateńczycy, może być przedmiotem nauczania. A czegoż nie wyrabiają, kiedy próbuje radzić im ktoś, kogo nie uważają za fachowca w danej dziedzinie! Choćby nawet był to człowiek bardzo sympatyczny, bogaty; dobrze urodzony, nie przyjmą od niego żadnej wskazówki. Wyśmiewają go i hałasują dotąd, póki albo on sam, zagłuszony, nie przestanie mówić, albo nie ściągnie go z mównicy i nie wyrzuci na rozkaz prytańów służba porządkowa. Tak postępują Ateńczycy w sprawach, które uważają za domenę fachowców. Ale kiedy trzeba radzić o czymś z zakresu ekonomii politycznej, to wtedy wstają i rad udzielają na równi: murarz, kowal, szewc, kupiec, dowódca okrętu, człowiek bogaty i biedny, arystokrata i ktoś z pospólstwa. I nikt im nie ma tego za złe! A przecież nigdzie nie uczyli się tej umiejętności, nikt z nich nie miał żadnego nauczyciela! Oczywiście stąd wniosek, że – zdaniem Ateńczyków – ekonomii politycznej w ogóle nie można się nauczyć.

Zresztą tak ma się ta rzecz nie tylko, jeśli chodzi o ogół. Bo również najmędrsi i najlepsi z naszych obywateli, wzięci z osobna, nie sądzą, aby mogli przekazać innym swoje własne cnoty obywatelskie. Oto Perykles, ojciec tych młodzieniaszków (Sokrates wskazał na Ksantyposa i Paralosa), znakomicie wychował ich we wszystkich umiejętnościach, które mają swoich nauczycieli. Ale w tym, co jest jego mądrością, zgoła ich nie wychowuje i nawet nie szuka dla nich nauczycieli! Chodzą więc sobie ci chłopcy jak chcą i pasą się swobodnie, niby owe bogom poświęcone zwierzęta. Może gdzieś przypadkiem sami trafią na obywatelską cnotę? A jeśli chcesz więcej przykładów, to jeszcze i ten: Klejnias jest młodszym bratem Alkibiadesa. Perykles i jego wychowywał, obawiał się jednak, że Alkibiades będzie miał na niego zły wpływ: oddał więc Klejniasa do domu Aryfrona, swego brata. Nie minęło jednak sześć miesięcy, a Aryfron przypro-dza go z powrotem, bo rady sobie dać nie mógł z chłopakiem! Mógłbym wymienić ci jeszcze wielu innych, którzy, choć sami zacni, nigdy nie potrafili nikogo uczynić lepszym, czy to idzie o członków własnej rodziny, czy o obcych

Tyle Sokrates. Jakżeż jednak Perykles miał wywierać zbawienny wpływ na swego podopiecznego, skoro ten żył w świecie o zupełnie odmiennej moralności? Co jeden uważał za cnotę i zasługę, to dla drugiego było tylko naiwnością. Kiedyś na przykład (tak opowiadano) Alkibiades zastał drzwi od pokoju Peryklesa zamknięte; przez długi czas pan domu nikogo nie wpuszczał. Chłopiec zapytał później opiekuna o przyczynę tej samotności. Perykles odpowiedział z dumą?

– Pracowałem nad sprawozdaniem rachunkowym dla państwa! Alkibiades poradził mu wówczas życzliwie:

– Lepiej byś popracował nad tym, jak by w ogóle nie składać takich sprawozdań!

Ostatecznie można zrozumieć, że mąż stanu nie umiał sobie poradzić z młodym człowiekiem. Czemu jednak nie udało się to filozofowi? I jakież to w ogóle stosunek, łączył Alkibiadesa z Sokratesem?



## MIŁOŚĆ FILOZOFICZNA

Okadzę to, Sokratesie? Pewnie z łowów na Alkibiadesową młodość? Widziałem go niedawno. Wydał mi się pięknym mężczyzną – ale właśnie już mężczyzną! Między nami – musimy to sobie powiedzieć otwarcie: już i bródka gęsta mu się sypie.

– To i co z tego? Widać nie pochwalasz Homera, który mówi: najwdzięczniejszy to wiek, kiedy zjawia się pierwszy zarost. A Alkibiades jest właśnie w tym wieku!

– Ale jak się mają sprawy? Naprawdę wracasz od niego? Jak się odnosi do ciebie?

– Wydaje mi się, że dobrze. A dzisiaj chyba całkiem nie najgorzej. Często zabierał głos w mojej obronie, pomagał mi. Właśnie się z nim rozstałem. Ale muszę ci powiedzieć, że zdarzyło się coś dziwnego: chociaż był przy mnie, nie zwracałem na niego uwagi, a często w ogóle zapomniałem o jego obecności!

– A cóż to takiego się działo z nim i z tobą? Bo jedno jest pewne, żeś nie spotkał w tym mieście nikogo, kto by był od niego piękniejszy!

– A owszem, spotkałem, i to kogoś znacznie piękniejszego!

– Co ty mówisz! A któż to był? Ktoś tutejszy czy cudzoziemiec?

– Cudzoziemiec.

– Skądże to?

– Z Abdery.

– I ten cudzoziemiec wydał ci się tak piękny, że nawet piękniejszy od syna Klejniasa? – Mój drogi, jakżeż nie ma się wydawać piękniejsze to, co najmądrzejsze?

– To znaczy, że wracasz ze spotkania z jakimś mędrcem?

– I to z takim, który mądrością przewyższa wszystkich współczesnych – jeśli uznajesz, że Protagoras jest najmądrzejszy,

– Co powiadasz! Protagoras jest tutaj?

– I to już trzeci dzień!

Taką rozmowę Sokratesa z którymś z jego znajomych przytacza Platon na początku „Protagorasa”. Rozmowa ta odbyła się zapewne w roku 434 lub 433, kiedy Alkibiades miał lat około dwudziestu i rzeczywiście stawał się już mężczyzną. Uwielbienie, jakim Sokrates darzył syna Klejniasa, było powszechnie znane w Atenach. Toteż Platon, piszący o nich obu w pół wieku później, nie mógł pominąć tej drażliwej sprawy. Dokładał jednak starań, aby przedstawić rzecz w jak najlepszym świetle. Przyznaje więc w swych pismach, i to niejednokrotnie, że Sokrates gorąco pragnął przebywać w pobliżu młodego człowieka, z drugiej strony jednak zaznacza z naciskiem, że filozof ponad wszystko stawiał miłość mądrości.

A jak było w rzeczywistości? Opowiadano, że Sokrates, nękany przemożnym uczuciem, szukał pociechy i rady nawet u Aspazji; znał ją dobrze i inteligencję jej cenił wysoko. Jeszcze długo potem czytano w Atenach poemacik w formie dialogu między piękną przyjaciółką Peryklesa i raczej szpetnym dziwakiem, który wzdychał do Alkibiadesa. Zaczynało się to od słów:

– Sokratesie, nie ukryło się przede mną, że twoje serce goreje miłością do syna Dejnoma-chy i Klejniasa! Więc posłuchaj mnie, jeśli naprawdę chcesz, żeby chłopiec mile cię widział! Zaufaj memu posłannictwu, tak z pewnością będzie lepiej dla ciebie!

Odpowiedź Sokratesa miała brzmieć:

– Mnie zaś, gdym usłyszał te słowa, z radości pot obfity zrosił, a z oczu chętna łza popłynęła...

Następnie Aspazja radziła Sokratesowi, żeby przyciągnął młodego człowieka, wzbudzając w nim zamiłowanie do poezji. Z dalszego fragmentu wynika jednak, że ów wzniosły sposób nie był skuteczny, więc Aspazja pyta:

– Czemuż to płaczesz, miły Sokratesie? W ujęciu Platona wszystko to wyglądało nieco inaczej. Sokrates, choć pełen podziwu dla urody Alkibiadesa, zawsze panował nad sobą. Sam Alkibiades opowiadać miał o tym bez obsłonek na owej uczcie u Agatona, zimą roku 416, kiedy to przyszedł spóźniony, pijany, prowadzony przez fletnistkę i towarzyszy. Właśnie wino pozwoliło mu śmielej mówić o sprawach intymnych.

\*

Bo musicie wiedzieć, że żaden z was go nie zna. Ale ja wyjawię wszystko, skoro raz już zacząłem! Myślicie, że Sokrates uwielbia pięknych ludzi, że zawsze przy nich się kręci i od zmysłów odchodzi. Taki już jest jego sposób bycia. I czyż nie przypomina w tym figurek sylenów? Myślę o tych, co je snycerze rzeźbią i sylen siedzi i gra na flecie lub na piszczalkach, a kiedy się go otworzy, w środku widać posążek bóstwa. Tak, Sokrates najbardziej przypomina owe sylenie figurki! Bo cały ten jego sposób bycia jest tylko czymś zewnętrznym, jak owa rzeźbiona pokrywa. Ale nawet nie przypuszczacie, panowie tu ze mną pijący, ile w nim jest powściągliwości! Musicie wiedzieć, że prawdziwa uroda zupełnie go nie wzrusza. Co więcej, gardzi kimś takim, i to tak bardzo, że uwierzyć trudno. Tak samo zachowuje się też wobec ludzi bogatych i w ogóle wobec wszystkich, których udziałem są wartości wysoko cenione przez tłum. Bo według niego – wszystkie te dobra nic nie znaczą, a my w ogóle się – nie liczymy – ja wam to mówię! Przez całe życie bez przerwy tylko udaje i żartuje sobie z ludzi. Nie wiem, czy ktokolwiek widział te podobizny bogów, które on nosi w sobie; a otwiera swoje wnętrze, kiedy jest poważny. Ja pewnego razu mogłem spojrzeć na te posągi. Wydały mi się tak boskie, tak złote, tak piękne i godne podziwu, że wręcz postanowiłem: trzeba zrobić wszystko, co Sokrates mi każe.

A wydawało mi się wtedy, że jemu naprawdę podoba się urok mojej młodości. Więc myślałem sobie:

Oto udało mi się znaleźć skarb ukryty, oto miałem szczęście niesłychane! Będę posłuszny Sokratesowi i dzięki temu usłyszę od niego wszystko, co tylko on wie. Byłem niewiarygodnie dumny ze swojej urody. Kiedy więc doszedłem do tego wniosku, tak zacząłem postępować:

Poprzednio nigdy nie spotykałem się z Sokratesem sam na sam; zawsze towarzyszył mi służący. Ale od tej chwili zacząłem odsyłać niewolników i pozostawałem z nim bez świadków. Tak, muszę wam powiedzieć całą prawdę – a wy uważajcie pilnie! Jeśli zaś skłamię, ty, Sokratesie, od razu to sprostuj! A więc, panowie, pozostawałem z nim sam na sam. Myślałem, że on zaraz będzie chciał rozmawiać ze mną tak, jak zazwyczaj wielbiciel rozmawia ze swoim ukochanym – i bardzo się na to cieszyłem. Tymczasem nic takiego się nie stało! Potrafił przegadać ze mną dzień cały, a potem odchodził.

Z kolei więc poprosiłem go, żeby wspólnie ze mną ćwiczył. Spodziewałem się, że w ten sposób czegoś dokąże. Często więc ćwiczył ze mną i mocował się, i to bez świadków. Ale co tu dużo mówić? Niczego nie osiągnąłem. Skoro więc nie doszedłem tą drogą, pomyślałem sobie: Trzeba bardziej nalegać na człowieka i nie popuszczać, skoro już raz zacząłem. Muszę się dowiedzieć, o co w ogóle tu chodzi!

Wreszcie zaprosiłem go do siebie na kolację – zupełnie jak wielbiciel, który chce złowić ukochanego. Nie od razu przyjął zaproszenie, dał się jednak przekonać. Kiedy przyszedł po raz pierwszy, zaraz po posiłku chciał odejść. Zawstydziłem się wtedy i puściłem go. Ale za drugim razem wszystko poprowadziłem inaczej. Po kolacji rozmawialiśmy długo. Była głę-

boka noc, kiedy zaczął zbierać się do wyjścia, mówiąc, że już późno. Zmusiłem go, żeby został. Położył się więc na sofie, tuż przy mojej. Leżał na niej już przy kolacji.

Aż do tego miejsca można by tę całą historię opowiedzieć gładko komukolwiek. O tym jednak, co się później stało, nigdy byście ode mnie nie usłyszeli, gdyby nie wino, które – jak to powiada przysłowie – jest prawdą tak samo przy dzieciach, jak i bez dzieci. A zresztą wydaje mi się niesłuszne, żeby wieść o tak wspaniałym czynie Sokratesa miała przepaść bez śladu, skoro już zaczęło się go chwalić. I wreszcie, czuję się jak człowiek, którego ukąsiła żmija. Bo mówią, że ukąszony nie chce opowiadać o swoich cierpieniach nikomu prócz tych, którzy także zostali ukąszeni; bo tylko oni to znają i wybaczą wszystko, co ośmielił się czynić i mówić, kiedy szalał z bólu. A przecież mnie ukąsiło coś, co chyba sprawia największy ból! I to ukąsiło w miejsce najczulsze, bo w serce czy w duszę, czy jak tam należy to nazwać. Ukąsiły mnie i zraniły rozmowy o filozofii. Są one groźniejsze od żmii, kiedy uczepią się duszy młodej i zdatnej. Sprawiają, że człowiek wszystko ośmiela się czynić i mówić. A zresztą – widzę tu Fajdrosów, Agatonów, Eryksymachów, Pauzaniaszów, Arystodemów, Arystofanesów – cóż mówić o samym Sokratesie i o pozostałych, ilu ich tam jeszcze jest! Wy wszyscy uczestniczycie w tym zapamiętaniu i szale filozofa. Dlatego też wszyscy słuchajcie tego, co powiem. Wybaczycie to, co się wówczas stało, a także słowa, które teraz padną! A domownicy – i jeśli jest tutaj ktoś nie wtajemniczony i nie wychowany – niechże zamkną swoje uszy na wszystkie zasuwę!

Kiedy więc lampka zgasła i chłopcy wyszli, powiedziałem sobie: nie będę już wobec niego udawał, uczciwie wyłożę wszystko, co postanowiłem. Dotknąłem go lekko ręką i zapytałem:

– Ty śpisz, Sokratesie? On na to:

– Jeszcze nie!

– Wiesz, co sobie umyśliłem?

– Cóż takiego?

– Wydaje mi się, że ty jeden byłbyś mnie godny. Ale mam też wrażenie, że coś nie kwapisz się z wyjawieniem swojego uczucia. A ja myślę, że to by było głupio z mojej strony, gdybym ci nie ofiarował nie tylko siebie, ale i wszystkiego, czego zechcesz, czy to z własnego majątku, czy też z majątku moich przyjaciół. Bo dla mnie najważniejsze jest – móc się doskonalić. A sądzę, że w tym nikt mi nie potrafi tak dopomóc jak ty. Toteż jeśli bym ci nie uległ, wstydzilibym się wszystkich ludzi rozsądnych. I to bardziej, niż wstyd mi będzie wobec pospólstwa i głupców – jeśli ci ulegnę!

On wysłuchał tego i zaraz powiedział bardzo ironicznie, a bardzo w swoim sposobie, jak to zwykle:

– Mój miły Alkibiadesie, ty chyba naprawdę nie jesteś głupi, jeśli rzeczywiście ze mną jest tak, jak to mówisz: że jest we mnie jakaś siła, dzięki której mógłbyś stać się lepszy. Gdyby tak istotnie było, widziałbyś we mnie jakieś piękno niezmiernie i całkowicie odmienne od twoich urodziwych kształtów. Chcesz więc wejść ze mną w spółkę i to swoje piękno zamienić na moje. Czyli zamyślasz zrobić na mnie dobry interes; za pozór piękna zyskać piękno prawdziwej Istotnie więc, jak to mówią, chcesz spiż na złoto wymienić! Przyjrzyj mi się jednak lepiej, mój najdroższy, żeby się nie ukryła przed tobą moja nicość. Bo tak to już jest, że bystrość rozeznania przychodzi dopiero wtedy, kiedy słabnie siła oczu. A tobie jeszcze daleko do tego!

Ja mu na to:

– Swoje już powiedziałem i nie było w tym nic, czego bym naprawdę nie myślał. A ty się zastanów, co uznasz za najlepsze dla ciebie i dla mnie!

On zaś odparł mi spokojnie:

– Dobrześ to powiedział. Później kiedyś naradzimy się nad tym i postąpimy tak, jak wyda się nam najlepiej. Zarówno w tej sprawie, jak i w innych.

\*

To „później” było tylko oględnym „nigdy”, przynajmniej jeśli wierzyć Platonowi. Zresztą wkrótce po owej nocy nie spełnionych marzeń doszło do ważnej odmiany w życiu obu, filozofa i pięknego dwudziestolatka. Obaj znaleźli się w wojsku, i to daleko od ojczyzny. Alkibiades należał już do tych roczników, które wysyłano na wyprawy wojenne w obce kraje, Sokrates zaś, choć zbliżał się do czterdziestki, jeszcze podlegał temu obowiązkowi.

Właśnie w roku 433 rozpoczęły się działania wojenne pod murami Potidai na półwyspie Pallene; miały one trwać długo. Potidaja należała dotychczas do Związku Morskiego, usiłowała jednak z niego wystąpić. Na to Ateńczycy nie pozwalali nigdy. Przystąpili więc do oblężenia krnąbrnego grodu. Mało kto zdawał sobie wówczas sprawę, że są to pierwsze płomienie wojny z Lacedemonem, która miała wybuchnąć wiosną roku 431.

W piętnaście lat później, na uczcie u Agatona, Alkibiades tak opowiadał o wojaczce swojej i Sokratesa:

– Razem braliśmy udział w wyprawie przeciw Potidai. A żyliśmy tam razem pod jednym namiotem. Otóż odpornością na wszelkie trudy Sokrates przewyższał nie tylko mnie, ale też innych. A kiedy zdarzało że – jak to bywa na wojnie – odcięci, musieliśmy głodować, nikt nie mógł dorównać jego wytrzymałości. W czasie zabaw on jeden potrafił raczyć się każdą potrawą. Także w picciu – przymuszony, bo tak to w ogóle tego nie lubił – wszystkich przetrzymywał. A co najdziwniejsze, nikt nigdy nie widział Sokratesa pijanego! Zresztą wydaje mi się, że o tym będziemy mogli wnet się przekonać. Nieczułości na zimno (a mrozy tam są straszne) dawał dowody zdumiewające. Pamiętam, pewnego razu mróz był tak Ostry, że nikt na dwór nie wychodził. Jeśli już ktoś wyjść musiał, to wdziawał na siebie co tylko było można, nogi zaś owijał filcem i skórą. A Sokrates wychodził sobie wtedy w tym samym himationie, co zawsze. Przez lód łatwiej szedł boso niż inni w butach! Toteż żołnierze niechętnie na niego patrzyli, że to niby wszystkim gardzi. Tak to właśnie było.

Warto jednak, żebyście posłuchali, „co takiego dokazał i zdzierzył mąż twardy” w czasie owej wyprawy. Oto pewnego ranka zamyślił się nad czymś i przystanął. A ponieważ jakoś mu się nie wiodło w tym myśleniu, stał dalej i wciąż się zastanawiał. Było już południe, ludzie zwrócili na to uwagę. Jeden mówił drugiemu:

– Sokrates już od samego świtu tak stoi i rozmyśla!

Zaczęło zmierzchać. Po wieczerzy niektórzy wynieśli sienniki – bo działo się to latem – żeby spać na chłodzie. Zarazem dawali baczenie, czy i przez noc Sokrates będzie stał w tym samym miejscu. On zaś rzeczywiście tkwił tam aż do świtu. Dopiero kiedy wzeszło słońce, pomodlił się do niego i ruszył dalej.

Pytacie o bitwy? To sprawiedliwie trzeba mu przyznać: w bitwie, po której strategowie odznaczyli mnie za odwagę, właśnie on mnie ocalił. Nie opuścił mnie, kiedy odniosłem ranę. Uratował mi nie tylko życie, ale i broń!

Ja, Sokratesie, żądałem wówczas, żeby tobie przyznano odznaczenie. Nie zganisz mnie chyba! I nie powiesz, że kłamię? Ale strategowie patrzyli przede wszystkim na moją godność i tylko mnie chcieli odznaczyć. Ty zaś jeszcze bardziej niż oni obstawałeś za tym, żeby mnie wyróżnić!

\*

W siedem lub osiem lat później, jesienią roku 424, obaj przyjaciele znowu wzięli udział w tej samej wyprawie wojennej, choć nie w tym samym oddziale. Alkibiades, człowiek bogaty, służył w konnicy. Sokrates natomiast był hoplitą, czyli żołnierzem piechoty pełnozbrojnej. Korpus był liczny, ale w ogóle nie przygotowany do walki, bo zebrany bardzo pospiesznie i

źle zorganizowany. Ale też nikt nie sądził, że dojdzie do bitwy. Korpusowi powierzono łatwe zadanie: kazano mu wkroczyć na pograniczne ziemie Beocji i ufortyfikować świątynię w Delion, która miała służyć Ateńczykom za punkt oparcia. Dokonano tego szybko i bez przeszkód, po czym ruszono z powrotem ku Attyce. Niespodziewanie, już pod wieczór, zjawily się pod Delion silne oddziały Beotów. Po krótkiej walce Ateńczycy poszli w rozsypkę. Alkibiades tak opowiadał o tym gościom Agatona:

– Warto było przypatrzeć się Sokratesowi, kiedy wojsko w popłochu uchodziło spod Delion. Ja miałem wtedy konia, on był hoplitą. Ludzie pierzchali na wszystkie strony. Sokrates wycofywał się razem z Lachesem. Spotkałem ich przypadkiem i zaraz krzyknąłem:

– Trzymajcie się dzielnie! Ja was nie opuszczę!

Wtedy właśnie lepiej mogłem się przyjrzeć zachowaniu Sokratesa niż pod Potidają. Po prostu sam mniej się bałem, jako że siedziałem na koniu! Otóż zauważyłem przede wszystkim, o ile bardziej panował nad sobą niż Laches. A także wydało mi się, że kroczył tam on zupełnie tak samo, jak tutaj w mieście – właśnie jak ty to określiłeś, Arystofanesie: niczym bocian, tocząc dokoła oczyma. Patrzył spokojnie i na przyjaciół, i na wrogów. Każdy, nawet z daleka, widział, że jeśli go ruszy, spotka się z dzielnym odporem. Dlatego też bezpiecznie uszedł on sam i jego towarzysze. Bo tak to już jest na wojnie, że nikt nawet nie dotknie tych, co zachowują się mężnie, ściga się zaś tych, co uciekają na łeb na szyję!

Tak było pod Delion jesienią roku 424. Ale wnet potem drogi Alkibiadesa i Sokratesa rozszły się daleko i na długo. Jaki był zasadniczy tego powód, wyznał u Agatona sam Alkibiades:

– Moi panowie, gdyby nie to, że wydaję się całkiem pijany, zeznałbym wam pod przysięgą, jak na mnie działały jego słowa – i jak jeszcze działają obecnie. Kiedy go słucham, serce mi skacze bardziej niż tym, co odprawiają tańce orgiastyczne! Nawet płaczę, wzruszony jego słowami! Widzę zresztą, że wielu innych przeżywa to samo. A przecież kiedy słuchałem Periklesa lub innych dobrych mówców, to owszem, rozumiałem, że przemawiają znakomicie, ale niczego podobnego nie odczuwałem. Dusza moja była nieporuszona, nie miotła się w więzach, jakbym był niewolnikiem! A ten Marsjasz nieraz już tak mną wstrząsnął, że myślałem sobie: taki jak ja w ogóle nie powinien żyć! I nie powiesz, Sokratesie, że to nieprawda! Wiem dobrze, że nawet teraz, gdybym tylko usłyszał jego słowa, nie potrafiłbym nad sobą zapanować i znowu przeżywałbym to samo, co kiedyś! Bo on zmusza mnie do przyznania się, że choć wiele mi jeszcze nie dostaje, to ja nie sobą się zajmuję, lecz sprawami Ateńczyków. Dlatego siłą wrywam się i uciekam od niego, zatykając sobie uszy jak przed syrenami; tak bardzo się boję, żebym się nie zestarzał siedząc tu przy nim!

Właśnie wobec tego jednego jedyne go człowieka doznaję uczucia, o które nikt by mnie nie posądził: uczucia wstydu. Tak, wstydzę się tylko Sokratesa. Bo wiem doskonale, że kiedy mnie poucza, jak powinienem postępować, nie potrafię odeprzeć jego argumentów. Ale wiem również dobrze, że skoro od niego odejdę, to znowu przyjmę chętnie wszystkie godności, którymi lud mnie obdarza. Gdy więc potem spotykam Sokratesa, wstyd mnie ogarnia, bo przecież zgodziłem się z nim, że zbyt wiele we mnie niedostatków, bym mógł się zajmować sprawami państwa. Toteż są chwile, kiedy z przyjemnością bym się dowiedział, że Sokratesa już nie ma wśród żywych. Z góry jednak zdaję sobie sprawę, że gdyby coś takiego się stało, cierpiałbym straszliwie, jeszcze bardziej niż teraz. I tak nie mam już pojęcia, jak się zachować wobec tego człowieka!

\*

Takie to więzy miały łączyć Alkibiadesa z Sokratesem. I z takich dziwnych powodów zostały zerwane. Przynajmniej tak utrzymywał Platon, który był uczniem Sokratesa, a jako chłopiec na pewno widywał też Alkibiadesa. Czy jednak ów dramatyczny obraz, skreślony

przez Platona, jest prawdziwy? Ksenofont, współczesny Platonowi i również uczeń Sokratesa, przedstawia rzecz odmiennie.

Twierdzi, że Alkibiades był istotnie człowiekiem nieopanowanym, zuchwałym, bezczelnym, żądnym władzy i sławy. Ale to nieprawda, że Sokrates go wychowywał! Owszem, przez pewien czas Alkibiades przestawał z Sokratesem, ale bynajmniej nie po to, żeby uczyć się skromności i poprzestawania na małym. Bo ów młody człowiek wolałby umrzeć, niż prowadzić życie filozofa. Alkibiades chciał po prostu przejąć od Sokratesa pewne chwytły w rozumowaniu, dowodzeniu, przemawianiu. Toteż odszedł od niego natychmiast, gdy tylko, jak mu się zdawało, nabył w tym wszystkim odpowiedniej wprawy. Jakżeż zresztą miałby dłużej pozostawać przy starcu, skoro ten stale i bez obsłonek wytykał mu wszystkie jego wady?

Zdaniem Ksenofonta umiejętność dyskusowania Alkibiades posiadał znakomicie, i to już w bardzo młodym wieku. Na dowód tego przytacza rozmowę, którą miał on odbyć ze swym opiekunem, Peryklosem, nie mając jeszcze lat dwudziestu.

– Powiedz mi, Peryklesie – zapytał pewnego razu Alkibiades – czy mógłbyś mi wyjaśnić, co to właściwie jest prawo?

– Rzecz prosta, że mogę – odpowiedział wielki mąż stanu. Alkibiades zawołał:

– A więc, błagam cię na bogów, wyjaśnij mi to dokładnie! Bo kiedy słyszę, że chwali się jakichś ludzi jako prawych, myślę sobie: kto nie wie, co to jest prawo, nigdy nie dostąpi takiej pochwały!

Perykles odpowiedział z powagą:

– Nie jest to trudne pytanie. Prawem bowiem jest to wszystko, co postanowił i kazał spisać lud zgromadzony, wskazując, co należy czynić, czego zaś unikać.

– A lud co uważa? Należy czynić dobrze czy też źle?

– Ależ, moje dziecko, oczywiście, że każe czynić tylko dobrze! Nie wolno czynić źle!

Lecz ta odpowiedź nie zadowoliła jeszcze Alkibiadesa. Dochodził dalej:

– A jeśli to nie będzie lud, lecz tylko pewna grupa osób, jak to się dzieje tam, gdzie ustrój jest oligarchiczny? Przypuśćmy, że ci ludzie zgromadzą się i postanowią: należy robić to a to. Czym właściwie będzie taka ustawa?

– Wszystko, co rząd państwa postanawia i ogłasza po naradzie, jest prawem.

– Nawet to, co nakaze obywatelom tyran władający jakimś państwem? Czy to również jest prawem?

– Tak, wszystko, co nakaze tyran sprawujący rządy, jest prawem.

– Powiedz mi w takim razie, Peryklesie, co to jest gwałt i bezprawie? Chyba to, jak mi się wydaje, że ktoś silniejszy zmusza słabszego do posłuszeństwa nie drogą przekonywania, lecz po prostu przemocą?

– Ja też tak sądzę.

– A więc, Peryklesie, to chyba bezprawie, kiedy tyran ogłasza jakieś prawo i zmusza obywateli do jego przestrzegania, choć przedtem nawet nie próbował ich przekonać, że ono jest słuszne?

– Tak jest, zgadzam się! Bo cofam to, co powiedziałem przed chwilą, że prawem są postanowienia tyrana powzięte wbrew woli obywateli.

– A czy nazwiemy gwałtem to, co postanawia większość wbrew przekonaniom mniejszości?

– Wydaje mi się – odparł Perykles – że w ogóle gwałtem, a nie prawem, jest zmuszanie kogoś do postępowania wbrew jego przekonaniom. I nie ma znaczenia, czy ten gwałt jest ujęty w formę ustawy, czy też nie!

– Czyli i to, co postanowi lud w odniesieniu do ludzi majątnych, jest raczej gwałtem niż prawem, jeśli uprzednio nie przekonano ich o słuszności tych czy innych posunięć?

Przywódca ateńskich demokratów przyznał:

– Tak, Alkibiadesie, masz racje!

## DEMOKRACI I WYSPA MELOS

W gruncie rzeczy nie jest tak ważne, czy Alkibiades rozmawiał z Peryklosem o istocie prawa; i nie ma większego znaczenia, czy dyskusja naprawdę zakończyła się triumfem młodszej błyskotliwości nad dufną powagą doświadczonego polityka. Natomiast prawdziwie ciekawa jest ta rozmowa dlatego, że Ksenofont, który ją podaje, dobrze pamiętał lata wojny peloponeskiej; a więc i on poświadcza raz jeszcze, że pytania: co to jest prawo? czy istnieje obowiązująca wszystkich sprawiedliwość? – były w owych czasach wciąż stawiane i rozpatrywane. O nich to dyskutował Sokrates z Kalliklosem i Trazymachem, a posłowie ateńscy i przedstawiciele rządu Melos poruszali je w trakcie długich, bezowocnych rokowań.

Wszystko bowiem, co działo się od chwili wybuchu wojny, przekonywało ludność całej Hellady w sposób aż nazbyt dowodny, bo brutalny: nie ma żadnych praw ogólnoludzkich, żadnych stałych wartości, nie istnieje sprawiedliwość; co przywykło nazywać się prawem, to tylko piękna nazwa dla przemocy, oszustwa, niesprawiedliwości; słusność jest zawsze po stronie silniejszego, jego to wola jest prawem!

W rozmowie z Peryklosem Alkibiades nazwał gwałtem to, co lud ateński postanowił wobec ludzi majątnych; miał na myśli, rzecz oczywista, ciężary liturgiczne, a więc utrzymywanie okrętów wojennych i opłacanie chórów, które występowały w przedstawieniach dramatycznych. Perykles, zapewne zmęczony rozmową, skwapliwie przyznał rację swojemu rozmówcy. A przecież winien by odpowiedzieć:

– Jeśli to jest gwałt, to jednak uświęcony wolą większości i dokonywany dla dobra państwa, dla pożytku całej społeczności! Zresztą lud ateński jest gospodarzem w swoim domu!

Byłaby to odpowiedź przekonywająca. Jak jednak trzeba by nazwać i czym usprawiedliwić poczynania tegoż ateńskiego ludu wobec innych ludów i państw?

Jeśli wierzyć Ksenofontowi, rozmowę z Peryklosem toczył Alkibiades nie mając jeszcze lat dwudziestu. Wkrótce potem wyruszył jako żołnierz pod Potidaję, gdzie walczył wspólnie z Sokratesem. Miasto poddało się dopiero zimą roku 430/29. Pokonał je nie oręż ateński, lecz wróg bez porównania groźniejszy – głód. W mieście obleganym przez prawie trzy lata zdarzały się pod koniec wypadki ludożerstwa. Kiedy w piętnaście lat później poddała się, również skutkiem głodu, wyspa Melos, jej mężczyźni z woli ateńskiego ludu wymordowano, kobiety zaś i dzieci sprzedano do niewoli. Potidajczycy mieli więcej szczęścia. Wszystkim im pozwolono wyjść z miasta razem z rodzinami, mienie jednak musieli pozostawić zwycięzcom. Mężczyźni mogli wziąć tylko to odzienie, które mieli na sobie, kobiety zaś po dwie suknie. Określono też, ile pieniędzy wolno zabrać na osobę. Wygnańcy rozeszli się po okolicznych osiedlach, gdzie wiodli żywot żebraczy. Opuszczone miasto zajęli koloniści z Aten.

Można by tak rozumować: Potidajczyków potraktowano stosunkowo łagodnie, ponieważ były to dopiero pierwsze lata wojny, a więc krwiożercze instynkty walczących stron jeszcze nie rozwinęły się w pełni. Jakżeż mylnie byłoby takie przypuszczenie! Lud ateński już wówczas gotów był do wszelkiej zbrodni, lecz w tym wypadku ofiara po prostu wymknęła mu się z rąk. Potidajczynom udało się wyjść cało tylko dlatego, że ich kapitulację przyjęli od razu i bezpośrednio wodzowie armii oblegającej, ci zaś okazali się przystępni, ponieważ długotrwałe walki pod Potidaję kosztowały już skarb państwa 2000 talentów, a żołnierze narażeni byli w tej niegościnniej okolicy na wszelkie utrapienia i niedostatek. Na domiar złego zarówno w Atenach, jak i wśród wojsk, gdziekolwiek one obozowały, szalała wówczas epidemia. Wodzowie uznali więc, że każdy dzień zwłoki powoduje niepotrzebne straty, i skwapliwie przyjęli kapitulację na podanych warunkach.

Decyzja ta naraziła ich później na wielkie przykrości. W Atenach zapanowało oburzenie. Pytano:

– Dlaczego posłowie potidajscy nie stanęli przed radą i zgromadzeniem? Jakim prawem wodzowie weszli w kompetencje samego ludu?

Nie ukrywano też w Atenach, że dla pokonanych gotuje się kara surowa i przykładowa; jakby to, co ich spotkało, pozbawienie wszystkiego prócz osobistej wolności, należało uznać za łagodne upomnienie! Nie było co wątpić: Potidajczycy mieli być sprzedani w niewolę, a może nawet myślano o wymordowaniu mężczyzn.

Alkibiades, który rozpoczął służbę wojskową właśnie pod Potidają, dobrze zapamiętał tę lekcję; kto „chce mieć lud ateński za sobą, musi być równie jak on bezlitosny dla zwyciężonych!

\*

Latem roku 427 poddało się Ateńczykom możne i bogate miasto Mitylene na wyspie Lesbos. Wystąpiło ono ze Związku Morskiego w roku poprzednim. Odtąd było oblegane bez przerwy. Mogłoby jednak opierać się ateńskim wojskom znacznie dłużej, gdyby nie rozłam wśród samych obrońców. Kiedy bowiem zaczęło brakować żywności, doszło w Mitylenie do zatargów pomiędzy możnowładcami a ludem: rozeszły się pogłoski, że bogacze posiadają ukryte zapasy zboża. Ponieważ lud był uzbrojony i zachodziła obawa, że wreszcie ciśnie mieczem o bruk, oligarchiczny rząd uznał za roztropniejsze zawrzeć jak najszybciej układ z oblegającymi. Żywiono nadzieję, że Ateńczycy przyznają wtedy łagodniejsze warunki kapitulacji.

Dowódca wojsk ateńskich zwał się Paches. Nauczony doświadczeniem swych poprzedników, którzy samowolnie i zbyt skwapliwie przyjęli kapitulację Potidai, Paches oświadczył, że o warunkach poddania się Mityleny stanowić może tylko lud ateński. Doradził jednak, że buntownicy nieco ułagodzą słuszny gniew tego ludu, jeśli od razu wpuszczą ateńskie wojsko w mury swego miasta i dopiero wówczas zwrócą się o łaskę do wszechwładnego demosu w samych Atenach. Ze swej strony Paches przyrzekł, że dopóki nie przyjdą rozkazy ze stolicy, on sam nikogo w Mitylenie nie uwięzi, nie zabije ani nie sprzeda do niewoli. Rząd mityleński, zagrożony buntem w mieście i nie widząc znikąd ratunku (flota Lacedemonu płynęła już z odsieczą, ale o tym nikt tutaj nie wiedział) – przystał na wszystko. Wojsko ateńskie wkroczyło do miasta i od razu internowało możniejszych obywateli – pod pozorem, że chodzi o ochronę ich życia przed gniewem spolsztwa. Zresztą, zgodnie z układem, Paches zgodził się na wyjazd do Aten posłów, którzy mieli błagać zgromadzenie ludowe o litość.

Naiwne były nadzieje tych, którzy sądzili, że cokolwiek zdoła zmiękczyć serca ateńskich demokratów! Przywódcę poselstwa, a zarazem głowę powstańczego rządu, po przybyciu do Aten natychmiast uwięziono. Poniósł on śmierć, choć posiadał wielkie wpływy w Lacedemonie i mógł służyć jako pośrednik w rokowaniach z tym mocarstwem. Ale w Atenach naprawdę nikomu nie chodziło o pokój. Los reszty delegacji i wszystkich Mityleńczyków stał się przedmiotem wielkiej debaty zgromadzenia ludowego.

Przywódcą demokratów był wówczas Kleon. Perykles bowiem zmarł przed dwoma laty, jesienią roku 429, jako jedna z ostatnich ofiar epidemii, która spadła na Ateny wnet po wybuchu wojny. Otóż w pierwszym dniu obrad nad sprawą Mityleny przeważało zdanie Kleona: miasto należy przykładowie ukarać; zabije się wszystkich mężczyzn, kobiety zaś i dzieci sprzeda do niewoli. Zapadła nawet uchwała tej treści. Natychmiast wyprawiono trójrzędowiec z rozkazem dla Pachesa, żeby bez zwłoki wykonał wolę ateńskiego ludu.

Ten skończył właśnie czytać pismo doreczone mu przez dowódcę okrętu i zastanawiał się, w jaki sposób się zabrać do trudnej roboty, gdy do portu Mityleny wpłynął drugi okręt z Aten. Znajdujący się na nim ludzie już z daleka wołali, że mają ważne wiadomości dla stratega.



Wioślarze opadali z sił, odkąd bowiem wypłynęli z Pireusu, nie zatrzymywali się nigdzie. Pracowali na zmianę. Nawet jedli na ławach, nie przerywając wiosłowania; posiłek stanowił chleb moczony w winie i oliwie. Ale właśnie dzięki temu pośpiechowi drugi okręt przybył na Lesbos prawie równocześnie z pierwszym, choć wyruszył w drogę o całą dobę później. Przywoził on odwołanie uchwały o eksterminacji ludności Mityleny. Posłowie tego miasta, przebywający w Atenach, przyrzekli załodze wysoką nagrodę, jeśli w porę doręczy Pachesowi rozkaz.

Jak doszło do tego, że w ostatniej chwili Ateńczycy cofnęli się przed dokonaniem zbrodni?

Nazajutrz po przeprowadzeniu pierwszej uchwały i po wysłaniu okrętu zwołano zgromadzenie ludowe, któremu powtórnie przedłożono do rozpatrzenia sprawę Mityleny. Podejście na nowo, i to tak szybko, kwestii raz już załatwionej, było czymś zupełnie wyjątkowym. Nie sposób dziś dociec, jacy to ludzie i jakie ugrupowania zdobyły się na tę inicjatywę. W każdym razie łatwo odgadnąć, że noc pomiędzy obu zebraniemi była wypełniona gorączkowymi naradami. Jedni wywierali nacisk na komisję prytańców, by ponownie wprowadziła sprawę na porządek obrad, inni usiłowali sparaliżować te wysiłki. Ci ostatni byli w lepszej sytuacji, bo przecież uchwała z dnia poprzedniego była legalna, nie zaszły zaś żadne nowe okoliczności, które by skłaniały do zmiany stanowiska. A więc zwolennicy ponownych obrad nad tą samą sprawą mogli wysunąć tylko jakieś ogólne argumenty: że załatwiono rzecz zbyt pośpiesznie i nie rozpatrzono wszystkich jej aspektów.

Należy zapisać na chwałę Ateńczyków, że większość członków komisji ostatecznie przychyliła się do tego poglądu. Była więc wśród ówczesnych polityków ateńskich pewna grupa osób o dużej odwadze cywilnej, co jest zawsze i wszędzie rzeczą rzadką. Ludzie ci narażali na niebezpieczeństwo swoją przyszłość i karierę, a czynili to bezinteresownie, z pobudek humanitarnych. Nikt nie mógł przewidzieć, jak za drugim razem potoczą się obrady. Pewne natomiast było, że jeśli zgromadzenie zatwierdzi swoją poprzednią uchwałę, sprawcy powtórnej debaty zostaną ośmieszeni i przez wiele lat trudno im będzie zabierać głos przed ludem ateńskim.

Jak było do przewidzenia, w czasie obrad Kleon zaatakował tę inicjatywę przede wszystkim od strony formalnej. Wysuwał twierdzenia same w sobie nie pozbawione słuszności:

– W żadnym wypadku nie wolno zmieniać tego, co raz już zostało postanowione. Musimy dobrze uświadomić sobie, że państwo, które zachowuje swoje ustawy, choćby nawet i kiepskie, jest silniejsze od tego, które wprawdzie posiada ustrój doskonały, w rzeczywistości jednak nie przestrzega jego zasad.

Aby usposobić swoich słuchaczy podejrzliwie wobec następnych mówców, którzy mieli bronić Mityleńczyków, Kleon bardzo chytrze wplatał w swoje przemówienie takie wypowiedzi:

– Można nie mieć wykształcenia. Jeśli ma się silny charakter, jest się i tak człowiekiem wartościowszym od wszystkich przebiegłych mędrków. Zresztą w ogóle ludzie prości lepiej rządzą państwem od tych wysoce kształconych, co to chcą być mądrzejsi od samych ustaw i we wszystkich obradach zawsze muszą być górą. Właśnie przez to ci mądrzy są niebezpieczni dla państwa!

W ateńskim zgromadzeniu ludowym większość stanowili rzemieślnicy, drobni kupcy, ubodzy chłopcy. Oni stanowili trzon stronnictwa demokratycznego, a ich wykształcenie przeważnie ograniczało się do umiejętności czytania i pisania. Dla nich słowa Kleona miały sens jednoznaczny: My, ludzie prości, musimy zawsze trzymać się razem. Musimy też mieć się na baczności przed wykształconymi panami, żeby ich podstępna inteligencja nie wywiodła nas na manowce.

Prawda jest jasna, a my wiemy dobrze, na czym podlega dobro państwa i ludu. Trzeba tylko twardo stać przy swoim i nigdy nie ufać tym, co rozprawiają pięknie i uczenie!

\*

Kleon miał poniekąd prawo, by przemawiać do ateńskiego ludu jak swój do swoich. Jego ojciec był właścicielem garbarni, a on sam chyba nigdy nie przestawał z ludźmi o wysokiej kulturze. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło mu się wejść w kontakty z którymś z pisarzy, to tylko dla doraźnych celów politycznych. Tak więc przez pewien czas współdziałał z Hermipposem. Był to komediopisarz słynący z wulgarnej złośliwości, której brudne ostrze kierował głównie przeciw Peryklesowi i jego przyjaciółce Aspazji. To właśnie Hermippos złożył do sądu formalny pozew, oskarżając Aspazję o bezbożność i stręczycielstwo. Perykles bronił jej osobiście, poruszony tak bardzo, że przemawiał ze łzami w oczach. Wkrótce potem, już w czasie wojny, Kleon wytoczył Peryklesowi sprawę o nadużycia finansowe i nawet spowodował odsunięcie go i na jakiś czas od władzy.

A przecież syn garbarza był przedstawicielem tej samej orientacji politycznej co Perykles! Pozornie. W istocie dzieliła ich przepaść. Perykles pochodził z domu arystokratycznego, gdzie z pokolenia w pokolenie pielęgnowano tradycję i subtelną kulturę; otrzymał staranne wychowanie; chętnie obcował z ludźmi, którzy przewodzili ówczesnemu życiu umysłowemu, miał nawet zrozumienie dla problemów filozoficznych. Kleon natomiast, który chciał uchodzić za człowieka prostego, był w rzeczywistości zwykłym prostakiem, niebezpiecznym jednak, bo bardzo sprytnym i całkowicie bezwzględny. Dążył do władzy – a w walce o władzę jakakolwiek rzekoma wspólnota celów i programów nic nie znaczy, służyć może co najwyżej do oszukiwania przeciwnika lub zwodzenia naiwnych. Kleon pragnął zepchnąć Peryklesa ze stanowiska przywódcy demokratów; wyzyskiwał po temu każdą sposobność i nie gardził żadną bronią.

Na krótko przed śmiercią Perykles powrócił do łask ludu. Kiedy jednak zmarł jesienią roku 429, przywództwo stronnictwa dostało się w ręce Kleona. To prawda, że jego poczynaniom opierali się zaciekle nie tylko oligarchowie, lecz nawet umiarkowani demokraci, jak Nikłās. Mimo to Kleon wciąż umacniał swoje wpływy, umiał bowiem z talentem wirtuoza rozpętywać i wykorzystywać do różnych celów najniższe instynkty ateńskiego ludu. Podsyczał jego okrucieństwo, niechęć do obcych, chciwość w stosunku do zamożnych, zawiść i nieufność wobec ludzi wykształconych – a jednocześnie schlebiał temu ludowi w sposób wręcz bezczelny. Wszystko to razem, przedziwnie splecione, znalazło swój wyraz w mowie przeciw powtórnemu rozpatrywaniu sprawy Mityleńczyków. Rozpoczął ją Kleon od takich wywodów:

– Nieraz już dochodziłem do wniosku, że państwo demokratyczne po prostu nie potrafi panować nad innymi. Ale szczególnie wyraźnie widzę to teraz, kiedy już zaczynacie skłaniać się do litości nad Mityleńczykami. Skąd się to bierze? Rzecz w tym, że do siebie nawzajem odnosicie się w życiu codziennym bez obaw i podejrzeń, a więc i w stosunku do waszych sprzymierzeńców zachowujecie się tak samo. Toteż kiedy pod ich wpływem robicie jakieś niesłuszne posunięcie lub ustępujecie im powodowani po prostu litością, to ani na myśl wam nie przyjdzie, że okazując słabość ściągacie na siebie niebezpieczeństwo, a wdzięczności poddanych i tak nie zyskacie! Nie rozumiecie bowiem, że wasze panowanie jest po prostu tyranią i że ci, którymi rządzicie, nienawidzą was i wciąż knują spiski. Słuchają was wcale nie dlatego, że z własną szkodą okazujecie im życzliwość, ale dlatego, że siłą trzymacie ich w ryzach.

Kleon dał więc cyniczną, lecz bardzo szczerą i prawdziwą ocenę stosunku państw Związku do ich hegemonia. Jednocześnie zaś pochlebił ludowi, że choć sprawuje władzę tyrana i tak jeszcze jest zbyt łagodny.

Ostateczny wniosek Kleona zmierzał do powtórzenia uchwały z dnia poprzedniego:

– Ukarzcie Mityleńczyków tak, jak na to zasłużyli. Niech to będzie dla wszystkich sprzymierzeńców ostrzeżeniem, że każdy, kto ośmieli się nas opuścić, odpokutuje to śmiercią.

Jednakże Kleon trafił na zręcznego przeciwnika. Był nim Diodot. Zabrał głos zaraz po przywódcy demokratów i wytoczył znakomity argument:

– Zdobyliśmy Mitylenę głównie dzięki jej pospólstwu. Ono bowiem, otrzymawszy broń do ręki, gotowe było zwrócić ją przeciw własnemu rządowi. Jeśli więc obecnie uchwalimy, że należy wymordować wszystkich mężczyzn w Mitylenie, to ukarzymy śmiercią także tych, którzy oddali nam przysługę. Co gorsza, zrazimy sobie w ten sposób niższe warstwy we wszystkich miastach, czyli pomożemy tamtejszym oligarchom. Odtąd, ilekroć gdziekolwiek wybuchną przeciw nam powstania, oligarchowie zawsze będą mieć lud po swojej stronie. Wszyscy bowiem dojdą do przekonania, że my karzemy zarówno winnych, jak. też niewinnych.

Głosowanie wykazało, że wśród ludu ateńskiego oba poglądy, Kleona i Diodota, mają prawie równą liczbę zwolenników. Za wnioskiem Diodota opowiedziała się tylko nieznaczna większość. Wtedy właśnie, natychmiast po głosowaniu, wysłano do Mityleny okręt z rozkazem, by wstrzymać wykonanie poprzedniej uchwały.

Na tym jednak sprawa Mityleny jeszcze się nie zakończyła.

\*

Nie wymordowano wprawdzie całej męskiej ludności Mityleny, nie sprzedano kobiet i dzieci do niewoli, ale krwawa ofiara, którą musiało zapłacić to miasto, była i tak niezmiernie wysoka. Paches odesłał do Aten wszystkich możniejszych obywateli, którzy uchodzili za sprawców powstania; jak mówiliśmy, internował ich już wcześniej, zaraz po wkroczeniu do Mityleny. Było owych „wrogów ludu ateńskiego” wielu, bo ponad tysiąc osób. Na wniosek Kleona wszyscy zostali skazani na śmierć. Wyrok wykonano.

Oburzeni tą zbrodnią Lacedemończycy postępowali równie bezwzględnie wobec sprzymierzeńców ateńskich. Właśnie latem tegoż 427 roku poddało się im miasteczko Plateje w Beocji, od dawna związane z Atenami sojuszem, a oblegane przez wojska lacedemońskie i tebańskie prawie bez przerwy od początku wojny. Załoga broniąca miasteczka, około dwustu Platejczyków i dwudziestu pięciu żołnierzy ateńskich, została przez zdobywców skazana na śmierć, kobiety zaś sprzedano do niewoli.

Wkrótce potem w Atenach rozegrał się dramat, który można by uznać za dziwny, wręcz paradoksalny finał sprawy mityleńskiej. Dwie kobiety z Mityleny oskarżyły (oczywiście przez pośredników) stratega Pachesa o nadużycie władzy: po zajęciu miasta zabił on, wbrew układowi, ich mężów, a na nich dopuścił się gwałtu. Ponieważ upłynęła już kadencja urzędu, który Paches sprawował, mógł on odpowiadać przed sądem za wszystkie swoje czyny. Rozprawa wykazała niezbitą prawdziwość oskarżenia, wyrok skazujący był pewny. Wówczas to Paches dobył miecza i na oczach sędziów popełnił samobójstwo.

Mógłby się ktoś zdumiewać: przecież niedawno lud ateński z trudem tylko dał się przekonać, że wyniszczenie całej ludności Mityleny nie leżałoby w jego interesie, a teraz gotów był skazać na śmierć zasłużonego wodza, którego wina wydaje się nikła w porównaniu z zamierzoną zbrodnią polityczną! Ale, trzeba to przypomnieć, w dwanaście lat później tak samo miano za złe Alkibiadesowi nie to, że nawoływał do eksterminacji ludności Melos, tylko to, że wziął sobie za nałożnicę jedną z tamtejszych kobiet wystawionych na sprzedaż. Tak bowiem bywa zazwyczaj, i stara to prawda: społeczeństwo łatwo jest roztkliwić krzywdą jednostki. Łatwo je skłonić, by z oburzeniem, szczerze potępiło gwałt popełniony na określonej osobie. Ale to samo społeczeństwo potrafi być nieraz całkowicie nieczułe – więcej, bestialsko okrutne! – gdy w grę wchodzi los i życie tysięcy ludzi, zguba miast i krajów. Tłum bez naj-

mniejszego oporu godzi się na wszystko, czego wymaga rzekomo dobro społeczne, racja stanu, bezpieczeństwo, względy ogólnopństwowe.

Kiedy walczone pod Mityleną, a później decydowano o losie jej mieszkańców, Alkibiades najprawdopodobniej służył w wojsku. Należał bowiem do tych roczników, które najczęściej powoływano na wyprawy wojenne. Jeśli natomiast z jakichś względów przebywał w mieście, to mógł bezpośrednio uczestniczyć w obradach zgromadzenia ludowego. Wysłuchiwał przemówień Kleona i Diodota, brał udział w głosowaniu. W każdym więc razie sprawa o tak dramatycznym przebiegu znana była młodemu człowiekowi nie tylko ze słyszenia. Musiał zetknąć się z nią bezpośrednio – czy to jako żołnierz pod Mityleną, czy też jako obywatel stanowiący o losie Mityleńczyków. Dla kogoś, kto miał ambicje polityczne, samo obserwowanie taktyki obu stronnictw, a zwłaszcza poczynań Kleona, musiało być niezmiernie pouczające. I nie ma się co łudzić: to nie olimpijski Perykles, to nie mędrzec Sokrates byli prawdziwymi mistrzami Alkibiadesa, lecz właśnie Kleon! Dzięki niemu dowiadywał się, co lud ateński kocha naprawdę i w jaki sposób można nim powodować. Nie wzniosłością zasad, życia i celów, lecz po prostu podbechtywaniem jego pychy i żądzy władania.

Kleon był zawsze wierny swojemu naczelnemu hasłu, że wobec sprzymierzeńców należy stosować politykę twardej ręki. W roku 425 za jego to głównie sprawą postanowiono podwoić wysokość daniny, którą każde państwo poddane musiało corocznie wpłacać do skarbcza Związku. Powołano komisję dziesięciu, która miała opracować nowy wykaz i system zbierania danin. Podobno w skład komisji wszedł również Alkibiades. Z uwagi na jego młody wiek wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Nie miał on jeszcze lat trzydziestu i nie piastował, jak dotąd, żadnych wyższych godności państwowych, a funkcje członka komisji należały do najodpowiedzialniejszych. Jest natomiast prawie pewne, że w czasie obrad zgromadzenia ludowego nad projektem Kleona Alkibiades bardzo gorliwie przemawiał za tym, by komisja dziesięciu obłożyła państwa związkowe daniną zdwojoną – może właśnie dlatego niektórzy później opowiadali, że on sam należał do komisji.

Z państwami, które usiłowały oderwać się od Związku w następnych latach wojny, Kleon gotów był postąpić tak samo, jak to zamierzał uczynić z Mityleną. W lecie roku 423 odstąpiło od Aten miasto Skione na półwyspie Pallene. Kleon, zawiadomiony o tym, natychmiast przeprowadził na zgromadzeniu ludowym uchwałę, która przewidywała, że po zdobyciu Skione zburzy się mury miasta do gruntu, wymorduje się wszystkich mężczyzn, kobiety zaś i dzieci sprzeda do niewoli. Następnego lata, 422, Kleon sam wyprawił się z wojskiem w tamte strony, by stłumić ruchy separatystyczne, podsycane przez silną armię lacedemońską pod wodzą Brazydasa. Wkrótce potem przywódca ateńskich demokratów znalazł śmierć w bitwie pod Amfipolis, gdzie poległ również Brazydas. Jednakże miasto Skione Ateńczycy oblegali nadal i zdobyli je w rok później, latem 421. Obowiązywał już wtedy pokój z Lacedemonem. Mimo to zwycięzcy, wierni politycznemu testamentowi swego przywódcy, wprowadzili w życie uchwałę sprzed dwóch lat. Miasto całkowicie zrównano z ziemią i dziś nie sposób określić, gdzie wznosiły się mury tej niegdyś zamożnej i ludnej osady. Wszystkich mieszkańców Skione spotkał los przewidziany uchwałą – śmierć lub niewola.

W sześć lat później – to samo, z woli ateńskiego ludu i Alkibiadesa, spadkobiercy Kleona, stać się miało z Melijczykami.

## MIRAŻE I PRZEPOWIEDNIE

Zagłada spotkała ludność wyspy Melos zimą roku 416/5. Niemal w tym samym czasie, gdy zgromadzenie ludowe obradowało nad losem Melijczyków, przybyli do Aten posłowie z miasta Egesty, położonego na dalekiej, wielkiej i bogatej wyspie Zachodu – na Sycylii. Kwitnęło tam wówczas wiele miast helleńskich, wiecznie jednak ze sobą skłóconych; najmożniejsze z nich były Syrakuzy, położone na wybrzeżu wschodnim, dawna kolonia Koryntu. Zachód wyspy dzierżyli Kartagińczycy, wewnątrz zaś wciąż utrzymywały się różne ludy, siedzące tam od czasów pradawnych: Elimowie, Sykanowie, Sykulowie. Związki Aten z niektórymi miastami Sycylii sięgały okresów wcześniejszych. Jeszcze za Peryklesa zawarto przyznanie z Egestą i z Leontinoj; to drugie miasto było śmiertelnym wrogiem Syrakuz, którym, jako słabsze, często musiało ulegać. Potem, już za Kleona, Ateńczycy wysłali przeciw Syrakuzom dość znaczną flotę. Jednakże ta wyprawa z lat 427 – 424 nie dokazała niczego i powróciła bez laurów, choć i bez poważniejszych strat własnych; tyle tylko, że pochłonęła moc pieniędzy. Przeważała w Atenach opinia, że przyczyną niepowodzenia były zbyt szczupłe siły oraz nieporadność dowództwa; zainteresowanie sprawami Sycylii pozostało nadal żywe.

Kiedy więc z początkiem roku 415 zjawili się w Atenach posłowie Egesty, natychmiast odżyły owe dawne nadzieje umocnienia się na Sycylii. Sama Egesta leżała w zachodniej części wyspy, była niegdyś miastem Elimów, ale jej mieszkańcy ulegli potem prawie zupełnej hellenizacji. Od południa graniczyła z posiadłościami Selinuntu, z którym toczyła ustawiczne spory i wojny. O bogactwie i potędze Selinuntu świadczą do dziś zwaliska jego ogromnych świątyń. Nic dziwnego, że z takim przeciwnikiem Egesta nie mogła sobie poradzić i szukała pomocy u państwa, które dzięki swej potężnej flocie mogło jej udzielić; choć leżało tak daleko.

Posłowie Egesty zapewniali ateńską radę i zgromadzenie ludowe, że gotowi są pokryć koszty całej wyprawy; zwracali również uwagę, że należy, póki czas, przeciwstawić się rosnącemu wpływowi Syrakuz, które rychło mogą narzucić swoją zwierzchność reszcie wyspy. Taki rozwój wypadków byłby dla Aten bardzo niebezpieczny, Syrakuzanie bowiem z racji pobratymstwa szczepowego oraz dawnych związków gospodarczych sprzyjali państwu Peloponezu. Należało więc zadać Syrakuzom cios śmiertelny, zanim będzie za późno.

Uchwalono wysłać do Egesty przedstawicieli, którzy by zbadali, czy miasto istotnie poddało się podjętym zobowiązaniom finansowym. Wysłannicy powrócili z pomyślnymi wiadomościami, a posłowie Egesty przywieźli 60 talentów na pierwsze wydatki wojenne. Zgromadzenie ludowe uchwaliło wówczas wysłać 60 okrętów wojennych, jako wodzów zaś wyznaczono Alkibiadesa, Nikiasa i Lamachosa. Cele wyprawy były pozornie bardzo ograniczone; chodziło o udzielenie pomocy mieszkańcom Egesty oraz o ewentualne sprowadzenie do Leontinoj dawnych panów tego miasta, wygnanych przez Syrakuzan. Dla każdego jednak było oczywiste, że właściwe zamiary Ateńczyków są inne, śmielsze i rozleglejsze. Że chcą poddać swoim wpływom najbogatszą wyspę Zachodu, a zarazem – nie mogąc się uporać z Lacedemonem na ziemiach samej Hellady – zająć wroga niejako od tyłu i pozbawić go wszelkiej nadziei na wsparcie ze strony Syrakuz.

Ateńczycy mieli jednak jeszcze inne cele na oku, zachowywane w najściślejszej tajemnicy. Ich wyjawienie przez zdrajcę miało później dramatyczne następstwa.

Wybrano na wodzów wyprawy ludzi o krańcowo różnych poglądach i usposobieniach. Uczyniono to niewątpliwie z całą świadomością. Chodziło bowiem o to, aby dać armii kierowników, którzy potrafią ocenić każdą sytuację z rozmaitych punktów widzenia i wybiorą najlepsze metody działania; ludzi, którzy będą wzajem się uzupełniać.

Nikias, liczący wówczas już ponad 50 lat, był człowiekiem i wodzem doświadczonym, ostrożnym, umiarkowanym w poglądach. Reprezentował interesy warstw najbogatszych. Lamachos, prawie rówieśnik Nikiasa, był pod wielu względami przeciwieństwem swego kolegi. Nie posiadał prawie żadnego majątku; ilekroć powierzano mu urząd państwowy, zwracał się do zgromadzenia ludowego z prośbą o zapomogę na zakup ubrania i butów. Nie zajmował się w ogóle polityką, jego rzemiosłem i żywiołem była wojna. Na tym znał się świetnie, a w bitwach stawał dzielnie, może nawet zbyt dzielnie; zdarzało się bowiem, że zapominał o obowiązках wodza i walczył z bronią w ręku jak prosty żołnierz. Alkibiades, młodszy od tamtych o lat 20, kipiał pomysłowością, był odważny i gwałtowny, a choć pochodził z arystokracji, należał – w słowach przynajmniej – do najradykałniejszych demokratów.

Myśl, by sprząc razem tych trzech ludzi, była pozornie słuszna i odpowiadała wszystkim odłamom politycznym, reprezentowanym w zgromadzeniu ludowym. Miała jednak pewną zasadniczą i oczywistą wadę; co się stanie, jeśli w obliczu konkretnej sytuacji, która będzie wymagała powzięcia natychmiastowej decyzji, każdy ze strategów zacznie ciągnąć w inną stronę? Trójka wodzowska mogła sparaliżować wszelkie działania wielkiej armii. Co więcej, jeden z nich, Nikias, w ogóle nie wierzył w potrzebę i celowość wyprawy. Dawał temu wyraz, uczciwie i otwarcie, w czasie obrad zgromadzenia ludowego, które zebrało się w pięć dni po podjęciu zasadniczej uchwały o wyprawie i po wybraniu jej wodzów. To drugie zgromadzenie ludowe miało już tylko rozważyć, w jaki sposób można by szybko wyposażyć okręty; miało też zapoznać się z opiniami wodzów, jak wyprawa powinna być zaopatrzona. Nikias zabrał głos, by ostrzec zgromadzonych przed wdawaniem się w sprawę Sycylii; uważał, że należy miasta tej wyspy pozostawić w spokoju – pod warunkiem, że one również nie będą się mieszały do wydarzeń w Helladzie. Ostro, choć nie po imieniu, zaatakował Alkibiadesa. Wtedy właśnie postawił mu owe zarzuty, które częściowo już znamy:

– Ktoś bardzo zadowolony z tego, że wybrano go wodzem, wzywa was do wojny. Ale człowiek ten patrzy tylko swojej osobistej korzyści – a w ogóle jest jeszcze za młody do sprawowania urzędu. Chce, żeby podziwiano stajnie jego koni wyścigowych, a ponieważ pochłaniają one moc pieniędzy, rad by wspomóc się nieco dzięki dowództwu. Nie pozwólcie mu pchać całego państwa ku katastrofie tylko dlatego, że pragnie blasku dla siebie. Pamiętajcie, że ludzie jego pokroju potrafią równie łatwo nadszarpnąć majątek społeczny, jak zmarnotrawili swój własny. Sprawa jest poważna. Nie wolno dopuścić, by decydowali o niej i kierowali nią ludzie młodzi. Lęk mnie ogarnia, kiedy patrzę na nich teraz, jak siedzą przy tym człowieku, przez niego podjudzani!

Pod koniec swego przemówienia Nikias zwrócił się wprost do przewodniczącego z żądaniem, by zarządził raz jeszcze głosowanie, czy należy wysłać flotę na Sycylię. Powtórne głosowanie nad tą samą sprawą byłoby sprzeczne z zasadami ateńskiego ustroju. Nikias jednak uważał, że dobro ojczyzny wymaga w tym wypadku pogwałcenia procedury.

Można się dziwić, dlaczego Nikias nie wytoczył swoich argumentów, kiedy odbywała się pierwsza, zasadnicza debata; dlaczego pozwolił wówczas, by wybrano go jednym z wodzów wyprawy, której tak bardzo był przeciwny. Odpowiedzi trzeba chyba szukać w charakterze tego człowieka, który nigdy nie potrafił podjąć właściwej decyzji w odpowiednim momencie, zwlekał, kluczył i często sam padał ofiarą swych nazbyt zawiłych planów i posunięć.

Przemówienie Nikiasa rozpełtało wśród zgromadzonych dyskusję. Przeważało zdanie, że nie ma ani potrzeby, ani nawet możliwości zmienienia tego, co już raz zostało uchwalone.

Szczególnie mocno i przekonywająco zabrzmiał głos Alkibiadesa. Poruszył on trzy zagadnienia. Najpierw odparł zarzuty natury osobistej:

– Jeśli roztaczam przepych, to czynię to dla dobra i sławy ojczyzny, aby wszyscy wiedzieli, jaka jest potężna i bogata, mimo wojny, która trwa już tyle lat. Jestem młody i ponoć nierozważny – ale to ja przecież sprawiłem, że trzy państwa Peloponezu związały się między sobą i z nami sojuszem, co zupełnie zmieniło sytuację polityczną.

Potem zakwestionował pogląd, że wyprawiając się na Sycylię Ateńczycy podejmą walkę z potężnym przeciwnikiem.

– Tamtejsze miasta – mówił Alkibiades – choć ludne i bogate, są jednak skłócone zarówno między sobą, jak wewnątrz. Niektóre z nich na pewno opowiedzą się po naszej stronie. Możemy również liczyć na Sycylii na ludność niehelleńską, bo obawia się ona i nienawidzi Syrakuzan. Dopóki zaś panujemy na morzu, nie zagrożą nam ani mieszkańcy Peloponezu, ani połączone siły całej Sycylii.

Alkibiades poruszył też zagadnienie ogólne i zasadnicze: jaka powinna być polityka i postawa wielkiego mocarstwa? Wbrew Nikiasowi był zdania, że nigdy nie należy poprzestawać na tym, co już się posiadało. Nie wolno wyznaczać nieprzekraczalnych granic rozwoju. Wewnętrzna konieczność zmusza do stosowania czynnej polityki. Należy nieustannie umacniać władzę nad poddanymi i występować zaczepnie wobec wszelkich przeciwników. Ruch i czyn są podstawowym warunkiem utrzymania się wielkiego mocarstwa przy życiu, bierność natomiast musi prowadzić do zastoju i śmierci.

Zdobył się jednak i na pojednawcze gesty wobec samego Nikiasa. Mówił:

– Nasze państwo zawdzięcza swoją wielkość zgodnym wysiłkom ludzi młodszych i starszych. Tak było poprzednio, tak też powinno być obecnie. Prawdziwą potęgę dać nam może tylko zespolenie młodzieńczej brawury z męską siłą pokolenia średniego i z roztropnością starców.

Przemówienie Alkibiadesa, poparte głosami innych oraz ponownym naleganiem posłów Egesty i wygnańców z Leontinoj, sprawiło, że zebrani raczej umocnili się w swej woli wysłania wyprawy na Sycylię. Nikias zabrał wówczas głos ponownie. Zażądał, aby wyprawa – jeśli ma już ruszyć – była większa i staranniej przygotowana, ponieważ główni przeciwnicy, Syrakuzy i Selinunt, mają poważne siły zbrojne i znaczne zasoby pieniężne. Kiedy zwrócono się do niego z pytaniem, ile chciałby mieć okrętów i żołnierzy, odpowiedział:

– Wolałbym zdecydować o tym po spokojnej rozmowie z pozostałymi strategami. Osobiście jednak jestem przekonany, że musimy mieć co najmniej sto trójrzędowców. Hoplitów nie mniej niż pięć tysięcy, raczej jednak więcej. Odpowiednio do tego trzeba też ustalić liczbę lekkobrojných, zwłaszcza bieźników i procarzy.

Później niektórzy twierdzili, że Nikias wystąpił z takim wnioskiem, aby przerazić Ateńczyków ogromem kosztów i wysiłku zbrojnego; sądził, że to ich zniechęci, otrzeźwi, odciągnie od światoburczych zamiarów. Jeśli istotnie taki był jego plan, to uznać by go trzeba za bardzo naiwny. Ale słuszniej chyba przypuścić, że Nikias, ostrożny i przewidujący, pogodził się z wolą większości i chciał, skoro wyprawa została już postanowiona, on zaś miał być jednym z jej wodzów, aby potęga wielkiej armady gwarantowała zwycięstwo.

Zgromadzenie uchwaliło szerokie pełnomocnictwa dla trzech strategów; oni to mieli stanowić o liczbie wojsk oraz o całym wyposażeniu floty.

\*

Czy Nikias słusznie uważał, że Alkibiades jest głównym inicjatorem całej wyprawy? Było w tym zapewne wiele racji. Od samego początku, odkąd tylko przybyło pierwsze poselstwo z Egesty, młody człowiek zdecydowanie opowiedział się za udzieleniem pomocy temu miastu.

Nie ustawał w wysiłkach, aby rzecz przywieść do skutku, bo wiązał z wyprawą śmiałe nadzieje osobiste. Było to całkowicie zrozumiałe. Alkibiades mógł sięgnąć po pierwsze miejsce w państwie tylko dzięki nowej, wielkiej wojnie – tak samo, jak swój pierwszy sukces polityczny zawdzięczał rozpętaniu wojny z Lacedemonem przy pomocy Argos, Elidy, Mantinei. I tylko wojna mogła przywrócić mu majątek, mocno nadszarpnięty zarówno wydatkami na politykę, jak i młodzieńczą rozrzutnością. Po zwycięstwie na Sycylii wodzowski udział w zdobyczy byłby na pewno bardzo znaczny.

Jednakże wojowniczy zapał Alkibiadesa sam przez się niewiele by zdziałał, gdyby nie sprzyjające nastroje w szerokich kręgach społeczeństwa. Warstwy uboższe widziały w tej wojnie przede wszystkim okazję dobrego zarobku: żołd i utrzymanie na koszt państwa, rabunki, rozkosz zdobywania miast legendarnie bogatych. Rzemieślnicy i kupcy spodziewali się, że przygotowania i zbrojenia przyniosą im duże zyski. Dla wielu wreszcie taka wyprawa w dalekie kraje była po prostu wspaniałą przygodą. Ale i ludzie myślący poważniej skłonni byli uważać, że to wielkie przedsięwzięcie opłaci się państwu i jego obywatelom: w razie zwycięstwa panowanie Aten rozciągałoby się od wybrzeży Azji na Wschodzie aż po kraje nad Atlantykiem na Zachodzie. W gimnazjonach i w palestrach, na placach i na ulicach, ludzie kreślili na piasku kontury nie tylko Sycylii, lecz wszystkich ziem i mórz Zachodu; nie zadowolając się tą wyspą zdobywali Italię, Kartaginę, Hiszpanię. Czuli się już panami całego świata.

Nie wszyscy jednak dali się porwać tej potężnej rzece ogólnego entuzjazmu. W Atenach istniała, a nawet działała opozycja. Otwarcie, lecz zbyt słabo i nieśmiało, mówił o swych wątpliwościach Nikias. Inni woleli się nie ujawniać, atakowali więc plan wyprawy z ukrycia i pośrednio. Wyzyskiwali ciemnotę i zabobonność ateńskiego ludu; bez przerwy rozpuszczali wieści, że bogowie nie sprzyjają wielkiemu zamiarowi. Któregoś dnia gruchnęła po mieście pogłoska:

– W Delfach, w wyroczni Apollona, kruki rozdziobały szczerozłotą gałąź palmy, którą złożyliśmy bogu w ofierze po zwycięstwie nad Persami!

Alkibiades i przyjaciele natychmiast znaleźli proste wyjaśnienie tego faktu:

– To nie kruki uszkodziły złotą palmę, lecz złoczyńcy, mieszkańcy Delf, przekupieni przez Syrakuzan, którzy w ten sposób chcieli strwożyć łatwowiernych Ateńczyków!

Przyjechała do miasta (może nawet specjalnie przez kogoś sprowadzona) kapłanka, która pełniła służbę w świątyni Ateny w Klazomenaj, w Azji Mniejszej. Od razu zwrócono uwagę:

– Jej imię brzmi Hesychia, czyli Spokój. A więc sama bogini radzi nam zachować powściągliwość i nie podejmować na razie żadnych wypraw wojennych!

Najwięcej jednak mówiono o wypadku, który zakłócił jedno ze zgromadzeń ludowych. Poświęcone ono było sprawie przygotowań do wojny, głos zabrał właśnie Demonstratos, jeden z najgorętszych zwolenników wyprawy. Niespodziewanie dały się słyszeć krzyki i jęki kobiet, zawodzących przy pogrzebie. Okazało się, że na płaskich dachach sąsiednich domów niewiasty odprawiają nabożeństwa ku czci Adonisa. Kult tego boga przyszedł do Aten ze Wschodu: corocznie, wiosną lub latem, oplakiwano śmierć Adonisa, który potem zmartwychwstawał, symbolizował bowiem życiodajne siły obumierającej i znowu odradzającej się roślinności.

Oczywiście, wielu uznało, że niewieście zawrodozenia, które przerwały obrady nad wyprawą, są szczególnie złowieszczą przestrogą. Lecz stronnictwo wojenne i temu starało się przeciwdziałać. Znaleźli się ludzie, przybyli ponoć aż z Egiptu, którzy głosili, że tamtejsza wyrocznia Ammona przepowiada świetne zwycięstwo i podbój całej Sycylii.

Kto chciał, mógł też dowodzić, że symbolicznym ostrzeżeniem przed wyprawą jest wielka trylogia trojańska, którą na wiosnę tego roku, w czasie świąt Dionizosa, Eurypides przedstawił w ateńskim teatrze. Mówiliśmy już o niej poprzednio. Ostatnia część, „Trojanki”, ukazywała obóz zwycięskich Greków, którzy biorą w niewolę kobiety ze zdobytego miasta. Tak,



ale i butnych zdobywców czeka nieszczęście! Zapowiadają to w prologu sami bogowie, a później potwierdza Kassandra. Niewiele okrętów wspaniałej floty powróci do ojczyzny!

Przed niespełna rokiem, latem 416, Eurypides ułożył pieśń ku czci Alkibiadesa, który odniósł świetne zwycięstwo w czasie igrzysk olimpijskich. Jednakże na miesiące między latem roku 416 a wiosną 415 przypadło zdobycie wyspy Melos i rzeź jej mieszkańców, za co znaczną odpowiedzialność ponosił Alkibiades.

Zanim flota opuściła port w Pireusie, odbyło się tajne posiedzenie rady, na którym określono prawdziwe cele wyprawy: po zdobyciu wyspy miasta jej zostaną obłożone daniną, a ludność Syrakuz sprzeda się w niewolę; czekał ją więc los Melijczyków.

## HERMY I MISTERIA

Niespełna miesiąc przed wyruszeniem floty Ateny stały się świadkiem wydarzenia, które, gdyby nie jego tragiczne skutki, należałoby uznać po prostu za głupi wybryk.

Stało się to pewnej wiosennej nocy, którą według naszej rachuby czasu określić by trzeba jako noc z 7 na 8 czerwca. Kiedy rankiem mieszkańcy wyszli z domów, stwierdzili, że hermy na ich ulicy zostały uszkodzone; rychło okazało się, że taki sam los spotkał hermy przy wszystkich ulicach, w całym Atenach, z wyjątkiem, jak się zdaje, jednej. A więc owej nocy nieznanymi złoczyńcy grasowali po całym mieście, dokonując swego bezbożnego dzieła z godną podziwu systematycznością!

Jak wyglądały hermy? Były to kamienne, czworograniaste słupy z popiersiami, jak sama nazwa wskazuje, boga Hermesa. Stały w wielu miejscach: przed świątyniami, na rogach ulic, nawet przed prywatnymi domami. Bóg Hermes, najpopularniejszy chyba bóg Hellenów, opiekował się kupcami, podróżnymi i złodziejami, a uchodził również za stróża granic. Toteż wszędzie, gdzie panował ruch i gdzie zbierało się wielu ludzi, ustawiano jego podobiznę, aby czuwał, wskazywał i ostrzegał.

Owej fatalnej nocy odłamano nosy posągów, a także znajdujące się poniżej, wprost na słupie – ich fallosy. Dziś wystawienie na widok publiczny figury nie osłoniętej w stosownym miejscu listkiem figowym uchodzi często za coś nieprzyzwoitego. Byłoby nawet szokujące, gdyby figura miała charakter religijny i stanowiła przedmiot kultu! Hermy jednakże, choć nie wyobrażały nawet całych postaci, wręcz pyszniły się jurną męskością swych fallosów.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że jaskrawy i niczym nieskrępowany erotyzm to jedna z najistotniejszych cech helleńskiej mitologii i religii. Oczywiście, w czytankach dla młodzieży szkolnej i w gładkich esejach literackich te aspekty starożytnej kultury są przemilczane i zacierane. W pewnych granicach jest to nieodzowne, a nawet wskazane. Z drugiej jednak strony należy stale pamiętać, że prawdziwy obraz tamtej epoki musi zawierać także mocne, kontrastowe akcenty. Biel i martwota gipsowych odlewów są kłamstwem. Antyczne posągi miały oczy, świątynie były malowane jaskrawo, i to w niezwyklej zestawieniach kolorów.

Podczas wszystkich procesji ku czci boga Dionizosa obnoszono na drągach potężnych rozmiarów fallosy. Hermy zaś, i to właśnie w owej postaci z wyprostowanym fallosem, uchodziły za bardzo typowe dla Aten. Mający w tamtych czasach uczony historyk Herodot utrzymywał nawet, że inni Hellenowie właśnie z Attyki wzięli takie wyobrażenie boga Hermesa. Te dwa fakty pozwalają zrozumieć oburzenie, jakie ogarnęło mieszkańców miasta na widok znieważonych posągów.

Od razu odezwały się głosy, że bluźniercy chcieli w ten sposób ściągnąć gniew bogów na całe państwo i na przygotowywaną wyprawę. Wołano ze wszystkich stron:

– To oczywiste, że hermy obtłukiwało wielu ludzi. A więc istnieje w naszym mieście tajna organizacja, wroga obecnemu ustrojowi i jego polityce, świadomie dążąca do obalenia władzy ludowej!

Nastroje te były bardzo umiejętnie podsycane przez pewne czynniki, które zresztą działały z ukrycia tak samo, jak i owi domniemani bluźniercy. W tej sytuacji nie mogło dziwić, że w ciągu kilku dni po owej nieszczęsnej nocy zgromadzenie ludowe podjęło trzy doniosłe uchwały. Pierwsza z nich dawała prawie nieograniczone pełnomocnictwa radzie pięciuset. Druga powoływała specjalną komisję śledczą. Trzecia wyznaczała nagrody za wskazanie hermokopidów, czyli sprawców znieważenia posągów. Jednocześnie wezwano, by każdy mieszkaniec Aten, czy to obywatel, czy niewolnik, doniósł władzom, cokolwiek wie o jakimś

czynie bezbożnym. Donosiciela z góry zwalniano od wszelkiej kary, nawet jeśli sam uczestniczył w przestępstwie; jednakże za fałszywe zeznania groziła kara śmierci.

Odtąd wypadki zaczęły się toczyć jak lawina. W 15 lat później mówił o tym przed ateńskim sądem Andokides. Arystokrata i chyba rówieśnik Alkibiadesa, jego przyjacielem nie był. Jednakże na losach ich obu sprawa znieważonych posągów Hermesa zaważyła tak samo nieszczęście.

\*

Panowie sędziowie! Z wielu stron dochodzą mnie słuchy, że moi wrogowie rozgłaszają, gdzie tylko się da: „Andokides nie stawi się na rozprawę i zawczasu ucieknie za granicę. Bo i po cóż miałby wdawać się w tak ryzykowny proces? Może przecież spokojnie wyjechać z Aten, bo i tak nie zabraknie mu środków utrzymania. Uda się na Cypr, skąd ostatnio przyjechał, ma tam sporo dobrej ziemi, którą mu podarowano. On miałby tu nadstawiać głowy? Po co, w jakim celu? Chyba sam widzi, w jakim położeniu znajduje się obecnie nasze państwo!”

A tymczasem ja, panowie sędziowie, myślę zupełnie inaczej. Za żadną cenę nie zgodziłbym się żyć poza ojczyzną. I gdyby nawet rzeczywiście nasze państwo znajdowało się w tak ciężkim położeniu, jak to utrzymują moi wrogowie, to i tak wolałbym być jego obywatelem niż tych krajów, które obecnie zdają się kwitnąć. Takie są moje przekonania. Teraz oddaję się w wasze ręce. Wy postanowicie, czy mam żyć tutaj, czy umrzeć!

Zastanawiałem się długo, od czego właściwie powinienem rozpocząć moją obronę. Największy z tym kłopot, że chyba nie wszyscy jednakowo przyjęliście różne oskarżenia przeciw mnie wysunięte; więc pewnie każdy z was pragnąłby, żebym przede wszystkim na to odpowiedział, co jemu wydaje się zarzutem najcięższym, najistotniejszym. W tym stanie rzeczy postąpię chyba najsluszniej, jeśli przedstawię wam kolejno cały bieg wydarzeń, niczego nie pomijając. Jestem najgłębiej przekonany, że kiedy dokładnie zapoznacie się z historią tamtych dni, bez trudu przejrzyście kłamstwa moich oskarżycieli.

Zacznę więc od sprawy, która stała się główną podstawą oskarżenia i uwikłała mnie w ten proces, a mianowicie od sprawy misteriów. Wykażę, że nie dopuściłem się żadnego świętokradztwa. Udowodnię, że w żadnym z donosów i zeznań, które wówczas złożono, nie wymieniono mojego nazwiska. Ja sam również nigdy się nie przyznałem do popełnienia podobnego czynu.

A więc – cofnijmy się o lat piętnaście...

Odbywało się właśnie zgromadzenie ludowe, przed którym stanęli dowódcy wojsk odpływających na Sycylię: Nikias, Lamachos, Alkibiades. Okręt Lamachosa stał już na kotwicy u wejścia do portu. Wtedy to, niemal w ostatniej chwili, Pytonik zabrał głos przed całym zebrany ludem. Powiedział: „A więc wysyłacie, Ateńczycy, świetnie wyposażoną armię i podejmujecie ogromne ryzyko wojenne! Ale ja udowodnię wam, że strateg Alkibiades jest bezbożnikiem! Wraz z kilkunastu swymi towarzyszami parodiował w prywatnym domu święte misteria eleuzyńskie. Jeśli zapewnicie bezpieczeństwo człowiekowi, którego wskażę, to niewolnik jednego z obecnych tu obywateli przedstawi wam treść misteriów, choć sam nie jest wtajemniczony w święte obrządki”.

Alkibiades natychmiast odpowiedział na to w długiej mowie i gwałtownie zaprzeczył oskarżeniu. Jednakże przewodniczący zgromadzenia postanowili zbadać rzecz gruntownie. Poprosili wszystkich obywateli nie wtajemniczonych w misteria, aby opuścili miejsce obrad, sami zaś udali się po owego niewolnika, o którym wspomniał Pytonik. Przeprowadzili go. Należał do służby Polemarcha i nazywał się Antymach. Zgromadzenie natychmiast podjęło uchwałę, która zapewniała mu pełną bezkarność. Wówczas złożył on zeznania tej treści: „Parodia misteriów odbyła się w domu Pulitiona. Urządzili ją osobiście Alkibiades i jego

dwaj przyjaciele, inni brali w tym udział i przypatrywali się. Wśród obecnych byli także niewolnicy, jak ja i mój brat”.

On to więc, Antymach, był pierwszym, który złożył zeznania w sprawie misteriów. On też podał imienną listę osób, które miały parodiować obrządki. Łącznie było ich dziesięć. Spośród nich Polistrata uwięziono i wykonano na nim wyrok śmierci. Inni zdołali zbiec, skazano ich jednak zaocznie.. Proszę o odczytanie pełnej listy osób wskazanych przez Antymacha! (Pierwszy figurował na niej Alkibiades; natomiast sam? Andokides w ogóle nie był wymieniony.)

Teraz chciałbym zadać kilka pytań jednemu z moich oskarżycieli, Diognetowi. Proszę o przywołanie go przed trybunał!

– Powiedz mi, Diognecie, czy byłeś członkiem komisji śledczej, kiedy Pytonik oskarżył Alkidbiadesa przed ludem?

– Tak jest, byłem!

– A więc wiesz, że Antymach doniósł, co się działo w domu Pulitiona?

– Tak, wiem o tym.

– Czy ta lista uczestników jest zgodna z tą, którą on ułożył?

– Tak, jest zgodna.

\*

Gdyby jedynym świadectwem o tamtych wypadkach była mowa Andokidesa, trzeba by na jej podstawie wnosić, że również i Alkibiades – a nawet on przede wszystkim, bo przecież figurował na pierwszym miejscu listy! – natychmiast po zeznaniach Antymacha uciekł z Aten i został, jak inni, skazany zaocznie na śmierć. Tak się jednak nie stało, ponieważ Alkibiadesa nie można było w normalnym trybie pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. Piastował przecież jedna z najwyższych godności państwowych, był strategiem. Owszem, można go było złożyć z urzędu, ale dokonać tego aktu władne było tylko zgromadzenie ludowe. Nikt jednak formalnie takiego wniosku nie postawił, wiedziano bowiem, że lud go nie przyjmie. Sam Alkibiades wielokrotnie domagał się sądu i oświadczał publicznie:

– Gotów jestem poddać się śledztwu natychmiast, nim wyruszę z wyprawą. Jeśli się okaże, że istotnie popełniłem przestępstwo, poniosę karę, na jaką zasługuję. Jeśli natomiast – czego jestem zupełnie pewny – dowiodę, że jestem niewinny, spokojnie zajmę się sprawami wojny.

Kiedy okazało się, że zgromadzenie ludowe w żadnym wypadku nie zgodzi się na wszczęcie przeciw niemu postępowania sądowego, Alkibiades wołał z nieco teatralną afektacją:

– Zaklinam was i błagam: gdy będę na Sycylii, nie przyjmujcie do wiadomości żadnych oszczerczych zarzutów! Jeśli rzeczywiście ciąży na mnie wina, wołę od razu śmierć ponieść! Przecież chyba zdrowy rozsądek nakazuje, by przed rozprawą nie wysyłać mnie na czele tak wielkiej armii!

Ale te wszystkie gwałtowne nalegania i prośby nie odnosiły skutku. Po każdym wystąpieniu Alkibiadesa wstawali mówcy, którzy przedkładali zgromadzeniu ludowemu nieodparty argument:

– Wyprawa jest najważniejsza, czas ucieka, lato już w pełni. Cóż to za pomysł – zatrzymywać setki okrętów i tysiące ludzi dla jednego człowieka? Sprawę Alkibiadesa rozpatrzy się po jego powrocie z wyprawy!

Słuszność takiego stanowiska wydawała się oczywista. Toteż Alkibiades na próżno ponawiał swoje prośby. Pozostał na urzędzie, a terminu wyprawy nie przesunięto. Tak więc powstała sytuacja pod względem prawnym wręcz paradoksalna: donos przyjęto jako wiarogodny i natychmiast skazano na śmierć wszystkich rzekomo winnych – z wyjątkiem tego właśnie

człowieka, którego należało uznać za prowodyrę bezbożnych wyczynów. Co więcej, utrzymano go na odpowiedzialnym stanowisku!

Nie trzeba się dziwić, że Andokides ani słowem nie wspomniał w swej mowie o sprawie Alkibiadesa. Była ona powszechnie znana. Nawet po piętnastu latach Ateńczycy dobrze pamiętali, że Alkibiades nie został skazany i wyjechał z wyprawą; wszystko to bowiem miało później doniosłe następstwa.

Bystry polityk, jakim był Alkibiades, musiał od razu zdać sobie sprawę, dlaczego tylu mówców tak gwałtownie sprzeciwia się jego błaganiom, by przeprowadzić pełne śledztwo. Była to, oczywiście, opozycja zorganizowana. Nieprzyjaciele Alkibiadesa dobrze wiedzieli, że ich szansę są ciągle nierówne. Wynik głosowania w zgromadzeniu ludowym był nie do przewidzenia. Za Alkibiadesem stała większość żołnierzy, bo uchodził za dobrego dowódcę. Zwolennicy wyprawy widzieli w nim głównego jej rzecznika. Obawiano się również, że w razie jego upadku odejdą posiłki przysłane przez Argiwczyków i mieszkańców Mantinei; a pierwsi z nich dali aż pięciuset hoplitów.

\*

W dniu wyjazdu floty już od samego świtu ogromne tłumy napływały do portu w Pireusie.

Ściągali żołnierze i załogi okrętów, przybywały rodziny i znajomi wyjeżdżających, wreszcie – rzesze ciekawych. Wszyscy pragnęli ujrzeć na własne oczy, jak rusza w daleki rejs ich wielka, wspaniała flota. Nigdy dotychczas żadne państwo helleńskie nie wystawiło tylu tak świetnie wyposażonych okrętów. Skarb Związku wyłożył na cele wyprawy ogromne sumy. Ale i ludzie prywatni prześcigali się w ofiarności. Zwłaszcza wielcy bogacze, którzy musieli wyposażać poszczególne okręty i opłacić część wioślarzy (ten ciężar liturgiczny zwał się trierarchią), nie szczędzili środków i pieniędzy, aby okazać wszystkim swoje oddanie dla sprawy publicznej. Także zwykli żołnierze rywalizowali między sobą świetnością uzbrojenia. Wszędzie lśniło złoto, srebro i spiż, wszędzie barwiły się różnokolorowe stroje i żagle. Nawet ci, co żegnali najbliższych i nie mogli się oprzeć uczuciom smutku i niepokoju, patrzyli na potężną flotę z dumą i nadzieją zwycięstwa. A przecież – wiedzieli o tym wszyscy zebrani w Pireusie – była to tylko część sił, które popłyną na Sycylię; reszta okrętów i wojsk, zwłaszcza te, które wysyłali sprzymierzeńcy, zbierała się w porcie Korkiry, na Morzu Jońskim.

Kiedy wszystko już było gotowe, rozległ się przeciągły dźwięk trąb. Wśród wielotysięcznej rzeszy na chwilę zapadła głucha cisza. Potem rozległy się słowa modlitwy. Herold dał znak: na wszystkich okrętach oficerowie i żołnierze jednocześnie zmieszali w wielkich naczyniach wino z wodą, napełnili płynem złote lub srebrne kielichy i strząsnęli kilka kropli w morze, prosząc bogów o życzliwość i opiekę. Wszyscy odśpiewali hymn wojenny i okręty zaczęły kolejno wypływać z portu. Chyżo prując fale i współzawodnicząc w szybkości, skierowały się najpierw ku pobliskiej Eginie. W następnych dniach bez żadnych przeszkód i przygód wielka armada opłynęła Peloponez i przybiła do wyspy Korkiry. Dopiero tutaj wodzowie mogli odbyć przegląd wojsk i floty.

Trójrzędowców było łącznie 134; prócz tego z wyspy Rodos przybyły dwa ogromne okręty o pięćdziesięciu wiosłach. Z tej liczby Ateńczycy dali 60 okrętów wojennych i 40 transportowych, resztę natomiast wystawiły państwa sprzymierzone. Armia liczyła 5100 hoplitów i 1300 lekkobrojnnych, jeźdźców natomiast tylko trzydziestu; ci przewozili swoje konie na specjalnie zbudowanym okręcie. Mniej więcej połowę żołnierzy stanowili obywatele ateńscy. Załogi okrętowe liczyły łącznie około 25000 ludzi. Razem z główną flotą płynęło 30 okrętów z zaopatrzeniem; wiozły nie tylko zapasy żywności, lecz również wielu rzemieślników, poczynając od piekarzy, a kończąc na murarzach, którzy mieli być pomocni przy robotach oblężniczych. Na stu mniejszych okrętach i łodziach, zarekwirowanych przez państwo

od osób prywatnych, znajdowała się służba, bagaże i drobny sprzęt. Do wyprawy przyłączyli się też z własnej woli liczni kupcy na swoich okrętach.

To skupisko statków i ludzi strategowie podzielili na trzy części, aby ułatwić korzystanie z portów i zdobywanie zaopatrzenia. Trzy eskadry przepłynęły z Korkiry przez Morze Jońskie i przybiły do różnych miejscowości u wybrzeży Italii, potem zaś, płynąc wciąż ku zachodowi, połączyły się znowu koło miasta Region; leżało ono na samym cyplu półwyspu, oddzielone od Sycylii tylko wąską cieśniną.

## POCHÓD DONOSICIELI

Niemal natychmiast po odpłynięciu floty w Atenach posypały się następne denuncjacje w sprawie parodii misteriów. Wszystkie te donosy, zeznania i procesy zamiast wyjaśniać sytuację i uspokoić opinię publiczną wywoływały w społeczeństwie coraz głębsze wzburzenie, niemal histerię. Informuje o tym dokładnie mowa Andokidesa, wygłoszona, jak wspomnieliśmy, piętnaście lat później przed ludowym sądem ateńskim. Podamy tutaj w parafrazie niektóre ustępy tej mowy, dodając gdzieś krótkie objaśnienia; co bowiem było dla słuchaczy Andokidesa wiadome i oczywiste, dziś już nie tłumaczy się samo przez się.

\*

Z drugim donosem rzecz miała się następująco:

Mieszkał w naszym mieście pewien metojk imieniem Teukros. Przeniósł się on potajemnie do Megary i stamtąd powiadomił radę, że jeśli otrzyma gwarancję bezpieczeństwa i bezkarności, może złożyć zeznania w sprawie parodii misteriów, bo sam w tym uczestniczył; może też wskazać współników oraz wyjawić wszystko, co mu wiadomo o znieważeniu herm. Rada uchwaliła taką gwarancję, bo miała po temu pełnomocnictwo od zgromadzenia ludowego, po czym komisja udała się po Teukrosa do Megary. Przywieziony stamtąd metojk podał nazwiska współwinnych, ci jednak natychmiast po jego zeznaniach uciekli z Aten.

Proszę, oto lista dwunastu osób wskazanych przez Teukrosa! Nie ma na niej mojego nazwiska. (Dodać należy: nie było też nazwiska Alkibiadesa). Proszę też, aby sąd zapamiętał, że oskarżyciel zgadza się ze wszystkim co powiedziałem o drugim donosie.

A teraz – donos trzeci. Złożyła go obecna tutaj Agarysta, żona Alkmeonida, przedtem zaś Damona. podała ona, że w domu Charmidesa koło świątyni Zeusa Olimpijskiego parodiowali misteria: Alkibiades, Aksjochos i Adejmant. Wszyscy oni uciekli z Aten natychmiast po złożeniu donosu przez Agarystę. Przerwijmy na chwilę wywody Andokidesa.

Alkibiades, rzecz prosta, nie uciekł po donosie Agarysty, bo przebywał już wówczas u wybrzeży Italii lub Sycylii; nie został też ani odwołany, ani pozbawiony dowództwa. Uciekł natomiast Aksjochos, stryj Alkibiadesa – ten sam, z którym przed laty Alkibiades zabawiał się w Abydos, mieście rozkoszy i zepsucia. Po ucieczce Aksjochosa jego majątek skonfiskowano i sprzedano na rzecz skarbu państwa; ale w kilka lat później, po amnestii, rzekomy bluźnierca powrócił do Aten. Podobne były losy trzeciego obwinionego przez Agarystę – Adejmanta. I on uciekł, a jego majątek uległ konfiskacie. Po kilku latach znowu zjawił się w Atenach, korzystając z tej samej amnestii, co Aksjochos; doszedł nawet do wysokich godności, piastował bowiem dwu- lub trzykrotnie urząd stratega.

Powracamy do opowieści Andokidesa. Był jeszcze jeden donos. Lidos, niewolnik. Fereklesa, zeznał, że w domu jego pana w Temakos parodiowano misteria. Podał listę uczestników, wymieniając również mego ojca, Leogorasa; zaznaczył jednak, że wprawdzie Leogoras znajdował się wtedy w domu, ale spał dobrze przykryty.

Speuzyp, członek rady, przekazał sprawę wszystkich wymienionych w tym donosie trybunałowi ludowemu. Wówczas mój ojciec wystarał się o poręczycieli i wytoczył Speuzypowi proces o łamanie praworządności. Rozprawa przeciw Speuzypowi odbyła się przed połączonymi trybunałami ludowymi, a więc przed sześciu tysiącami sędziów! I oto, w tak licznym

zespole, Speuzyp nie uzyskał nawet dwustu głosów! Wyrok ten równał się uwolnieniu mego ojca od oskarżenia o udział w parodiowaniu misteriów.

Kto zaś najbardziej przekonywał ojca, by pozostał w mieście i nie uciekał od razu, jak to robili wszyscy wskazywani przez donosicieli? Kto błagał go o to? Tym człowiekiem byłem ja – a do próśb moich dołączyli się potem inni krewni. Proszę o przesłuchanie świadków w tej sprawie!

\*

Tak więc, panowie sędziowie, przypomniałem wam cały przebieg wydarzeń. Prawdziwość moich słów potwierdzili świadkowie. Proszę obecnie, abyście zechcieli uprzytomnić sobie, co ośmielili się utrzymywać moi oskarżyciele. Bo najwłaściwszy sposób obrony polega chyba na tym, by stale przypominać treść oskarżenia i wykazywać jego bezpodstawność. Otóż twierdzili oni, że to właśnie ja doniosłem o parodiowaniu misteriów! I że to właśnie ja wymieniłem wśród uczestników również Leogorasa, który jest moim ojcem! Krótko mówiąc, oskarżyli mnie o zadenuncjowanie własnego ojca. A więc zarzucili mi popełnienie zbrodni, która należy chyba do najpotworniejszych.

Jak wykazałem, mego ojca zadenuncjował Lidos, niewolnik Fereklesa. Ja natomiast – powtarzam – byłem tym właśnie, który przekonywał ojca, żeby pozostał w mieście i nie uciekał. Błagałem go o to gorąco. Padałem mu do stóp. A przecież, gdybym rzeczywiście był donosicielem, po cóż miałbym go zatrzymywać w Atenach? Zadenuncjowałem własnego ojca – twierdzą oskarżyciele – a jednocześnie prosiłem go, żeby pozostał w mieście i ściągnął na siebie jeszcze gorszą biedę! Ale mój ojciec dał się przekonać i stanął przed sądem – choć wiedział, że w wyniku rozprawy czekałoby go jedno z dwóch nieszczęść: gdyby się okazało, że słusznie go oskarżyłem, musiałby umrzeć; gdyby go uniewinniono, zginąłbym ja! Bo przecież ustawa mówiła najwyraźniej: kto składa prawdziwe zeznania, nie podlega karze; kto natomiast oskarża fałszywie, winien jest śmierci. Wszyscy zaś wiecie, że wyszliśmy z tamtej rozprawy cało, zarówno ja, jak i ojciec. A przecież to byłoby niemożliwe, gdybym istotnie zadenuncjował swojego ojca Leogorasa.

Załóżmy jednak, że mój ojciec mimo wszystko chciał pozostać w Atenach. Czy wyobrażacie sobie, że jego przyjaciele pozwoliliby mu na to? Czy sądzicie, że w takich okolicznościach ktokolwiek zdecydowałby się ręczyć za niego? Czy wszyscy nie błagaliby go raczej, żeby uciekał z Aten jak najdalej? Tylko tym sposobem mógłby i życie zachować, i mnie, swego syna, ocalić od zguby.

Oskarżając Speuzypa o złamanie zasad praworządności, ojciec mój twierdził, że w ogóle nigdy nie był w Temakos u Fereklesa. Żądał też, by niewolników poddano torturom w celu wydobycia z nich prawdziwych zeznań. Domagał się torturowania wszystkich niewolników, którzy mogliby coś wiedzieć, a nie, jak to się czasem dzieje, że odmawia się torturowania niewolników, kiedy panowie o to proszą, torturuje się, zaś tych, których panowie są temu przeciwni. Kiedy mój ojciec rozwodził się nad tą sprawą, Speuzyp powinien był przecież – jeśli prawdę mówią moi oskarżyciele – powiedzieć krótko: „Ależ, Leogorasiu, po co tyle gadać o służbie? Czyż twój syn, tu obecny, nie złożył obciążających cię zeznań? Czyż nie doniósł, że byłeś w Temakos?”

A potem, zwracając się do mnie, mógł dodać: „Udowodnij to teraz ojcu, Andokidesie, albo skończy się twoja bezkarność!”

Czy Speuzyp, panowie sędziowie, powinien był tak powiedzieć, czy nie? Jestem przekonany, że tak by powiedział! Prawda jednakże jest taka: w sprawie misteriów nigdy nie złożyłem na nikogo żadnego donosu nigdy mnie też w żadnym donosie nie wymieniono. Moi oskarżyciele twierdzą coś wręcz przeciwnego – i nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś równie



niewiarogodnego i ohydneho, jak ich słowa! Wydawało im się że zupełnie wystarczy, jeśli ich zarzuty będą bezczelne, zupełnie nie przejmowali się tym, że mogą zostać przyłapani na kłamstwie!

Takie były owe cztery donosy w sprawie parodiowania misteriów. Przeczytałem wam nazwiska wszystkich, którzy po każdym donosie kolejno uciekali, z miasta, a świadkowie to potwierdzili. By wykazać prawdziwość moich słów, gotów jestem, panowie sędziowie, zgodzić się i na to:

Spośród ludzi, jacy w związku ze sprawą misteriów uciekli za granicę, niektórzy zmarli na obczyźnie, inni jednak powrócili, przebywają w mieście, są nawet tutaj obecni, bo ich o to prosiłem. Jeśli więc ktokolwiek z nich uciekł przede mną, na skutek mojego donosu, a nie z powodu owych czterech donosów, które wam przedstawiłem, niechże wstanie i kłam mi zada! Zgadzam się, byście postąpili wówczas ze mną tak, jak to uznacie za właściwe. Mogę natychmiast przerwać mowę, mogę zejść z mównicy – niech wejdzie tutaj każdy, kto ma ochotę!

## W SYRAKUZACH

Powieść Andokidesa – do której jeszcze powrócimy – pokazuje dowodnie, że od owej tragicznej nocy, kiedy to nieznanymi sprawcami uszkodzili posągi Hermesa, nie było już w Atenach ani chwili spokoju i pogody. W atmosferze lęku i wzajemnej podejrzliwości krążyły najprzeziwniejsze pogłoski i lęły się donosy. Nikt, zwłaszcza spośród ludzi znamienitych i zamożnych, nie był pewny, czy dnia następnego ktoś nie oskarży go o świętokradztwo i bluźnierstwo; a za takim oskarżeniem szło natychmiastowe uwięzienie i proces w trybie przyspieszonym, kończący się wyrokiem śmierci. Tylko ucieczka dawała jakąś szansę ratunku, była jednak oczywistym przyznaniem się do winy, czyli powodowała zaoczny wyrok skazujący i konfiskatę mienia. Państwo, które dopiero co wysłało wiele tysięcy młodych ludzi na niebezpieczną wyprawę wojenną, aby zdobyć daleką wyspę, samo było chore i skłócone. Przeżerała je nienawiść stronnictw, i zbrodnicza bezwzględność polityków, którzy wyzyskiwali religijny fanatyzm mas ludowych.

A jak przedstawiała się w tym czasie wewnętrzna sytuacja miasta, ku któremu płynęła potężna flota ateńska? Co myśleli i jak się zachowywali wobec groźby najazdu mieszkańcy pięknych, bogatych Syrakuz?

Oczywiście, głuche wieści o ateńskich przygotowaniach dotarły na Sycylię już wcześniej, chyba z wiosną roku 415 – jakkolwiek w ówczesnych warunkach komunikacyjnych wszystkie informacje przychodziły z wielkim opóźnieniem; z Aten na Sycylię płynęło się przynajmniej osiem dni. Jednakże, pomimo licznych i wciąż ponawianych ostrzeżeń, nie wszyscy w Syrakuzach chcieli wierzyć, że Ateńczycy naprawdę przerzucą wojnę tak daleko na zachód. Bo i tutaj stronnictwa walczące o władzę nie przerwały małostkowych sporów nawet w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. Przeciwnie, groźba wojny stała się zarazem i pożywką, i przedmiotem nowych rozgrywek politycznych.

Ustrój ówczesnych Syrakuz, choć w zasadzie demokratyczny, dawał arystokracji duże przywileje; z tej warstwy wybierano najwyższych urzędników. Wielką jednak rolę odgrywało również zgromadzenie ludowe. Rząd był, oczywiście, dobrze poinformowany o groźbie wiążącej nad miastem, toteż parł do energicznych zbrojeń. Ale, jak zwykle, właśnie to budziło podejrzliwość syrakuzkańskiego ludu i jego przywódców. Demokraci sądzili, że wielcy panowie umyślnie wzbudzają panikę, aby umocnić swe wpływy. Te dwie postawy wobec pierwszych pomruków wojennej burzy znalazły swój wyraz nawet w czasie zgromadzenia ludowego. Flota ateńska była już u wybrzeży Korkiry, w Syrakuzach zaś wciąż odzywały się głosy, że wieści o najeździe to tylko perfidny wymysł rządu, Hermokrates, przywódca arystokratów i członek kolegium strategów, na próżno nawoływał:

– Mam pewne wiadomości, że Ateńczycy już podjęli wyprawę. Rzekomo chcą tylko bronić Egesty i z powrotem zasiedlić Leontinoj, ale prawdziwym celem jest opanowanie całej Sycylii. Jeśli obecnie zlekceważymy te informacje, wkrótce może być za późno. Nie należy jednak popadać w panikę. Nawet z tego, że wyprawa jest tak wielka, możemy wyciągnąć pewne korzyści. Po pierwsze, zagrożone najazdem miasta Sycylii będą szukały zbliżenia z nami. Po drugie, im większe wojsko rozgromimy, tym świetniejszą zyskamy sławę. Przecież sami Ateńczycy chwałę swoją zawdzięczają temu, że zdołali odeprzeć perską nawałę. Zresztą nasze połączone siły w żadnym razie nie będą ustępowały ateńskim, które w dodatku działać muszą z dala od źródeł zaopatrzenia.

Następnie Hermokrates radził, by wysłać poselstwa do różnych miast Sycylii w celu zawarcia sojuszków. Inni posłowie mogliby udać się do miast Italii; jeśli nawet nie staną one po

stronie Syrakuz, to przynajmniej niech nie wpuszczają Ateńczyków w swe mury! Dobrze też byłoby starać się o pomoc pieniężną w Kartaginie. Wreszcie trzeba by nakłonić Lacedemon i Korynt, aby wzmożyły działania wojenne w samej Helladzie; w ten sposób odwrócą uwagę Ateńczyków od spraw Zachodu.

Nade wszystko jednak wzywał Hermokrates do wyjścia wrogom naprzeciw:

– Możemy zaatakować flotę ateńską, kiedy będzie płynęła z Korkiry do Italii. Ryzyko jest niewielkie, bo nawet w razie niepowodzenia łatwo będzie wycofać się do Tarentu, który nam sprzyja. A wolno też przypuszczać, że na wiadomość o czatującej flocie nieprzyjacielskiej Ateńczycy w ogóle nie wypłyną z portów Korkiry i pozostaną tam jeszcze przez zimę.

Jednakże Hermokrates przekonał tylko niewielu. Bo nawet, ci którzy dawali wiarę jego informacjom, nie sądzili, by wyprawa miała się zwrócić przeciw Syrakuzom. Było też sporo takich, co z całej sprawy stroili sobie żarty. Z wielką pasją wystąpił przeciw Hermokratesowi przywódca demokratów, Atenagoras:

– To bezczelność wywoływać popłoch wśród ludu i rozsiewać plotki o rzekomo grożącej nam wojnie! Ale i głupota, bo jak można sobie wyobrażać, że nikt nie przejrzy tych haniebnych zamiarów! Pogłoski o ateńskim najeździe to świadoma robota określonych kół i ludzi. Chcą oni doprowadzić do zamieszania w państwie, a to dla osiągnięcia osobistych korzyści. Jest przecież z gruntu nieprawdopodobne, by Ateńczycy rzeczywiście przedsięwzięli wyprawę na Sycylię. Chyba nikt lepiej od nich samych nie zdaje sobie sprawy z trudności i niebezpieczeństw prowadzenia wojny w tak odległych stronach; bo na sprawach morza i działań zbrojnych znają się świetnie.

W takim tonie przemawiał i tego rodzaju argumentami posługiwał się człowiek, który wszędzie doszukiwał się oligarchicznych knoń przeciw dobru syrakuzkańskiego ludu. Wkrótce i on musiał zmienić zdanie. Przyszły bowiem wieści, tym razem całkowicie pewne, że ateńskie okręty przepłynęły już Morze Jońskie i zbierają się koło miasta Region. Wtedy dopiero mieszkańcy Syrakuz uwierzyli, że wojna nie jest wymysłem oligarchów. Z wielkim pośpiechem przystąpiono do zbrojeń. Zaczęto też w części realizować plan Hermokratesa i rozesłano poselstwa na wszystkie strony.

## ANDOKIDES – TCHÓRZ CZY BOHATER?

Panowie sędziowie! Jak to przyrzekłem poprzednio, przedstawię wam teraz sprawę znieważenia herm i kolejność związanych z tym donosów. Wszystko od samego początku, tak jak owe denuncjacje następowały po sobie.

Otóż, jak pamiętacie, Teukros po otrzymaniu gwarancji bezpieczeństwa i bezkarności przybył z Megary do naszego miasta. Najpierw złożył zeznanie w sprawie parodii misterii; o tym już mówiłem. Natomiast w swoim drugim zeznaniu Teukros wskazał po nazwisku osiemnastu mężczyzn, którzy, jak twierdził, zbeczęścili hermy. Spośród owych osiemnastu niektórzy zdołali uciec za granicę. Innych jednak schwytano i ci ponieśli śmierć. Oto nazwiska ludzi obwinionych przez Teukrosa! (Nie było na tej liście Alkibiadesa, nie było też Andokidesa.)

Kilku spośród tych, którzy ratowali się ucieczką, powróciło potem do ojczyzny; są tutaj obecni. Są również tutaj liczni krewni tych, którzy zginęli. Ktokolwiek z nich chce, niech wejdzie teraz na mównicę, niech zajmie moje miejsce, niech wykaże – korzystając z czasu przyznanego mi na obronę – że to ja byłem sprawcą czy to ucieczki, czy też śmierci kogośkolwiek z owych osiemnastu!

W jakiś czas później Pejsandros i Charykles, członkowie komisji śledczej, uchodzący wtedy za najgorętszych demokratów, oświadczyli przed zgromadzeniem: „To, co się zdarzyło, nie było sprawką jakiejś drobnej grupy, lecz zostało dokonane w celu obalenia władzy ludowej. Należy więc bez przerwy prowadzić śledztwo dalej!”

O nastrojach, jakie panowały wówczas w naszym mieście, niech świadczy tylko to:

Obwieszczono, że rada ma się zebrać w swoim gmachu. Zgodnie ze zwyczajem opuszczono chorągiew. Kiedy radni zaczęli nadchodzić, ludzie na rynku rzucili się do ucieczki! Nikt bowiem nie był pewny, czy za chwilę nie dostanie się do więzienia. Ale właśnie ta nieszczęsna sytuacja wewnętrzna naszego państwa pobudziła do działania niejakiego Dioklejdesa. Stał on przed radą i rzekł: „Znam ludzi, którzy znieważyli hermy. Jest ich około trzystu. Mogę powiedzieć, w jakich okolicznościach ich widziałem i w jaki sposób stałem się świadkiem zbrodni”.

Powtórzę obecnie całe zeznanie Dioklejdesa. Was zaś, panowie sędziowie, proszę, byćście pilnie baczyli, czy wiernie przytaczam jego słowa! Bo przecież Dioklejdes zeznawał przed sądem. W tym wypadku wy, moi sędziowie, jesteście zarazem moimi świadkami.

\*

Otóż Dioklejdes rzecz tak przedstawiał:

„Miałem niewolnika w kopalniach srebra w Laurion. Musiałem tam pójść, żeby odebrać jego zarobek. Wstałem więc bardzo wcześnie, a nawet wcześniej, niż mi się zdawało, bo tej nocy była pełnia. Wyszedłem z domu. Byłem już koło bram teatru, kiedy ujrzałem tłum ludzi. Szli ulicą w dół, od strony Odeonu ku Orchestrze. Złąłem się i ustąpiłem w cień. Przysiadłem pomiędzy kolumną a tą płytą z brązu, na której wyrzeźbiona jest postać stratega. Tamtych było około trzystu. Przystanęli w grupach po pięciu i dziesięciu, a nawet po dwudziestu. W jasnym świetle księżyca «widziałem i rozpoznałem twarze większości z nich”.

Przerywam na chwilę opowieść Dioklejdesa, bo na jedno chcę wam zwrócić uwagę: Dioklejdes już z góry tak ustawił sprawę, że tylko od jego woli – rzecz doprawdy niesłychana! – zależało, kogo wskaże jako winnego. Wystarczyło mu powiedzieć: ten był tam wtedy! – lub: Nie, tego człowieka nie widziałem!

Posłuchajmy dalej:

„Zobaczyłem to wszystko, a potem poszedłem swoją drogą do Laurion. Następnego dnia usłyszałem, że znieważono hermy. Od razu pojąłem, że musieli tego dokonać tamci ludzie. Gdy wróciłem do miasta, komisja śledcza była już wybrana, a herold obwieszczał, że za wskazanie winnych wyznacza się sto min nagrody.

Przypadkowo spotkałem Eufemosa. Siedział w kuźni. Zaprowadziłem go do świątyni He-fajstosa i tam opowiedziałem mu, czego byłem świadkiem owej nocy. A on na to: «To do-brze, żeś mi o tym powiedział. Umówmy się na jutro w domu Leogorasa. Tam spotkasz jego syna Andokidesa, a także innych ludzi, których również musisz koniecznie poznać!»

Poszedłem więc tam dnia następnego i zacząłem dobijać się do bramy. Sam Leogoras właśnie wychodził na miasto. Kiedy przechodził koło mnie, wyrwały mu się takie słowa: «Ach, więc to na ciebie czekają? Doprawdy, nie powinno się odpychać takich przyjaciół! Tyle tylko powiedział i poszedł sobie. Ale z tego odezwania się wynika jasno, że wiedział on o wszystkim, tak samo jak i jego syn Andokides, którego owej księżycowej nocy rozpoznałem w tłumie trzystu mężczyzn.

Wszedłem więc do środka, gdzie już była zebrana spora grupa. Przedstawiono mi tam taką propozycję: «Postanowiliśmy dać ci aż dwa talenty, czyli sto dwadzieścia min, za to tylko, że zachowasz milczenie. Od państwa za złożenie na nas donosu otrzymałbyś tylko sto min, a więc dzięki nam sporo zarobisz. Później, kiedy już osiągniemy nasz cel, będziesz traktowany jak jeden z należących do spisku od początku. Musimy jednak nawzajem to sobie poręczyć; ty, że zachowasz milczenie, my, że ci damy pieniądze.

Ja odpowiedziałem na to, że muszę się jeszcze zastanowić! A oni: «Trzeba by jeszcze pójść do domu Kalliasa, syna Teloklesa. Jest on szwagrem naszego gospodarza, Andokidesa. Niechby i Kallias był świadkiem ugody!

Poszliśmy więc do Kalliasa. Tam przyrzekłem im, że dochowanie tajemnicy zaprzysięgnę w świątyni na Akropolu. Oni natomiast zobowiązali się, że w przyszłym miesiącu wypłacą mi pieniądze. Ale nie dotrzymali zobowiązania. Dlatego stoję tu i zeznamę wszystko, co i jak się stało!»

\*

Przytoczyłem wiernie całą relację Dioklejdesa. Złożył on formalne oskarżenie, eisangelię, przeciw osobom, które zagrażają bezpieczeństwu państwa. Wskazał po nazwisku czterdziestu dwu mężczyzn, których – jak twierdził – widział tamtej nocy koło teatru. Na pierwszym miejscu wymienił Mantyteosa i Apsefiona. Obaj byli członkami rady, uczestniczyli w posiedzeniu, a w czasie zeznań Dioklejdesa znajdowali się wśród słuchaczy. Gdy tylko Dioklejdes skończył mówić, Pejsandros od razu wstał ze swego miejsca i powiedział: „Należy uchylić ustawę, która zabrania torturowania obywateli. Wskazane przez Dioklejdesa osoby będzie się łącać kołem. Jeszcze przed nocą musimy z nich wydobyć nazwiska wszystkich pozostałych zbrodniarzy!” Cała rada zakrzyknęła natychmiast: „Słusznie, słusznie, dobrze mówi!”

Mantyteos i Apsefion, skoro tylko to usłyszeli i pojęli, ku czemu wszystko zmierza, jednym skokiem znaleźli się u stopni ołtarza. Stamtąd zaczęli wołać wielkim głosem; „Nie wydawajcie nas na tortury, przyjmijcie od nas zakładników!”

Rada przychyliła się do ich błagań dopiero po dłuższym czasie, i to bardzo niechętnie. Tamci dostarczyli zakładników – i bezzwłocznie dosiedli koni! Nie oglądając się na nic zbie-

gli za granicę, do nieprzyjaciół, choć dobrze wiedzieli, że na zakładników spadną kary, które ich samych oczekiwały. Tymczasem rada opuściła budynek. Rozkazała, by potajemnie nas uwięziono i od razu zamknięto w dybach.

Potem przywołano dowódców, którzy otrzymali następujące polecenia: Wszyscy obywatele mieszkający w samych Atenach wezmą broń i zbiorą się na rynku. Ci, którzy przebywają w obrębie długich murów, obsadzą świątynię Tezeusza. Zamieszkali w Pireusie staną uzbrojeni na tamtejszym rynku. Jeźdźcy, jeszcze przed zapadnięciem zmroku, na znak dany trąbą udadzą się do Anakejon. Cała rada wejdzie na Akropol i tam pozostanie na noc. Natomiast komisja prytańców będzie czuwała w Rotundzie.

Spodziewano się więc zamachu stanu. Beotowie którzy wiedzieli już, co się dzieje w mieście, doprowadzili swoje wojska ku naszym granicom.

A sprawcę tego całego zamieszania, Dioklejdesa uznano za zbawcę państwa! Wsadzono go na rydwan, obwieszono kwiatami, zawieszono do siedziby prytańców. Tam podejmowano go posiłkiem na koszt państwa.

Ci z was, panowie sędziowie, którzy byli świadkami owych wydarzeń, niechże sami je sobie przypomną. A potem niech opowiedzą innym, jak to wówczas było. Wzywam również na świadków osoby, które zasiadały wtedy w komisji prytańców!

\*

Proszę o odczytanie nazwisk osób, które wskazał Dioklejdes! Sami się przekonacie, ilu moich krewnych padło ofiarą tego człowieka. Przede wszystkim mój Ojciec Leogoras. Dalej mój szwagier Kallias, syn Teloklesa. O pierwszym z nich Dioklejdes doniósł, że należał do spisku, bo powiedział mu w bramie domu:

„Ach, więc to na ciebie czekają tamci?” Drugiego zaś oskarżył o to, że użyczył swego domu na spotkanie, w czasie którego obie strony związały się przyrzeczeniami. Prócz tego Dioklejdes podał – wśród owych czterdziestu dwu – nazwiska moich ośmiu bliskich krewnych.

Wszystkich nas uwięziono w tym samym budynku. Przy jednych były matki, przy innych siostry albo żony i dzieci. Zewsząd słyhać było krzyki i zawodzenia. Ludzie płakali i lamentowali nad swym nieszczęściem. Wtedy to zwrócił się do mnie Charmides, mój brat cioteczny, a zarazem rówieśnik. Wychował się w naszym domu. Mówił tak: „Sam widzisz, Andokidesie, co nas spotkało! Nigdy dotąd o nic cię nie prosiłem. Nigdy nie sprawiałem ci kłopotu. Ale teraz zmusza mnie do tego nasze straszne nieszczęście. Poza nami, twoimi krewnymi, na skutek poprzednich donosów twoi znajomi i przyjaciele albo ponieśli śmierć, albo zbiegli za granicę. A wszystko z tego samego powodu, dla którego i my teraz mamy ginąć! Więc błagam cię na wszystko: jeśli naprawdę wiesz cokolwiek o tej sprawie, powiedz to władzom! Przecież ustawa przewiduje, że kto wskaże sprawców, ma zapewnioną bezkarność, choćby sam uczestniczył w zbrodni. Możesz oskarżyć siebie samego i ludzi, którzy albo już nie żyją, albo uciekli. Choćbyś nawet i trochę skłamał, to lepiej siebie i swoich ocalić przez małe kłamstwo niż marnie zginąć pod tym samym zarzutem! Uratujesz swojego ojca, któregoś powinien kochać nade wszystko. Szwagra, który ma za żonę twoją siostrę, jedyną siostrę. Wszystkich krewnych, ilu ich jest tutaj w więzieniu. I ocalisz mnie. Mnie, com ci nigdy nie wyrządził najmniejszej przykrości, a oddany ci jestem jak chyba nikt inny, tobie i wszystkiemu, co twoje!”

Usłyszeli to inni i zaraz zaczęli jęczeć i błagać, żebym postąpił tak, jak mówił Charmides. A ja zacząłem rozważać:

Gorzej już być nie może! Jak wybrnąć z tego wszystkiego? Bo jeśli nie pójdę za radą Charmidesa i niczego władzom nie powiem, to dojdzie do rzeczy strasznych! Będę musiał patrzeć, jak moi bliscy umierają – niewinnie. Tak, skazą ich na śmierć, majątki ich skonfi-

skują, a do tego jeszcze na tablicach wypiszą, że bogów znieważyli! A przecież oni są naprawdę niewinni. Nie dość na tym, prócz uwięzionych może zginąć jeszcze prawie trzystu Ateńczyków, bo niby tylu widział Dioklejdes owej nocy. Jak zaczną się tortury, posypią się nazwiska. Na miasto spadną najgorsze nieszczęścia, wszyscy będą wzajem się podejrzewać i oskarżać. Czy więc nie lepiej donieść władzom, com słyszał od Eufiletosa, sprawcy owego przestępstwa?

Później zaś i to jeszcze sobie myślałem:

Wszyscy, którzy naprawdę brali udział w obtłukiwaniu herm, albo już ponieśli śmierć, albo uciekli, bo przecież wymienił ich w swym donosie Teukros. Pozostało tylko czterech. A jest prawie pewne, że teraz padną ich nazwiska, bo przecież byli przyjaciółmi skazanych. Więc dla nich nadzieja ratunku żadna, a dla moich krewnych, jeśli teraz nie złożę donosu, zguba oczywista!

I tak sobie postanowiłem:

Lepiej, żeby tych czterech musiało iść na wygnanie (wszyscy zresztą żyją obecnie, powrócili do kraju i do swych majątków), niż żeby tylu ludzi miało zginąć niesprawiedliwie!

Ale może ktoś z was myśli, że złożyłem zeznania przeciw tym czterem moim przyjaciołom tylko dlatego, żeby ocalić siebie samego i swoich krewnych? Otóż we wszystkich moich czynach nie było ni krzty tchórzostwa i przewrotności. Postępowałem tak, bo zmuszała do tego nieszczęsna sytuacja wewnętrzna naszego państwa. Mówiłem, co mówiłem, jedynie z przywiązania do państwa i rodziny. W moim rozumieniu był to dowód nie tchórzostwa, lecz odwagi! Trzeba patrzeć na te sprawy po ludzku. Gdyby ktokolwiek z was znalazł się w podobnym położeniu, cóż by innego uczynił? Można by, oczywiście, nazwać mój czyn podłością, gdybym miał do wyboru albo umrzeć z godnością, albo ocalić się za cenę hańby. Zresztą nie wątpię, że i tak wielu by wolało życie od najpiękniejszej śmierci. Ale przecież w moim wypadku rzecz wyglądała całkiem inaczej. Cóż by bowiem oznaczało moje milczenie? Zginąłbym nędznie, choć w niczym nie zawiniłem. Na śmierć wysłałbym także ojca, szwagra, kuzynów, krewnych. Bo tylko ja byłbym sprawcą ich śmierci, gdybym nie wyjawiał, że to inni są winowajcami! Dioklejdes przez swoje kłamstwo wepchnął ich wszystkich do więzienia, a nie było żadnej innej możliwości ich ocalenia poza tą jedną: powiedzieć władzom, jak to naprawdę było. Czyli gdybym nie powtórzył, co słyszałem od Eufiletosa, stałbym się właściwie mordercą – swoim własnym i moich najbliższych! Natomiast przez złożenie zeznań przynosiłem ratunek sobie, ojcu, krewnym, a całe miasto uwalniałem od najgorszej biedy i różnych nieszczęść. Owszem, ci czterej, których nazwiska podałem, musieli uciekać za granicę. Natomiast inni, których również wskazałem, zostali już wymienieni przez Teukrosa.

Wszystko to rozważyłem i doszedłem wreszcie do wniosku, że najmniejszym nieszczęściem będzie uczciwie przedstawić prawdę i wykazać, że Dioklejdes kłamie. Bo i to było ważne, żeby zemścić się na człowieku, który nas zgubił, państwo oszukał, a przy tym wszystkim jeszcze został uznany za dobroczyńcę ludu i uzyskał nagrodę!

Stanałem więc przed radą i złożyłem zeznania.

## **ZEZNANIA ANDOKIDESA – KŁAMSTWO CZY PRAWDA?**

Myśl poddał nam Eufiletos. Było to w czasie jakiejś pijatyki. Ja od razu się sprzeciwiłem. Wówczas więc tej zbrodni nie dokonano, i to właśnie dzięki mnie. Ale zdarzyło się nieco później, że w Kynosargos dosiadłem mego konia, co go wtedy miałem. Spadłem, złamałem sobie obojczyk i poraniłem głowę, na noszach zaniecono mnie do domu. Kiedy Eufiletos dowiedział się o tym, natychmiast powiedział do reszty naszych:

„Przekonałem Andokidesa, żeby jednak zrobił to razem z nami. Zgodził się i weźmie udział we wszystkim. Zobowiązał się, że sam obłucze posąg Hermesa, który stoi koło jego domu i kaplicy Forbasa!”

Było to, oczywiście, kłamstwo. Dlatego właśnie ten posąg Hermesa, jedyny spośród wszystkich w mieście, pozostał nietknięty; może to sprawdzić naocznie każdy z was. Tamci bowiem myśleli, że to ja go uszkodzę. A kiedy rankiem zauważyli, że stało się inaczej, padł na nich strach. Dokonali przecież owej nocy zbrodniczej profanacji, a przekonali się, że ja, wtajemniczony we wszystko, udziału w tym nie brałem. Byli przerażeni, że nie jestem związany z nimi współdziałem. Dlatego też zaraz następnego dnia przyszli do mnie dwaj spośród nich, Eufiletos i Meletos. Powiedzieli:

„Już się stało, zrobiliśmy to. Ty, jeśli będziesz siedział spokojnie i milczał, pozostaniesz nadal naszym przyjacielem. A jeśli nie, to uważaj: więcej stracisz na naszej nieprzyjaźni, niż zyskasz na życzliwości tych, których łaski chciałbyś zdobyć przez złożenie na nas donosu!”

Odpowiedziałem: „Jestem wstrząśnięty tą profanacją. Odtąd będę uważał Eufiletosa za zwykłego łotra. Ale możecie być spokojni. Ja na pewno nie zdradzę nikomu, co wiem o tej sprawie. Natomiast wy sami powinniście się lękać swojego bezbożnego czynu.”

Taka była treść moich zeznań. Wydałem też komisji śledczej mojego niewolnika. Miał on potwierdzić na torturach, że istotnie byłem wtedy chory na skutek upadku z konia, więc w ogóle nie wstawałem z łóżka i żadnej hermy obłuc nie mogłem. Prytanowie nie poprzestali na tym. Wzięli także na tortury służbę z domów, z których wychodzili spiskowcy, żeby znieважаć hermy. A więc i rada, i komisja śledcza przekonały się, że było dokładnie tak, jak zeznałem. Rzecz badana ze wszystkich stron okazała się pewna i zgodna. Wezwano wtedy Dioklejdesa. Przyparty dowodami, od razu przyznał się do kłamstwa. Prosił o łaskę i wskazał dwóch ludzi, którzy rzekomo namówili go do złożenia fałszywego donosu. Tamci jednak od razu uciekli za granicę. Rada bezzwłocznie przekazała Dioklejdesa trybunałowi sądowemu, który skazał go na śmierć. Wyrok wykonano. Uwolniono natomiast z więzienia tych wszystkich, których poprzednio wtrącono tam na podstawie jego zeznań. Stało się to tylko dzięki mnie! Tak samo dzięki mnie można było odwołać stan pogotowia i wycofać oddziały zbrojnych, które stały na rynku, w Tezejon, w porcie.

Nieszczęsny mój los słusznie powinien by budzić powszechne współczucie. Natomiast przebieg wydarzeń pokazał, że zasługuję też na podziw, jako człowiek wielkiej szlachetności. Bo kiedy Eufiletos zaproponował, żebyśmy związali się tą zdradliwą rękojmnią wzajemnej wierności, ja nie tylko sprzeciwiłem się, lecz jeszcze go złajałem, jak na to zasługiwał. Kiedy zaś tamci mimo wszystko popełnili przestępstwo, ja, jako dobry przyjaciel, kryłem je wspólnie z nimi. Na skutek donosu Teukrosa niektórzy z nich śmierć ponieśli, inni zaś uciekli. Stało się to, nim jeszcze Dioklejdes wtrącił nas do więzienia i zgubę nam zgotował. Wówczas to dopiero podałem nazwiska czterech ludzi. Ci rzeczywiście skutkiem mojego zeznania musieli zbiec



za granicę. Temu nie przeczę. Ocalałem jednak w ten sposób ojca, szwagra, kilkunastu krewnych. A wszyscy oni musieliby zginąć najniewinniej! Mnie to zawdzięczają, że cieszą się dziś blaskiem słońca, sami chętnie to przyznają. Ten natomiast człowiek, który wstrząsnął całym państwem i naraził je na wielkie niebezpieczeństwo, został zdemaskowany. Wy wszyscy wreszcie mogliście odetchnąć. Pozbyliście się zmory strachu i wzajemnych podejrzeń.

Ci z was, panowie sędziowie, którzy lepiej znają tę sprawę, niech pouczą resztę trybunału. Ja zaś poproszę na świadków tych ludzi, którzy dzięki mnie odzyskali wolność!

\*

Tyle Andokides. Wygłaszał on mowę obrończą, należy więc z góry założyć i usprawiedliwić, że pewne sprawy przemilczał, inne zaś przedstawił w świetle dla siebie jak najkorzystniejszym. Nie mógł jednak zniekształcić w swej relacji zasadniczego biegu wydarzeń, nawet gdyby miał po temu powody. Musiał bowiem pilnie baczyć, aby nie wzbudzić wśród słuchaczy podejrzenia, że mija się z prawdą. Nawet po piętnastu latach historia tamtych dramatycznych dni była wciąż jeszcze żywa i bliska. Sędziowie zasiadający w trybunale znali ją dobrze, toteż Andokides wciąż odwołuje się do ich pamięci. Także sama liczba świadków, wciąż powoływanych przez mówcę, każe dobrze mniemać o wiarygodności jego wywodów. Wreszcie – byli oskarżyciele Andokidesa. Ci ponad wszelką wątpliwość podchwyciliby i wyolbrzymili każdą jego pomyłkę czy też kłamstwo.

O jednym tylko należy pamiętać: oto, dla wywarcia większego efektu, a także i dla jasności, Andokides grupuje pewne fakty nie chronologicznie, lecz rzeczowo. Osobno więc omawia wszystkie cztery donosy w sprawie parodiowania misteriów. Potem dopiero przedstawia, co o znieważeniu herm zeznał Dioklejdes i jakie pociągnęło to skutki. Tymczasem, jeśli dokładnie uporządkować dane zawarte w mowie oraz świadectwa postronne, nasuwa się wniosek, że rzeczywista kolejność wypadków musiała być inna.

Najpierw był donos Antymacha, potem zaś Teukrosa; ten był właściwie podwójny, bo dotyczył zarówno parodiowania misteriów, jak i uszkodzenia herm. Wkrótce potem, kiedy już całe miasto było wzburzone, zgłosił się do władz Dioklejdes i opowiedział o swojej rzekomej przygodzie owej księżycowej nocy, gdy szedł do Laurion; to spowodowało uwięzienie Andokidesa, jego krewnych i znajomych. Nakłoniony przez towarzyszków niedoli, Andokides przedstawił, co mu było wiadome o spisku Eufiletosa. Wówczas sprawę znieważenia herm uznano za ostatecznie wyjaśnioną i załatwioną. Nadal natomiast dochodzono, czy nie było wypadków parodiowania misteriów. Wtedy to dopiero złożyli swoje donosy: Agarysta, żona Alkmeonida, oraz Lidos, niewolnik Fereklesa. W tym ostatnim donosie wymieniony też był Leogoras, ojciec Andoladesa; na tej podstawie został on pozwany przed sąd przez Speuzypa, członka rady. Andokides zdołał jednak namówić ojca, by pozostał w mieście i ze swej strony wytoczył Speuzypowi sprawę o łamanie praworządności.

Wszystkie te wypadki następowały po sobie bardzo szybko, i to w ciągu zaledwie kilku tygodni.

Jednakże sprawa układu mowy i chronologii wydarzeń w gruncie rzeczy nie jest tak ważna, jak pytanie zasadnicze: Czy Andokides złożył zeznania prawdziwe? Czy nie skłamał, by uratować życie swoje i bliskich?

Bo jeśli nawet przyjąć, jak chce Andokides, że to Eufiletos i jego przyjaciele poobtłukiwali hermy, nieuchronnie rodzą się pewne wątpliwości. Mówca, ze względów zrozumiałych, stara się przekonać słuchaczy, że od początku i stanowczo był on przeciwny samemu zamiarowi bezbożnego czynu. Wywodzi, że jedyną jego winą było po prostu zaniedbanie: nie doniósł władzom natychmiast, że wie, kto znieważył posągi. Ale – zaznacza Andokides – nawet to zaniedbanie świadczy pięknie o jego charakterze; nie zdradził sprawców występku, który po-

tepił, bo kępowały go szlachetne więzy przyjaźni. Na dowód swej niewinności wskazuje, że właśnie herma przy jego domu, prawie jedyna w mieście, nie została uszkodzona. To prawda, o tym wiedziano w Atenach od początku. Ale przecież mogło być tak:

Andokides zobowiązał się, że obtłucze jedną z herm – tak samo, jak wszyscy przyjaciele Eufiletosa. Wyznaczono mu tę, która stała w pobliżu jego domu. Jednakże stało się coś nieprzewidzianego: Andokides spadł z konia w dniu poprzedzającym noc wyznaczoną; leżał unieruchomiony w łóżku, herma zaś ocalała.

Trudno dziś snuć jakiegokolwiek domysłu nie tylko co do tego szczegółu, lecz w ogóle co do prawdziwości całej relacji Andokidesa o spisku Eufiletosa; żeby ratować siebie, mógł zmyślić i resztę, przede wszystkim nazwiska winnych. To było niesprawdzalne, wskazani bowiem przez Andokidesa ludzie albo nie żyli, albo już byli za granicą, albo – jak owych czterech – uciekli natychmiast po donosie.

W każdym razie nie wszyscy w Atenach byli przekonani, że Andokides powiedział prawdę. Wielu uważało, że mimo tylu donosów sprawa herm i misteriów daleka jest od wyjaśnienia. Wstrzymał się od wydania sądu również Tukidydes, który rzeczywiście bezstronnie pragnął dociec, jak to naprawdę było. Tukidydes nie przebywał wówczas w Atenach, lecz na wygnaniu, w jednym z nadbrzeżnych miast Tracji. Jednakże dzięki licznym powiązaniom z wybitnymi osobistościami w swej ojczyźnie (przed wygnaniem sprawował wysoki urząd), a także dzięki skrzętnemu zbieraniu wszelkich informacji i materiałów, właśnie on mógł uchodzić za doskonale zorientowanego. Sąd Tukidydesa o tym, co działo się w Atenach latem roku 415, można streścić następująco:

Wyprawa wypłynęła na Sycylię, w mieście zaś prowadzono dalej dochodzenia w sprawie znieważenia herm i parodiowania misteriów. Wiarogodności zeznań składanych przez donosicieli nie badano; właśnie podejrzliwość nakazywała Ateńczykom przyjmować wszystkie oskarżenia. Dawano więc wiarę ludziom podłym, a więziono i skazywano uczciwych obywateli. Uważano, że sprawę trzeba wyświecić i zbadać do końca za wszelką cenę. Ateńczycy bowiem żyli w trwodze przed tyranją. Z pokolenia w pokolenie przekazywano w tym mieście opowieść, jak straszne były rządy tyrańca Pizystrata i jego synów, obalone przed wiekiem. Grozę tyranii obecnie rozdmuchiwno umyślnie. Wszędzie więc wietrzono spiski i przygotowania do zamachu na władzę ludową. Miasto żyło w stanie ustawicznego napięcia i niepokoju. Uwięziono już wielu najgodniejszych obywateli, a terror bynajmniej nie zelżał. Przeciwnie, z dnia na dzień posuwano się w zaciekłości coraz dalej, coraz więcej ludzi zapępiało lochy.

Wówczas to jeden z uwięzionych, który zresztą wydawał się najbardziej obciążony, dał się przekonać komuś z towarzyszy niedoli i złożył zeznania. Nie wiadomo, czy były one prawdziwe, czy fałszywe, powiadają i tak, i tak – nikt zaś, ani wtedy, ani później, nie potrafił stwierdzić z całą pewnością, jacy to ludzie dopuścili się znieważenia herm. Ów współwięzień przekonywał go tymi słowy:

– Trzeba, żebyś się przyznał, nawet jeśliś naprawdę tego nie zrobił. W ten sposób i sam się uratujesz, bo państwo zapewnia donosicielowi bezkarność i całe miasto uwolnisz wreszcie od zmory wzajemnych podejrzeń. Przyznać się i zyskać bezpieczeństwo, to pewniejsza droga ratunku, niż uparcie przeczyć wszystkiemu, a potem odpowiadać przed sądem!

Otóż człowiek, którego tak przekonywano, istotnie złożył zeznania w sprawie herm. Oskarżył siebie i jeszcze inne osoby. Lud ateński przyjął z ulgą to – jak sądzono – ostateczne wyjaśnienie sprawy. Poprzednio bowiem najbardziej to go dręczyło, że nie zna ludzi spiskujących przeciw jego władzy. Toteż natychmiast uwolniono donosiciela i wszystkich jego współwięźniów, których on nie wskazał jako winnych. Innych natomiast osądzono. Ci, których miano w rękę, ponieśli śmierć. Tych natomiast, co uciekli, skazano zaocznie. Obwieszczono też, że każdy, kto zabije któregoś ze skazanych, otrzyma nagrodę.

Trudno powiedzieć, czy owi ludzie ponieśli karę zasłużenie. Pewne jest natomiast, że ogólna sytuacja wewnętrzna bardzo się dzięki temu donosowi poprawiła.

Tyle Tukidydes. Nie podaje on nazwiska Andokidesa, ale dla czytelnika ateńskiego było jasne, o kogo chodzi. Z relacji historyka wynika przy tym, że denuncjacja pociągnęła z sobą śmierć i ucieczkę wielu osób, nie była więc tak nieszkodliwa, jak to usiłował przedstawić sam Andokides.

\*

Wszystko, co działo się wtedy w Atenach, chciałoby się uznać po prostu za szaleństwo, za przejaw zbiorowej psychozy, za rodzaj obłędu. Dzisiejszy Europejczyk wychowany jest w tradycyjnym podziwieniu i szacunku dla demokracji ateńskiej, która dawała obywatelom całkowitą swobodę słowa i dzięki temu stała się kolebką naszej kultury. Toteż trudno nie przecierać oczu ze zdumienia, gdy czyta się o owych donosach i wyrokach śmierci w kontekście jakiejś nieprawdopodobnej farsy. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że stoimy przed zupełnie dziwną, niepojętą zagadką.

Bo jakżeż to? Dorośli ludzie nocami obtlukują posągi na ulicach, a w domach zabawiają się parodiując święte misteria. Dzieje się to w mieście, które istotnie było wtedy najświetniejszym w Helladzie ośrodkiem życia artystycznego i umysłowego! Władze i ludność traktują te błazeństwa jak poważne przestępstwo. Co więcej, uznają je za groźną aferę polityczną. Wtrącają do więzień i skazują na śmierć dziesiątki, a może i setki osób. Zachęcają wszystkich mieszkańców, nawet niewolników, do składania donosów, stwarzając w ten sposób okazję do najplugawszych porachunków osobistych. Spośród ludzi, którzy dostali się wówczas do więzienia lub w porę uciekli za granicę, większość padła ofiarą oskarżeń całkowicie kłamliwych. A rzeczywiście przestępcy, jeśli w ogóle ich schwytano, ponieśli karę niewspółmiernie ciężką w stosunku do wagi czynu.

Tukidydes twierdzi, że obawiano się wtedy zamachu przeciw władzy ludowej. Ale takie wyjaśnienie niewiele tłumaczy. Jeśli to bowiem spiskowcy dopuścili się znieważenia świętości, można by się dziwić: Cóż to za niezwykle sposób obalania ustroju – obtrącać nosy i genitalia przydrożnych posągów, wykpiwać w gronie przyjaciół stare, szacowne ceremonie religijne!

Nikt w Atenach, nawet naiwny prostaczek, nie mógł chyba utrzymywać, że przyszły tyran i jego zwolennicy, czy też oligarchowie, dają znać o sobie pokrzykując:

– Obywatele, miejcie się na baczności! Lada chwila dokonamy zamachu stanu! Jesteśmy silni i gotowi na wszystko, bo obtlukujemy hermy!

Można by więc sądzić, że wszystko to było prowokacją zorganizowaną przez samych demokratów. W obawie, że oligarchowie dokonają przewrotu politycznego, postanowili ich uprzedzić: uszkodzili hermy i jednocześnie rozpuścili pogłoski, że w niektórych domach parodiuje się misteria. W ten sposób wzburzyli pobożne rzesze Ateńczyków i skierowali gniew ludu przeciw swym rywalom.

Takie i tym podobne przypuszczenia łatwo snuć dalej. Ażeby jednak naprawdę odczuć atmosferę tamtych czasów i zyskać jakiś wgląd w mechanizm wypadków, które rozegrały się w Atenach latem roku 415, słuszniej chyba obrać inną drogę, zaczynając od pewnej wypowiedzi Tukidydesa, raz już przytoczonej.

Charakteryzując stosunki w helleńskich państwach czasu wielkiej wojny, Tukidydes mówi:

Pokrewieństwo znaczyło mniej od przynależności do hetajrii. A to dlatego, że hetajria była skłonniejsza do czynów śmiałych i bezwzględnych. Hetajrie powstawały nie po to, by ich członkowie w zgodzie z ustawami mogli sobie nawzajem pomagać, ale po to, by mogli osią-

gać korzyści wbrew prawu! Wzajemne zaufanie pomiędzy uczestnikami hetajrii opierało się nie na prawie boskim, lecz na współuczestnictwie w jakiejś zbrodni.

Ateńskiemu czytelnikowi Tukidydesa nie trzeba było wyjaśniać, czym jest hetajrta. Niejeden bowiem do którejś z nich należał, każdy zaś stykał się z przejawami ich działalności. Dziś natomiast właściwe oddanie tego terminu nie jest łatwe. Pochodzi on od wyrazu *h e t a i r o s*, czyli towarzysz. Najprościej więc byłoby określać hetajrie jako stowarzyszenia. To jednak każe myśleć przede wszystkim o organizacjach handlowych lub zawodowych, i to posiadających osobowość prawną. Takie same skojarzenia nasuwa nazwa „związek” lub „klub”. Tymczasem ateńskie hetajrie były głównie tworam politycznymi. Wynika to bezspornie zarówno ze słów Tukidydesa, jak też z innych źródeł. Niektórzy tłumacze sądzą, że najśluszniej jest mówić w tym wypadku o partiach lub stronnictwach. Jednakże jest to z całą pewnością pojęcie zbyt szerokie. Hetajrie były nielicznymi grupami, które nigdy nie usiłowały jawnie uczestniczyć w życiu publicznym. A co ważniejsze, zazwyczaj nie miały wyraźnych i stałych programów politycznych. Wszystko bowiem sprowadzało się do zapewnienia osobistych korzyści członkom hetajrii, cele zaś i środki postępowania zmieniały się w zależności od sytuacji.

Jaki więc wybrać synonim? W dzisiejszym słownictwie istnieje tylko jeden, może zbyt nowoczesny, ale trafiający w sedno rzeczy: gang polityczny. A więc tajna, niewielka grupa, która dąży do władzy i zysków nie gardząc żadnym sposobem. Członkowie gangu podlegają żelaznej dyscyplinie i są nawzajem zupełnie siebie pewni, bo wiąże ich nie tyle wspólnota poglądów, ile współodpowiedzialność za różne przestępstwa. Hetajria często dokonuje nadużyć i zbrodni tylko po to, by uczestnictwo w nich stało się rękojmią wzajemnej wierności i lojalności.

Jeśli uznać zeznania Andokidesa za prawdziwe, to znieważenie herm przez gang Eufiletosa było właśnie takim przestępstwem dla przestępstwa. Każdy z ludzi, należących do tej hetajrii, otrzymał swoje zadanie; zrozumiałe, że wyłamanie się Andokidesa reszta członków musiała uznać za akt zdrady.

Wiadomo też, z przypadkowej wzmianki w pewnym źródle, jak wypróbował Alkibiades wierność hetajrii, której przewodził. W ciemnej komórce ukrył kukłę, która sprawiała wrażenie zwłok ludzkich. Pokazał ją swoim ludziom i powiedział, że to on jest mordercą, oni zaś mają mu pomóc w ukryciu trupa. Tylko Kallias, szwagier Alkibiadesa, rozpoznał, że to kukła.

Do hetajrii Eufiletosa Alkibiades nie należał. Nie brał też owej nocy udziału w obtłukiwaniu herm i nikt z donosicieli o to go nie oskarżał. Nie wymienił go w swym donosie ani Teukros, ani też potem Andokides. Mimo to sprawa znieważenia posągów, która poprzedziła wyruszenie floty, potem zaś splotła się z rzekomym parodiowaniem misteriów, miała zaważyć na życiu Alkibiadesa w sposób dramatyczny.

## OKRĘT „SALAMINIA”

Rządowy okręt „Salaminia” przybył z Aten pod koniec sierpnia. Zastał flotę i wojsko koło miasta Katana, u wschodnich wybrzeży Sycylii. Minęło już dwa miesiące, odkąd wyprawa opuściła port w Pireusie i ruszyła dalej ku wyspie, ale do tej pory niczego godnego uwagi nie dokonano.

Trudności zaczęły się już pod Region. Mieszkańcy nie wpuścili Ateńczyków w obręb murów i ci musieli obozować opodal, w świętym -okręgu bogini Artemidy. Po pewnym czasie przybyły trzy okręty, które jeszcze z Korkiry wysłano na zwiady ku zachodniemu wierzchołkowi Sycylii, gdzie rozciągały się włości Egesty. Okręty przywiozły złą wiadomość; sumy, które Egestanie przyrzekali Ateńczykom, jeśli przyjdą im z pomocą, po prostu nie istnieją! W skarbcu miasta znajduje się wszystkiego zaledwie trzydzieści talentów!

Tymczasem utrzymanie jednego okrętu i jego załogi w ciągu miesiąca musiało kosztować przynajmniej talent – a flota liczyła ponad 130 samych okrętów wojennych!

Wiadomość ta wywołała wśród żołnierzy floty oburzenie i rozczarowanie, poprzednio bowiem opowiadano cuda o bogactwach Egesty. Posłowie ateńscy którzy odwiedzili miasto w początku roku 415, widzieli zarówno w świątyniach i skarbcu państwowym, jak w domach prywatnych wielkie ilości różnych naczyń ze złota i srebra, toteż po powrocie do Aten rozpowiadali, że Egesta bez wysiłku pokryje koszty wyprawy. Ponadto wysłannicy miasta dostarczyli Atenom 60 talentów jako pierwszą ratę udziału Egesty w kosztach wojennych. Wszystko to w znacznym stopniu zaważyło na decyzji zgromadzenia ludowego, by podjąć ryzyko wyprawy na Sycylię. Dopiero teraz okazało się, że Egesta dała już wszystko, na co było ją stać. Owe kosztowne naczynia, które tak oczarowały posłów ateńskich przed kilku miesiącami, albo nie były wcale takie kosztowne, albo po prostu pożyczano je wówczas i przenoszono z miejsca na miejsce.

Te meldunki postawiły pod znakiem zapytania finansowe podstawy wyprawy, a więc w ogóle jej celowość i losy. Trzej strategowie pod Region natychmiast odbyli wielką naradę, w czasie której każdy z nich przedstawił odmienny punkt widzenia.

Nikas mówił:

– Zadaniem naszym jest przede wszystkim pomóc Egeście w jej walce z Selinuntem. Tam więc musimy skierować wszystkie nasze siły. Kiedy będziemy na miejscu, zażądamy od Egesty, żeby wypłaciła naszemu wojsku pieniądze, do czego się zobowiązała. Jeśli zapłaci, zastanowimy się, co robić dalej. Jeśli natomiast pieniędzy nie otrzymamy, to zażądamy przynajmniej dostaw żywności dla sześćdziesięciu okrętów; bo o tyle trójrzędowców Egesta prosiła, tyle więc powinna utrzymywać. Można by wtedy jakiś czas pozostać w tamtych stronach i siłą lub perswazją nakłonić Selinunt do ugody z Egestą. Potem, moim zdaniem, wystarczyłoby tylko przepłynąć obok innych miast nadbrzeżnych. Niechby ich mieszkańcy na własne oczy ujrzeli naszą potęgę! Niechby się przekonali, że w razie potrzeby jesteśmy gotowi udzielić wszelkiej pomocy naszym przyjaciołom i sojusznikom! Potem moglibyśmy spokojnie powrócić do Aten, chyba że nadarzyłaby się jeszcze sposobność wspomoczenia wygnañców z Leontinoj lub pozyskania sobie jakiegoś innego miasta – ale bez wielkiego ryzyka i bez nadmiernych obciążeń dla naszego państwa.

Alkibiades był całkowicie odmiennego zdania. Wywodził on:

– Nie wolno dopuścić do tego, żeby tak wielka armia ze wstydem wracała do ojczyzny, nie osiągnąwszy żadnych celów. Powinniśmy wysłać posłów do wszystkich miast Sycylii, z wyjątkiem Selinuntu i Syrakuz. Powinniśmy też pomyśleć o Sykulach, którzy zamieszkują wną-

trze wyspy. Może jednych zdołamy odciągnąć od Syrakuz, a z innych uczynić nawet naszych przyjaciół. To zapewniłoby nam i dostawy żywności, i pomoc wojskową. Ale przede wszystkim musimy pozyskać sobie Messańczyków! Ich miasto położone jest nad samą cieśniną, u wrót Sycylii. Nasza armia znajdzie tam najdogodniejszy port i punkt oparcia. Dopiero wtedy, kiedy już przeciągniemy miasta Sycylii na naszą stronę – lub gdy się zorientujemy, za kim które z nich się opowiada – będziemy mogli uderzyć na Syrakuzy i Selinunt. Chyba że ten pogodzi się z Egesta, a Syrakuzy pozwolą wygnańcom z Leontinoj osiedlić się tam z powrotem.

Lamachos, jak można było z góry przewidzieć, wystąpił z najbardziej wojowniczą propozycją:

– Należy natychmiast płynąć prosto na Syrakuzy! Musimy jak najszybciej stoczyć bitwę pod murami miasta, póki jeszcze mieszkańcy są nie przygotowani i nie ochłonęli z przerażenia. W pierwszej chwili każda nadciągająca armia wydaje się stronie przeciwnej bardzo groźna. Ale jeśli traci czas, zwleka i nie staje przed oczyma obrońców w całej swej okazałości, ich odwaga krzepnie. Potem jest już za późno; najeżdźca przychodzi i okazuje swoją potęgę, ale tamci patrzą na to spokojniej. Stąd wniosek, że jeśli spadniemy na Syrakuzaczyków niespodziewanie, póki jeszcze są porażeni strachem, najłatwiej ich pokonamy. Przerazi ich wszystko: sam widok naszych wojsk (będzie się wydawało, że nasze siły są ogromne), obawa przed ciosami, które gotuje przyszłość, najbardziej zaś groza toczących się walk. Prawdopodobnie wielu Syrakuzaczyków schwytemy na polach poza murami; pozostaną tam, bo do ostatniej chwili nie będą chcieli uwierzyć, że wróg jest tak blisko. A jeśli nawet wszyscy zdołają zamknąć się w murach, to jako silniejsi będziemy mogli spokojnie ich oblegać; zaopatrzenia nam nie zabraknie. Należy się spodziewać, że w takiej sytuacji inne państwa Sycylii nie będą już pomagać Syrakuzom, lecz raczej przystąpią do nas. Nie będą się z tym ociągać, skoro tylko ujrzą, kto jest górą. Jako port i bazę w operacjach przeciw Syrakuzom radzę obrać Megarę; miasto jest prawie puste, a stamtąd do Syrakuz, zarówno morzem, jak lądem, droga niedaleka.

Narada zakończyła się pozornie zwycięstwem Alkibiadesa, bo ostatecznie Lamachos go poparł, rezygnując ze swojego planu. Wkrótce jednak miało się okazać, że rozwój wypadków potwierdza raczej opinię Lamachosa. Alkibiades udał się do Messany, aby przeciągnąć mieszkańców na stronę Aten, i wrócił z niczym. Messańczycy postąpili tak samo, jak ich sąsiedzi z drugiej strony cieśniny, mieszkańcy Region: nie przyjęli wprawdzie wrogiej postawy, ale nie chcieli wpuścić wojska do miasta. Wobec tego trzeba było szukać innego punktu oparcia. Nikłaś z głównymi siłami pozostał koło Region, Alkibiades zaś i Lamachos wzięli 60 okrętów i popłynęli wzdłuż wybrzeży Sycylii na południe. Zatrzymali się najpierw w mieście Naksos, które – przeciwnie niż tamte – gościnnie wpuściło Ateńczyków. Jednakże ze względu na położenie i mały port Naksos nie nadawało się na bazę wypadową. Płynąc dalej na południe eskadra przybiła do brzegu w pobliżu Katany. Tu jednak u władzy byli stronnicy Syrakuz, więc oczywiście zamknęli przed przybyszami port i bramy murów. Ateńczykom nie pozostało nic innego, jak rozbić obóz dalej na południe, u ujścia rzeki Terias. Stąd było już blisko do Syrakuz. Toteż nazajutrz cała eskadra pod płynęła ku miastu. Przodem wysłano 10 okrętów, pozostałe szły za nimi wyciągnięte w długiej linii. Pierwsze okręty wpłynęły do Wielkiego Portu; Syrakuzy bowiem leżały na półwyspie i port zwany Wielkim jest po prostu południową zatoką. Ateńczycy chcieli przede wszystkim stwierdzić, czy Syrakuzanie nie ściągnęli już na wodę jednostek swojej floty. Zatoka była pusta. Wobec tego okręty ateńskie podpłynęły pod miasto, a heroldowie obwieścili z pokładów wielkim głosem:

– Przybywamy tutaj, aby osadzić wygnańców z Leontinoj w ich mieście, bośmy ich sprzymierzeńcy i pobratymcy! Słuchajcie nas, ludzie z Leontinoj, ilu was jest tutaj! Możecie zaufać nam całkowicie! Macie w nas przyjaciół i dobroczyńców!

W Syrakuzach było rzeczywiście sporo dawnych mieszkańców Leontinój. Nawoływania heroldów miały wzbudzić nieufność do wygnańców i skłócić miasto wewnątrz. Potem flota zbadała dokładnie okolice, nadbrzeża i porty Syrakuz, szukając miejsca, skąd najłatwiej byłoby uderzyć. Po spełnieniu tego zadania eskadra odplynęła z powrotem do Katany. Nie zaczepił jej nikt. Ateńczycy byli z pewnością dumni z demonstracji swej siły, w rzeczywistości jednak całkowicie wypaczyli pierwotną myśl Lamachosa. Zamiast od razu porazić Syrakuzan ogromem swej potęgi, pokazali im tylko z daleka sześćdziesiąt okrętów, czyli dali mieszkańcom miasta możliwość stopniowego oswojenia się z grozą wojny.

Niespodziewanie natomiast udało się odnieść znaczny sukces w samej Katanie. Odbyło się tam zgromadzenie ludowe, na które zaproszono obu ateńskich strategów, by przedstawili swoje żądania. Właśnie w czasie przemówienia Alkibiadesa ateńscy żołnierze podkradli się pod mury i wyłamali jakąś małą furtkę. Nie zauważeni przez nikogo weszli do miasta i spokojnie pojawili się na rynku – zresztą, jak się wydaje, tylko w celu dokonania zakupów. Jednakże na Katańczyków padł popłoch. Przerażeni byli przede wszystkim stronnicy Syrakuz, których co prawda było niewiele. Ci natychmiast uciekli z miasta, pozostała zaś ludność od razu uchwaliła zawarcie sojuszu z Atenami. Wezwała też całą flotę ateńską, by spod Region przeniosła swoje stanowiska pod Katanę, która odtąd miała się stać główną bazą wyprawy.

Wkrótce potem strategowie otrzymali dwie ważne wiadomości. Pierwsza przysłała z Kamaryny. Było to miasteczko u południowych wybrzeży Sycylii. Jego mieszkańcy rzekomo zgłaszali gotowość opowiedzenia się po stronie Ateńczyków, jeśli tylko przyślą oni swe wojska w tamte okolice. Wiadomość druga dotyczyła Syrakuz; podobno obsadzano tam wojenne okręty załogami, a więc sposobiono się do bitwy morskiej.

Wkrótce z Katany wyruszyła eskadra floty pod wodzą Alkibiadesa. Ateńczycy przekonali się najpierw, że w syrakuzzańskim porcie panuje całkowity spokój. Następnie popłynęli aż pod Kamarynę. Tu jednak nie wpuszczono ich ani do miasta, ani do portu.

Było to przykre rozczarowanie. Kamaryńczycy powiadomili heroldów, że według dawnego układu mogą przyjmować w swym porcie tylko po jednym okręcie ateńskim – chyba że sami poproszą o pomoc wojskową, czego dotychczas, wbrew pogłoskom, nie uczynili. Tak więc eskadra musiała zawrócić. Kiedy znowu znalazła się w pobliżu Syrakuz, wysadziła na ląd lekkozbrojnych. Mieli oni złupić okolice i zaraz potem znowu wsiąść na okręty. Na rozproszonych żołnierzach spadli jednak niespodziewanie jeźdźcy syrakuzzańscy i zadali im duże straty.

Kiedy po tej nieudanej wyprawie eskadra wpłynęła do portu Katany, czekał tam już przybyły wprost z Aten okręt „Salaminia”.

\*

Dowódca „Salaminii” przywiózł rozkaz rady i zgromadzenia ludowego: Alkibiades oraz żołnierze zamieszani w sprawę znieważenia herm i parodiowania misterii mają natychmiast powrócić do Aten i stanąć przed sądem.

Wszystkim wezwanym pozostawiono całkowitą swobodę ruchu, choć w samych Atenach obchodzono się z podejrzanymi mniej wyrozumiale; zwykle wtrącano ich od razu do więzienia. Powód tej wspaniałomyślności był oczywisty. Lękano się oddawać stratega pod straż policyjną w obozie, gdzie przynajmniej część żołnierzy była mu całkowicie wierna.

Jak jednak doszło do tego, że zgromadzenie postanowiło odwołać Alkibiadesa? I to wtedy, gdy wielkie działania wojenne miały się dopiero rozpocząć? Co naprawdę kryło się za rozkazem powrotu i stawienia się przed sądem? Czy chodziło o wznowienie dochodzenia w sprawach już znanych, czy też zaszły w Atenach jakieś nowe wypadki, o których słuch nie dotarł jeszcze na Sycylię?

Alkibiades oraz jego towarzysze mieli czas i sposoby, by wywiedzieć się o wszystko. Choć bowiem dowódca „Salaminii” najprawdopodobniej zachowywał milczenie, to pieniądze na pewno rozwiązały języki prostym wioślarzom. Wydawało się, że wiadomości uzyskane tą czy też inną drogą nie zaniepokoiły zbytnio Alkibiadesa. Przyjął rozkaz powrotu bez oporu, tak samo jak i reszta wezwanych. Wszyscy oni wsiedli na prywatny okręt Alkibiadesa, który od-tąd wiernie towarzyszył „Salaminii”. Oba okręty wyruszyły z Katany; najpierw płynęły wzdłuż brzegów Sycylii aż do Messany, potem zaś przecięły cieśninę i posuwały się dalej ku północy, mając wybrzeża Italii po lewej ręce. Tak, po dwóch lub trzech dniach, dotarły do miasta Turioj, które leżało już u wejścia do Zatoki Tarenckiej.

Kiedy jednak następnego dnia sposobiono się do dalszej drogi, na próżno czekano na Alkibiadesa i jego towarzyszy. Załoga „Salaminii” rozpoczęła poszukiwania po całym mieście, ale eskortowani przepadli bez wieści. Wreszcie, wobec bezowocności dalszych poszukiwań, „Salaminia” odpłynęła do Aten.



## WIELKI SPISEK

Alkibiadesa odwołano z Sycylii na podstawie oskarżenia, że dopuścił się on przestępstwa zagrażającego bezpieczeństwu państwa. Formalnie wniósł takie oskarżenie, eisangelie, Tessalos, syn Kimona. Głosiło ono w pierwszych słowach:

„Alkibiades, syn Klejniasa, z gminy Skambonidaj, znieważył boginie Demeter i Korę, naśladował bowiem ich misteria i pokazywał je w swoim domu towarzyszom. Przywdział strój, w jakim występuje kapłan odprawiający obrzędy. Siebie samego nazwał kapłanem, Pulitiona – Niosącym Żagiew, Teodora z Fegaj – heroldem, pozostałych – mistami i widzami”.

Natychmiast po przyjęciu przez zgromadzenie ludowe tego oskarżenia wyprawiono na Sycylię okręt państwowy „Salaminie”, który jednak, jak wiemy, powrócił bez pozwanego. Tak więc w ciągu dwóch miesięcy wszystko się zmieniło. Bo przecież już przed odpłynięciem floty z Pireusu niewolnik Antymach złożył zeznania przeciw Alkibiadesowi:

– Parodia misteriów odbyła się w domu Pulitiona. Dopuszcili się jej osobiście Alkibiades i jeszcze dwóch innych, obecnych zaś i patrzących na to było wielu, wśród nich także i niewolnicy, jak ja sam i mój brat!

Wówczas jednak zgromadzenie ludowe, choć potraktowało oskarżenie poważnie i na jego podstawie skazało pewne osoby, Alkibiadesa nie pociągnęło do odpowiedzialności, a nawet poleciło mu wziąć udział w wyprawie. A przecież sam Alkibiades domagał się przeprowadzenia śledztwa! Obecnie, po dwóch miesiącach, zgromadzenie przychyliło się do jego prośby, on jednak wołał uciec...

Nie ma zasadniczej sprzeczności pomiędzy tym, co w swych oskarżeniach twierdzili Antymach i Tessalos. „Było przecież całkiem możliwe, że hetajria Alkibiadesa dokonywała parodii misteriów w różnych domach. Tłumaczyłoby to również zeznania Agarysty, żony Alkmeonida, złożone na krótko przed wystąpieniem Tessalosa:

– W domu Charmidesa koło świątyni Zeusa Olimpijskiego parodiowali misteria: Alkibiades, Aksjochos, Adejmant.

Agarysta pochodziła z rodu Alkmeonidów. Wskazuje na to jej imię; takie samo nosiła matka Peryklesa. Alkmeonida był również mąż Agarysty. Oboje więc należeli do wysokiej arystokracji ateńskiej i oboje byli spokrewnieni z Alkibiadesem. Właśnie to przydawało zeznaniom Agarysty szczególnej wagi.

Jeszcze znakomitszą postacią był ostatni oskarżyciel, Tessalos. Gdyby stosować wśród arystokratów ateńskich jakąś hierarchię, Tessalosa trzeba by nazwać księciem. Jego ojciec Kimon przez wiele lat odgrywał wybitną rolę jako wódz i polityk. Odnosił wiele świetnych zwycięstw nad Persami, a w sprawach wewnętrznych miał niemal takie same wpływy jak Perykles, z którym przez pół życia rywalizował. Ojcem Kimona, a więc dziadem Tessalosa, był Miltiades. Właśnie ów sławny Miltiades, który w roku 490 prowadził Ateńczyków pod Maraton. To prawda, że sam Tessalos niewiele znaczył i niczym się nie zapisał w dziejach Aten. Mimo to nimb świetności rodu dawał oskarżeniu, które złożył, ciężar ogromny. To nie był już donos niewolnika ani kobiece opowiadanie. Obecnie rzucał Alkibiadesowi wyzwanie przedstawiciel najczcigodniejszych, najstarszych rodzin ateńskich.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Tessalos wystąpił przeciw Alkibiadesowi po prostu dlatego, że już od kilku pokoleń jego ród toczył walkę z klanem Alkmeonidów, do którego Alkibiades należał przez swoją matkę. Owszem, ten moment na pewno decydował o wrogim nastawieniu Tessalosa do młodego stratega, ale na pewno też sam przez się nie natchnąłby go odwagą do wysunięcia oskarżenia o takim znaczeniu politycznym. Tessalos działał z poduszczenia i przy

poparciu pewnych wpływowych kół. Uznały one, że jego nazwisko doda oskarżeniu powagi i wiarygodności. Rzeczywiście, początek tej „eisangelii” brzmiał dostojnie:

„Tessalos, syn Kimona, z gminy Lakiaj, wnosi oskarżenie...”

Skoro zaś tuż przedtem oskarżyła Alkibiadesa kobieta z jego rodziny, wniosek może być tylko jeden; cała arystokracja Aten sprzysięgła się wówczas przeciw Alkibiadesowi. I trudno się temu dziwić. Alkibiades prowadził przecież bez przerwy politykę, której ta warstwa była z gruntu wroga. Chodziło zwłaszcza o sprawy zagraniczne. Alkibiades od lat dążył do wznowienia wojny z Lacedemonem, ostatnio zaś chciał ją rozszerzyć na kraje Zachodu. Był też rzecznikiem twardej polityki wobec słabszych, co wystąpiło w całej jaskrawości, gdy niedawno ujarzmiono Melos. W tym wypadku Alkibiades okazał się spadkobiercą idei Kleona, który uchodził przecież za demagoga nienawidzącego arystokracji. Nie inne były poczynania Alkibiadesa w Argos, gdzie wciąż dopomagał on demokratom w ich walce z rządem oligarchicznym.

Jednakże nienawiść ateńskich arystokratów sama przez się na pewno by jeszcze nie doprowadziła Alkibiadesa do zguby. Groźne było to, że miał wielu wrogów w stronnictwie, do którego sam rzekomo należał.

\*

Radykalnemu skrzydłu demokratów przewodzili wówczas Pejsandros i Androkles. Ich cele i metody polityczne nie różniły się chyba od Alkibiadesowych: wszyscy trzej szermowali demagogicznymi hasłami. Alkibiades górował jednak nad tamtymi świetnością rodu i pokrewieństwem z wielkim Peryklosem. Wszystko wskazywało, że to jemu przypadnie wkrótce przywództwo nad całym stronnictwem, a więc i przemożne wpływy w państwie. Alkibiades był już bardzo popularny, a w razie powodzenia sycylijskiej wyprawy, która była głównie jego dziełem, zyskałby wręcz sławę. Nikt, komu zależało na znaczeniu politycznym, nie miał odwagi wprost sprzeciwić się projektowi owej wyprawy, bo miraż panowania nad Zachodem zawładnął od razu sercami i wyobraźnią ludzi. Dlatego to Pejsandros i Androkles ani przez moment nie atakowali wielkiego planu, przeciwnie, gorąco go popierali. Pozwolili flocie odpłynąć, i to właśnie z Alkibiadesem jako strategiem. Jednocześnie zaś rozwinęli w Atenach wielką akcję donosów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że owe denuncjacje i zeznania, niby to składane z własnej inicjatywy bogobojnych mieszkańców miasta, w istocie były organizowane i dyrygowane. Rozpoczęto je jakby nieśmiało, wysuwając najpierw niewolnika Antymacha, później zaś metojka Teukrosa. Potem jednak, kiedy akcja rozwijała się pomyślnie i całe miasto dygotało już w historycznym podnieceniu, rzucono na szalę piękne nazwiska osób, których nikt by nie podejrzewał o związek z demokratami. Była więc Agarysta z rodu Alkmeonidów. Był Lidos – niewolnik, ale działający, co sam wyraźnie oświadczył, z polecenia wielkich panów, jak się wydaje, krewnych Alkibiadesa. Był wreszcie :oskarżyciel ostatni, najdostojniejszy – Tessalos, potomek Miltiadesa.

Główni wrogowie Alkibiadesa ze stronnictwa demokratycznego nigdy nie występowali wprost i osobiście. To nie oni nakłaniali do składania donosów i nie oni ; też przemawiali w czasie posiedzeń rady i na zgromadzeniach. Działali z ukrycia. Oczywiście, przywódcy skrajnych demokratów chcieli się rozprawić nie tylko z Alkibiadesem. Celem ich ataków byli również niektórzy arystokraci. Wplątując Alkibiadesa w ich rzekome bezbożne poczynania zyskiwali i to, że całe jego pozorne oddanie dla sprawy ludu objawiało się jako fałsz i oszustwo.

Można by jednak zapytać, czemu to oszczędzono Nikiasa, obok Alkibiadesa najwybitniejszą wówczas postać w życiu politycznym Aten. Czemu jego nazwisko nie zostało wymienione w żadnym donosie? Odpowiedź nie wydaje się zbyt trudna. Przede wszystkim Nikias nie

był zbyt groźny dla demagogów, ponieważ nigdy nie pretendował do przewodzenia skrajnym demokratom. Przeciwnie, zawsze sympatyzował z siłami umiarkowanymi. Po drugie zaś nikt by w Atenach nie uwierzył, że Nikias dopuścił się świętokradztwa. Był to bowiem człowiek nie tylko poważny i ostrożny, lecz i szeroko znany ze swojej wręcz zabobonnej nabożności. Co dzień składał ofiary bogom i stale miał przy sobie wróżbitę. Okazywał budującą hojność dla świątyni. Ponadto Nikias – równie starannie jak przed złymi mocami – starał się zabezpieczyć przed donosicielami. Wszyscy w Atenach wiedzieli, że nigdy nie bierze udziału w ucztach i przyjęciach, nie wdaje się prywatnie w rozmowy o polityce, nie przyjmuje gości i od rana do późnej nocy pracuje w budynku rządowym. Tak więc przeciw samemu Nikiasowi trudno byłoby sfabrykować wiarogodne oskarżenie. Ale i jego nie oszczędzono. W zeznaniach Teukrosa wymieniony został Diognetos, brat Nikiasa. Był on członkiem komisji prowadzącej śledztwo w sprawie parodiowania misterii; utworzono ją zaraz po zeznaniach Antymacha. Diognetos uratował się w ostatniej chwili ucieczką.

\*

W przeciwieństwie do Nikiasa Alkibiades przez całe życie robił wszystko, żeby dawać żer najdziwniejszym o sobie plotkom i pogłoskom. Ciekawym zbiegiem okoliczności właśnie wiosną roku 415, a więc zaledwie na kilka miesięcy przed wyprawą sycylijską, wystawiono w Atenach komedię Eupolis pod tytułem „Baptai”, czyli „Ponurzeńcy”. Treścią komedii była parodia obrządków bogini Kotyto, jednym zaś z głównych bohaterów – Alkibiades. Kult owej bogini przyszedł do Hellady z Tracji. Jest wielce prawdopodobne, że Alkibiades bezpośrednio zetknął się z tą cudzoziemską religią, i to już jako chłopiec; niewolnik, którego miał wówczas za „pedagoga”, był z pochodzenia właśnie Trakiem. Kto chciał należeć do kręgu czcicieli bogini, musiał przyjąć rodzaj chrztu.; Polegał on na zanurzaniu nowego wyznawcy w wodzie. Może zresztą był to tylko symboliczny obrzęd oczyszczający? Same nabożeństwa nie były wolne od elementów orgiastycznych. Przy dźwiękach głośniejszej rytmicznej muzyki wykonywano tańce, które robiły wrażenie wyuzdanych. Wszystko to zostało wydrwione w komedii Eupolis. Choć treść jej nie jest dokładnie znana, to jednak wiadomo z całą pewnością, że w którejś ze scen utworu Alkibiades i jego przyjaciele poddawali się obrządkowi „ponurzania”; stąd tytuł sztuki. Obraz końcowy był niezbyt obyczajny: Alkibiades i jego towarzysze, przebrani za kobiety, tańczyli wokół fletnistki, która odgrywała rolę bogini. A trzeba pamiętać, że fletnistki zarabiały nie tylko muzykowaniem.

Kult Kotyto był w Atenach czymś nowym i barbarzyńskim. Spośród wszystkich miast Hellady najwięcej wyznawców miał w Koryncie, serdecznie nienawidzonym przez Ateńczyków. Toteż nikt nie miał za złe Eupolisowi, że kpi sobie z trackich obrządków. Przeciwnie, pogarda dla obcych bogów i bogiń mogła uchodzić za przejaw pobożności, za dowód przywiązania do rodzimych tradycji. Natomiast znamienity był fakt, że Eupolis wpadł na pomysł pokazania jako czciciela Kotyto, który zanurza się w wodzie i lubieżnie tańczy w takt tympanonów i fletów, właśnie Alkibiadesa; wówczas, wiosną roku 415, był on wybrany na stratega wielkiej wyprawy.

Opowiadano później, że Alkibiades wziął pomstę na autorze komedii. Eupolis został ponoć powołany do służby w wojsku, które wyruszyło na Sycylię. W czasie żeglugi Alkibiades zrzucił poetę z okrętu wołając:

– Ty pławisz mnie na scenie, to ja zanurzę cię w morzu! A gorzka to woda!

Jest to oczywiście anegdota późna i nieprawdziwa, bo Eupolis – wiadomo o tym skądinąd – żył i działał jeszcze co najmniej kilka lat potem. A w ogóle jest bardzo wątpliwe, czy brał on udział w wyprawie sycylijskiej. Wolno natomiast przypuścić, że Alkibiades utopiłby Eupolis bez wahania, gdyby mógł przewidzieć, jak zgubne będą skutki komedii. Bo wszyscy,

którzy oglądali „Ponurzeńców” w Atenach, nabrali – niejasnego może – przekonania, że Alkibiades byłby zdolny do parodiowania świętych obrzędów. Toteż kiedy później jego wrogowie szukali materiału do oskarżeń chwytnych i niesprawdzalnych, znaleźli dobry punkt zaczepienia. Jako przedmiot parodii podali oczywiście nie nabożeństwa ku czci Kotyto, lecz misteria eleuzyńskie, najświętsze dla Ateńczyków; były one bramą, przez którą boginie Demeter i Kora prowadziły wtajemniczonych ku żywotowi wiecznemu. Oskarżenie znalazło wiarę również dlatego, że obyczaj hetajrii wiązania się wspólnym przestępstwem był w Atenach powszechnie znany. Błuznierstwo zaś uchodziło w mniemaniu ludu za zbrodnię potworną, która rozpętuje gniew niebios przeciw całej społeczności. Gdyby jednak nie znieważenie herm, na pewno nikomu na myśl by nie przyszło wytaczać sprawę rzekomego parodiowania obrzędów. Ono to wprawiło ludność Aten w stan podniecenia i niepokoju, ono kazało wszędzie wietrzyć bezbożne spiski. Dwa przypadkowe i niezależne od siebie fakty: komedia Eupolisa i uszkodzenie herm przez ludzi Eufiletosa, stworzyły warunki, w których rozwinięcie akcji skierowanej już bezpośrednio przeciw Alkibiadesowi stało się możliwe.

Wiemy bowiem, że sam Alkibiades nic wspólnego ze sprawą herm nie miał. Nikt go też o to nie oskarżał. Nikt by przecież nie uwierzył, że wódz wielkiej wyprawy, tuż przed wyruszeniem na teatr działań wojennych, chodzi nocą po mieście i obtłukuje posągi łatwo było przewidzieć, że wywoła to wzburzenie ludności i może udaremnić wszystko, z czym on, strateg, wiąże swoje najsmielsze nadzieje! Czyn hetajrii Eufiletosa był przestępstwem popełnionym właśnie przeciw Alkibiadesowi. Mówiliśmy, że Eufiletos zaproponował swym towarzyszom, by wspólnie uszkodzili hermy i w ten sposób związali się winą i odpowiedzialnością. Jest jednak prawdopodobne, że Eufiletos rzucając tę myśl miał na oku cel dalszy i donioślejszy; może istotnie chciał, w ostatniej niemal chwili, powstrzymać wyprawę sycylijską? On sam, jak i chyba wszyscy członkowie jego hetajrii, należał do warstwy ludzi bardzo zamożnych. Wielka wojna była dla nich tylko ciężarem, groźbą, ryzykiem. Musieli łożyć ogromne sumy na zbrojenia w ramach świadczeń liturgicznych. Mieli rzucić swoje piękne domy i wygodne życie, mieli iść jako żołnierze gdzieś w odległe krainy... Co w zamian dawała im wojna, nawet gdyby zakończyła się zwycięstwem? Udział w zdobyczy? I bez tego byli majątni. Tylko nędzarzy mogła nęcić ta wyprawa mirażem skarbów, jak innych zwodziła nadzieją przygód i kariery. Rzeczowe argumenty ludzi roztropnych, jak Nikias, pozostawały bez echa. Był jeden tylko sposób, aby odsunąć, a może i całkiem udaremnić wyprawę.

\*

Myśl Eufiletosa była chyba zdrowa. Chciano tanim kosztem, bo tylko przez odłamanie Hermesowych nosów i fallosów, odeprzeć widmo wielkiej wojny. Przywódca hetajrii zdawał sobie sprawę z naiwności ateńskiego ludu, z jego zabobonnej trwogi przed wszelkimi przepowiedniami i rzekomo wieszczymi znakami. Wiedział, że uszkodzenie posągów wszyscy uznają za zły omen. Z drugiej strony ryzyko wykrycia sprawców było niewielkie. Zawsze bowiem można było rozpuścić pogłoski, że posągi znieważyli wysłannicy obcego państwa, które nie chce dopuścić do wyprawy. Szczególnie łatwo byłoby zrzucić winę na ludzi z Koryntu, miasta, które – wrogię Atenom – było macierzą Syrakuz, głównego celu wojennych zamierzeń.

Eufiletos mógłby bronić swego stanowiska posługując się argumentacją znaną zarówno w starożytności, jak dzisiaj:

– Państwo, którego jestem obywatelem, ma ambicje mocarstwowe. Dlatego każe mi biegać po wertepach w garnku na głowie i pokrzykiwać ochoczo, póki taki sam pajac z przeciwnej strony, zwany wrogiem, nie wrazi mi żelaza w serce. A jeśli ja nie chcę być mocarstwowy? A jeśli ja wolę żyć sobie wesoło, popijać wino i obłapiać dziewczęta, to co? To źle, to hańba?

Niby dlaczego? Moje państwo obiecuje mi, jeśli zginę, piękną kwatere na cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylońską. A jeśli ja wolę nie ginąć, tylko dożyć późnej starości w gronie dzieci, wnuków, prawnuków? To niby wstyd? Moje państwo chce się pysznić potężnymi murami, wspaniałością budowli, pomnikami wodzów i polityków. Wobec tego wciąż zwala na mnie nowe ciężary. A jeśli ja wolę pracować na swój domek z ogródkiem, bo mdłości mnie biorą na widok wszystkiego, co monumentalne i pomnikowe, to co? Czy to jest egoizm?

Innymi słowy, lecz w istocie rzeczy to samo, mówił Arystofanes, rzecznik warstw średnio zamożnych. W komedii „Pokój”, wystawionej w roku 421, wprowadził na scenę chór ateńskich chłopów, który marzy o błogosławieństwie sielskiego życia, gdy ustanie zgiełk wojenny:

– Jak się cieszę, jak bardzo się cieszę! Precz hełm odrzucam, ser i cebulę! Bo nie lubię wojaczki, lubię za to przy ogniu dobre wino popijać z druhami. Biorę drwa najsuchsze z tych pniaków, com je wykarczował jeszcze latem, prażę na węglach bób i żołądzie i – dziewczynę całuję, póki żona w łaźni. Cóż może być miłszego? Jest już po siewach, bóg zsyła deszczyk z nieba, a tu któryś z sąsiadów powiada:

– Komarchidzie, co będziesz dziś robił?

– Chętnie bym popił trochę, bo bóg dogadza nam pięknie! Przypiecz nam, kobieto, ze trzy miarki fasoli, a przemieszaj je z ziarnem! I fig trochę wybierz. A Syra niech przywoła Manesa z pola. Nie sposób dziś ani winorośli obcinać, ani ziemi wzruszać, błoto straszne.

– A ode mnie z domu niech no ktoś przyniesie kwiczoła i dwie zięby. Jest tam też mleka trochę i ze cztery kawałki zająca. Chyba że kot je porwał z wieczora. Bo słyszałem tam jakieś hałasy i stuki. Chłopcze, z tych kawałków trzy przynieś nam tutaj, a jeden daj ojcu. I poproś Ajschinada o gałązki mirtu, tylko razem z owocami. Za jedną drogą przywołaj też Charyndasa. Niechże popije sobie z nami, kiedy bóg tak łaskaw naszym polom.

– Cieszę się także, kiedy świerszcz gra pieśń swoją słodką. Oglądam lemnijską winorośl, czy już dojrzewa, bo wczesna to odmiana. A kiedy widzę, że młoda figa pęcznieje, zajadam ją i pokrzykuję: O miła poro roku!

Takie były marzenia. Bo przecież do szczęścia, zwykłego szczęścia człowieczego, nie potrzebna jest ani mocarstwowość kraju, ani nawet zbytnie bogactwo. Więc czyn hetajrii Eufiletosa, jeśli podjęty był dla obrony takich marzeń, trzeba by nazwać bardzo zbożnym.

\*

Wielki spisek przeciw Alkibiadesowi rodził się z wrogości ku niemu zarówno arystokracji, jak i skrajnych demokratów. Owa wrogość wobec tej samej osoby doprowadziła do chwilowego sojuszu obu stronnictw, którego ostatecznym wyrazem było oskarżenie złożone przez Tessalosa. Wielkiemu spiskowi sprzyjały ponadto wydarzenia przypadkowe, ale bardzo gwałtownie podchwytywane przez ludzi tak bezwzględnych i pomysłowych, jak Androkles i Pejsandros.

Dwa fakty dowodzą najlepiej, jaką to bronią walczone z Alkibiadesem. Wspominaliśmy już, że zaraz po donosie Dioklejdesa przysłyły wiadomości o wojskach beockich nad granicą. Gruchnęły też pogłoski, że oddziały lacedemońskie maszerują z Peloponezu do Beocji. To wszystko wywołało taki popłoch, że – jak poświadczą Andokides – uzbrojeni mieszkańcy Aten całą noc przebywali na straży w różnych punktach miasta. Spodziewano się bowiem, że jednocześnie dojdzie do zamachu stanu w mieście i do szturmuna nieprzyjaciół z zewnątrz. Dopiero zeznania Andokidesa przyniosły pewne uspokojenie. Nadal jednak utrzymywało się przekonanie, że ruchy wojsk nieprzyjacielskich nie były przypadkowe, lecz uzgodnione z wrogami ustroju w samych Atenach. Wnet też, co już było całkowitą niedorzecznością, poja-

wiły się wieści, że to właśnie Alkibiades kierował ową wielką, wspólną akcją przeciw państwu i demokracji.

Równie absurdalna, a bardziej ponura była druga sprawa, która wynikła z podejrzliwości wobec Alkibiadesa. Oto w Atenach zrodziło się mniemanie, że obecnemu rządowi w Argos nie można ufać, bo doszedł on do władzy dzięki Alkibiadesowi! Był to jednak rząd demokratyczny. Jakżeż więc go usuwać? I jaki inny miałby go zastąpić? Postanowiono zapewnić sobie całkowitą lojalność władz w Argos przez zmuszenie ich do popełnienia wspólnej zbrodni. Pomysł ten zaczerpnięty został chyba z praktyk hetajrii. Przed rokiem Alkibiades usunął z Argos trzystu ludzi, których podejrzewano o niechęć do nowego rządu; zostali oni osadzeni na różnych wyspach jako zakładnicy. Tych trzystu ludzi odesłano obecnie do Argos, gdzie na wszystkich wydano i wykonano wyrok śmierci.

## WYROK

Uciekając z okrętu w Turioj Alkibiades sam wydał wyrok na siebie. Według ateńskich zasad i pojęć, każdy pozwany, który odmawiał stawienia się przed sądem, tym samym przyznawał się do zarzucanego mu czynu. Jest zupełnie zrozumiałe, że znając sytuację i nastroje w Atenach Alkibiades nie mógł ufać bezstronności sądu; przeciwnie, był całkowicie pewny, że będzie to rzeczywista parodia rozprawy nad rzekomą parodią misteriów. Toteż miał podobno powiedzieć do kogoś w Turioj:

– W tym wypadku nigdy bym nie zawierzył mego życia sędziom, nawet gdyby wśród nich zasiadała moja matka. Bo i ona mogłaby wrzucić do urny czarny kamyczek zamiast białego – choćby przez pomyłkę!

Kiedy „Salaminia” powróciła do Aten bez Alkibiadesa i jego towarzyszy, wszystko potoczyło się szybko i tak, jak pozwany przewidywał. Na podstawie oskarżenia, które uprzednio wniósł Tessalos, wszczęto proces przeciwko Alkibiadesowi oraz innym uczestnikom rzekomego bluźnierstwa. Ze względu na wagę sprawy proces odbywał się nie przed trybunałem, lecz przed zgromadzeniem ludowym i radą; chodziło przecież o bezpieczeństwo całego państwa. Wyrok, którego treść Alkibiades mógł przewidzieć już w Turioj, brzmiał w głównych punktach następująco:

Wszystkich oskarżonych skazuje się na śmierć. Cały ich majątek, ruchomy i nieruchomy, ulega konfiskacie na rzecz państwa. Aby niesława skazanych była wieczna, nazwiska ich wyryje się na tablicy, która stanie na Akropolu. Każdy, kto zabije któregokolwiek ze skazanych, otrzyma nagrodę w wysokości jednego talentu.

Lud uchwalił również, by kapłani i kapłanki wszystkich bogów w Atenach i w Eleuzie uroczyście wykleli Alkibiadesa i jego towarzyszy. Odmówiła wykonania tej uchwały tylko kapłanka Teano. Miała ona powiedzieć:

– Jestem kapłanką błogosławieństw, nie przekleństw.

Tak więc Alkibiades, pozbawiony majątku, czci, obywatelstwa, wyklety, wyjęty spod prawa, ścigany, poniósł w swej ojczyźnie śmierć cywilną.

\*

W tym samym roku, a zapewne i w tych samych miesiącach, ateńskie zgromadzenie ludowe powzięło uchwałę zupełnie podobnej treści skierowaną przeciw człowiekowi, który wprawdzie nie był Ateńczykiem i nie zajmował się polityką, popełnił jednak – w przekonaniu ludu – przestępstwo równie groźne, jak Alkibiades.

Poeta i filozof Diagoras pochodził z wyspy Melos. Urodził się prawdopodobnie około roku 470, należał więc do rówieśników Sokratesa, a od Alkibiadesa starszy był o lat prawie dwadzieścia. Przez długi czas przebywał w Atenach, na prawach chyba metojka. Wsławił się pieśniami na cześć bogów, układanymi dla chórów. Potem, jeszcze przed wybuchem wojny peloponeskiej, ukazał się jego traktat pod dziwnym tytułem „Mowy spadające z wieży”. Wywołał on ogromne oburzenie, uznano bowiem, że Diagoras przeczy tam istnieniu bogów i uwłacza misteriom eleuzyńskim. Wytoczono mu proces, ale skazania Diagoras uniknął, bo przeniósł się z Aten na Peloponez. Niedługo potem rozpoczęły się działania wojenne i rzecz poszła w zapomnienie. Odżyła dopiero w roku 415 – a więc po przeszło piętnastu latach – w związku ze sprawą parodiowania misteriów. Wówczas to zgromadzenie powzięło nową

uchwałę czy może .zaostrzyło dawną: skazano Diagorasa na karę śmierci; za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości jednego talentu, kto by zaś dostawił go do Aten żywego, otrzymać miał dwa talenty; uchwałę polecono wyryć na spiżowej tablicy, a do miast Peloponezu zwrócono się z żądaniem, by bezbożnika wydały. Dlaczego powrócono do sprawy Diagorasa po tak długiej przerwie? Oczywiście, najważniejszym powodem było poruszenie opinii publicznej sprawą herm i misteriów. Przy sposobności przypomniano sobie pisarza, który mógł uchodzić za ideologicznego sprawcę owych bluźnierstw. Ale na pewno swoje znaczenie miał fakt, że ojczyzną Diagorasa była właśnie wyspa Melos. Straszliwy los, jaki Ateńczycy zgotowali jej mieszkańcom zaledwie przed kilku miesiącami, wywołał oburzenie całej Helleny. Zrozumiało więc, że Ateńczycy usiłowali niejako usprawiedliwić tamto ludobójstwo przez napiętnowanie jako ateisty człowieka, który z tej wyspy pochodził.

Wyglądało to na zemstę losu; niemal jednocześnie i prawie w tych samych słowach lud ateński skazał na śmierć i wyjął spod prawa zarówno ateistę z wyspy Melos, jak i młodego wodza, który rzekomo również był bluźniercą, a na pewno przyczynił się do wyniszczenia ludności Melos.

Nim jeszcze powzięto te uchwały, rozgorzał w Atenach spór między donosicielami, któremu z nich należy się nagroda. Prócz właściwych donosicieli zgłosili się również dwaj politycy. Pytonik żądał nagrody, bo pierwszy ostrzegł zgromadzenie, że w mieście odbywają się parodie misteriów, oraz wskazał Anty-macha; było to w dniu, w którym flota gotowała się do wyruszenia, a okręt Lamachosa już stał na kotwicy przed portem. Z żądaniami wystąpił również Androkles; ten jednak, jako polityk roztropny, nie wysuwał wprost swojej osoby. Wniosekował, aby nagrodę rozdzielić pomiędzy członków rady, ona to bowiem w krytycznej chwili uratowała władzę ludową swoją postawą i niezłomnością, ona też stale domagała się przykładnego ukarania wrogów ustroju.

Ponieważ było tylu chętnych, zgromadzenie ludowe przekazało sprawę trybunałowi złożonemu wyłącznie z sędziów wtajemniczonych w misteria eleuzyńskie. Trybunał wysłuchał jeszcze raz wszystkich donosicieli i nagrodę wyższą, w wysokości 10 000 drachm, przyznał niewolnikowi Andromachowi, niższą zaś, drachm 1000 – Teukrosowi. Nagrody wręczono im w czasie świąt panatenajskich, w sierpniu, a więc zanim jeszcze okręt „Salaminia” wyruszył po Alkibiadesa.

A jaka nagroda przypadła człowiekowi, który owej dramatycznej nocy, gdy dziesiątki obywateli wepchnięto do więzienia, postanowił ratować siebie, ojca, krewnych i przyjaciół? Andokides musiał wówczas oskarżyć się przynajmniej o to, że w porę nie doniósł władzom o przestępstwie, choć znał jego sprawców. Wydaje się jednak, że choć w pierwszych zeznaniach Andokides nie przeczył wyraźnie swemu udziałowi w profanacji posągów, później starał się to wycofać i zamazać. Wiemy, że odpowiednia uchwała gwarantowała donosicielowi zupełną bezkarność, nawet jeśli uczestniczył w przestępstwie. Andokides więc mógł być spokojny o swoje życie i majątek. Znalazł się jednak pod pręgierzem opinii publicznej, a to z dwóch powodów; jedni potępiali go jako tchórza i donosiciela, inni na domiar widzieli w nim bluźniercę i bezbożnika.

Na wniosek jednego z wrogów Andokidesa zgromadzenie ludowe powzięło uchwałę zabraniającą udziału w nabożeństwach i w życiu publicznym wszystkim osobom, które popełniły czyn bluźnierczy i do tego się przyznały. Oczywiście, uchwała skierowana była tylko przeciw Andokidesowi, choć go nie wymieniała. Kto bowiem popełnił bluźnierstwo, a sam się do tego nie przyznał, i tak podlegał karze śmierci, tracił cześć i majątek. Wielu winnych i niewinnych ocalała przed gniewem ludu ucieczka z Aten. Jedynie Andokides, choć należał do bezbożnej hetajrii, a potem wydał towarzyszy, pozostał w ojczyźnie, ciesząc się życiem i majątkiem. Nowa uchwała pozornie w niczym nie naruszała przyznanego mu uprzednio przywileju bezkarności, w istocie jednak czyniła go wygnancom we własnym kraju. Nie mógł przekroczyć progu żadnej świątyni. Nie wolno mu było uczestniczyć w żadnych zgromadze-



niach obywatelskich. Nie miał nawet prawa zawierania legalnych transakcji majątkowych. Andokidesowi nie pozostawało więc nic innego, jak rzeczywiście opuścić Ateny. Rozpoczęły się dla niego lata tułaczki, której droga prowadziła przez wiele krajów – od Italii i Sycylii na zachodzie po Cypr na wschodzie. Dwukrotnie powracał do Aten – i za każdym razem musiał stawać przed sądem, broniąc się przed różnymi oskarżeniami, których podłoże było jednak zawsze to samo: zeznania złożone owej nocy w lecie roku 415. On uważał swój czyn za moralnie usprawiedliwiony, może nawet za bohaterski, inni jednak nawet po latach nie stali się wyrozumiali; swoją pogardę i nienawiść okazywali jawnie.

\*

Wiadomość o wyroku nie zastała już Alkibiadesa w Italii, lecz na Peloponezie. Kiedy „Salaminia” odpłynęła z Turioj, wsiadł ze swymi towarzyszami na zwykły okręt handlowy i przepłynął się przez Morze Jońskie. Ryzykował wiele, najgorsze zaś było to, że nie bardzo wiedział, gdzie się zwrócić. Niejedno miasto gotowe było tanim kosztem zaskarżyć sobie względy Ateńczyków, zatrzymując i wydając im człowieka, którego skazali na śmierć i wyklęli.

Okręt Alkibiadesa przybił do zachodnich wybrzeży Peloponezu koło miasteczka Killene. Leżało ono w Elidzie, w kraju gdzie znajdowała się też sławna igrzyskami Olimpia. Zaledwie przed rokiem Alkibiades święcił tam wspaniałe triumfy w czasie olimpiady 91. Teraz przybywał jako wygnanec.

Elida była krainą małą, ubogą, położoną z dala od wielkich ośrodków helleńskiego świata. Tu można by tylko wegetować. Alkibiades zaś bynajmniej nie rezygnował z walki i ambicji. Toteż wkrótce przeniósł się z Killene do Argos. Był to krok dość ryzykowny, bo przecież niedawno Ateńczycy wydali rządowi w Argos owych trzystu zakładników, poprzednio wprowadzonych przez Alkibiadesa. Mimo to wygnanec ufał, że dawne więzy przyjaźni wytrzymają wszelkie próby. Dopiero tutaj, w Argos, dowiedział się o uchwale, która skazywała go „na śmierć i wyjmowała spod prawa.

W tym mieście i w tej sytuacji Alkibiades musiał przypomnieć sobie losy wielkiego polityka ateńskiego sprzed pół wieku. Był nim Temistokles – człowiek, któremu Ateny zawdzięczały świetne zwycięstwo nad perską flotą pod Salaminą w roku 480 oraz budowę portu w Pireusie i murów obronnych. Mimo tak wielkich zasług Temistokles poniósł porażkę w rozgrywkach wewnętrznych i na dziesięć lat musiał opuścić ojczyznę. Osiedził wówczas w Argos. Tutaj dowiedział się, że wrogowie oskarżyli go o zdradę stanu i o knowania z Persami. Obawiając się, że Argiwczyzy zechcą go wydać, Temistokles uciekł. Nie widział dla siebie bezpiecznego miejsca w całej Helladzie. Uznał więc, że jedynym ratunkiem jest udać się do tego państwa, które słusznie mogłoby uważać go za swego śmiertelnego wroga. Po wielu przygodach dotarł do Persji, a król królów otoczył go wielkoduszną opieką.

Również Alkibiades – może za przykładem Temistoklesa – postanowił zwrócić się o pomoc do państwa, przeciw któremu dotychczas zawsze ostro występował. Wyjechał do Lacedemonu.

## ALKIBIADES – ZDRAJCA CZY PATRIOTA?

Natychmiast po przybyciu do Sparty Alkibiades rozwinął ożywioną działalność. Zarówno w rozmowach prywatnych, jak w czasie urzędowych posiedzeń i przyjęć starał się usprawiedliwić swoje dotychczasowe postępowanie oraz pozyskać przychylną opinię władz i wpływowych obywateli. Przede wszystkim przypominał często, że dawniej jego rodzinę wiązała z Lacedemonem tzw. „proksenia”. Było to prawo, a zarazem przywilej obrony interesów tego państwa w Atenach, czyli – używając terminologii nowożytnej – rodzaj honorowego, dziedzicznego konsulatu. Alkibiades mówił prawdę o tej rodowej przyjaźni z Lacedemonem. Poświadczają ją choćby własne jego imię, częste w tej rodzinie: było ono lakońskie, a nie ateńskie. Szczególnie bliskie były stosunki pomiędzy rodziną Alkibiadesa a rodziną jednego z najbardziej wówczas wpływowych polityków w Lacedemonie, Endiosa. Ojciec Endiosa również zwał się Alkibiades.

Jednakże niegdyś proksenia i lakońskie imię nie miały większego znaczenia. Istotniejsze było to, że Alkibiades mógł się powołać na własne zasługi wobec Lacedemonu. Przed kilkunastu laty przez dłuższy czas przebywała w Atenach spora grupa jeńców lacedemońskich. Dostali się oni do niewoli na wysepce Sfakteria, a wszyscy pochodzili ze znakomitych rodów. Alkibiades okazywał im wszelką pomoc, choć wówczas dopiero wchodził w życie polityczne. Co prawda nie na wiele mu się to przydało, właśnie z powodu zbyt młodego wieku. Rząd lacedemoński po prostu nie zwrócił uwagi na jego przyjazną postawę; kiedy w roku 421 przyszło do układów pokojowych, ze strony Aten prowadził je głównie Nikias. Jemu też przypadła cała chwała zawarcia pokoju, Alkibiades zaś, wzgardliwie pominięty, odczuł to bardzo boleśnie. Obecnie jednak wyzyskał tamtą sprawę, aby usprawiedliwić wobec Lacedemończyków swoje późniejsze czyny:

– Uraziliście wówczas moją miłość własną, więc musiałem udowodnić, że mimo młodego wieku posiadam wpływy wśród ateńskiego ludu. Właśnie dlatego doprowadziłem do zawarcia przymierzy z Argos, Mantineją i Elidą, co z kolei wywołało wszczęcie działań zbrojnych. Wszystko to prawda. Prawdą jest także, że skutkiem tego ponieśliście pewne straty. Wówczas może niejeden z was mnie nienawidził. Teraz jednak, jeśli rzetelnie to wszystko rozpatrzy, z pewnością zmieni zdanie.

Znamienne jest dla ówczesnego sposobu myślenia, że tego rodzaju argument poważnie wysuwano i równie poważnie traktowano. Widocznie i Alkibiades, i jego rozmówcy zgodnie sądzili, że wolno narazić całe społeczeństwo na nieszczęścia wojny, byle dać zadośćuczynienie urażonej miłości własnej. Nie inaczej postąpił bohater „Iliady”, Achilles; rozgniewany o to, że król zabrał mu brankę, nie tylko wstrzymał się od udziału w walkach, lecz jeszcze za pośrednictwem matki prosił Zeusa, aby zesłał nieszczęście na całe wojsko; lud ginął, aby rosła cześć księcia.

Przezorny wygnaniec oczywiście nie przypominał sprawy wyspy Melos. Natomiast długo rozwodził się nad przyczynami, dla których związał się w Atenach ze stronnictwem demokratycznym:

Może ktoś z was osądzał mnie surowo, ponieważ nazbyt sprzyjałem ludowi. Niechże wie, że potępił mnie niesłusznie. Ażeby zrozumieć moje stanowisko i postępowanie, należy wziąć pod uwagę pewne podstawowe fakty. Przede wszystkim ród, z którego się wywodzę, był zawsze wrogi tyranii; a całość sił przeciwstawnych tyranii obejmuje się nazwą ludu. Z tego powodu nasz ród, który walczył z tyranami, zawsze cieszył się poparciem mas. Po wtóre w naszym państwie panował ustrój demokratyczny, więc w wielu wypadkach z konieczności

musieliśmy dostosowywać się do jego wymagań. A chociaż poczynania tego ustroju bywają nieodpowiedzialne, zawsze usiłowaliśmy zachowywać stanowisko pośrednie. Byli jednak inni politycy, zarówno w czasach dawniejszych, jak i współcześnie, którzy wiedli pospółstwo na złe drogi. Są to ci sami ludzie, którzy i mnie wypędzili z ojczyzny. My pragnęliśmy dbać o dobro państwa jako całości. Uważaliśmy za swój obowiązek zachować ustrój, dzięki któremu państwo doszło do największej potęgi i cieszyło się pełnią swobód. Zresztą był to ustrój odziedziczony po przodkach. O tym bowiem, jaka jest prawdziwa wartość władzy ludowej, mieliśmy zdanie wyrobione; myślę przede wszystkim o ludziach rozumnych, a o sobie nie na ostatnim miejscu. Mógłbym ostro skrytykować ten ustrój, bo też srogo mnie skrzywdził. Jednakże o tym, co i tak powszechnie uznaje się za szaleństwo, nie da się powiedzieć nic nowego.

\*

W czasie jednego z posiedzeń rządu lacedemońskiego wprowadzono posłów syrakuząskich i korynckich, a także Alkibiadesa. Posłowie prosili o posłuchanie, pragnęli bowiem nakłonić Lacedemon do udzielenia Syrakuzom rychłej i wydatnej pomocy wojskowej. Ich prośba była w pełni zrozumiała, natomiast mu siało się wydać rzeczą wręcz zdumiewającą, że w tym samym duchu przemówił Alkibiades. Odślonił on przede wszystkim właściwe cele ateńskiej wyprawy na Sycylię – wyprawy, której sam był głównym inicjatorem, a niedawno jeszcze jednym z wodzów. Mówił tak:

– Najpierw zamierzaliśmy zawładnąć Sycylią, potem Italią, następnie posiadłościami Kartaginy, a wreszcie i Kartaginą samą. Później – i to nawet gdyby nie udało się w pełni wykonać owych wielkich zadań – mieliśmy zwrócić wszystkie siły przeciw Peloponezowi. Pod naszymi rozkazami znajdowałyby się wówczas ogromne wojska, złożone zarówno z helleńskich, jak barbarzyńskich mieszkańców Italii, a nawet z Iberyjczyków. Wszystkie te plemiona uchodzą za bardzo dzielne. Nasza flota wojenna zostałaby poważnie rozbudowana dzięki łasom Italii. Owe podbite ludy Zachodu musiałyby nam dać pieniądze oraz dostarczać żywności. Dzięki tym siłom i zasobom łatwo by było zamknąć Peloponez od strony morza. Jednocześnie nasza armia lądowa współdziałając z flotą zdobyłaby niektóre miasta. Tym sposobem, ulegając sile lub blokadzie, cały półwysep dostałby się pod nasze panowanie. Potem zawładnęlibyśmy resztą Hellady.

Tyle Alkibiades. Oczywiście, ludzie dalej patrząca musieli już od początku podejrzewać, że plany ateńskie są bardzo śmiałe. Jednakowoż wyjawienie całej prawdy przez człowieka, który tak niedawno dowodził wyprawą, z pewnością wywarło na słuchaczach wrażenie wręcz wstrząsające. Alkibiades pokazał Lacedemończykom z brutalną szczerością, że na Sycylii ważą się losy nie tylko i nie tyle kilku miast tamtejszych, ale ich samych i w ogóle całej Hellady. Ostrożny, nieruchawy i pozbawiony wyobraźni rząd lacedemoński starał się, jak dotąd, odsuwać od siebie wszelkie tego rodzaju podejrzenia i obawy. Obecnie (jednak nie można już było stosować polityki wyczekiwania i samouspokajania się. Należało podjąć decyzję i włączyć się wszelkimi siłami w bieg wielkich, wydarzeń. Na tym właśnie polegało ogromne, wręcz historyczne znaczenie Alkibiadesowej wypowiedzi.

Alkibiades jednak nie poprzestał na pouczeniach i radach w sprawie Sycylii. Równie usilnie przedkładał Lacedemończykom, że powinni przenieść działania wojenne w poblizze Aten, do samej Attyki. Wskazywał, że taktyka corocznych, krótkotrwałych najazdów, stosowana w pierwszym okresie wojny, nie doprowadziła do niczego. Ilekroć bowiem wojska lacedemońskie wkraczały wówczas do Attyki, ludność po prostu uciekała do Aten, zamykała się w obrębie murów i spokojnie czekała, póki nieprzyjaciół nie odejdzie. Panowanie na morzu zapewniało Ateńczykom stałe – przez Pireus – dostawy żywności z wszystkich podległych im krain,

nawet z wybrzeży Morza Czarnego; mogli więc przeboleć zniszczenie domów wiejskich, zasiewów, winnic i sadów. Głód im nie groził. Natomiast Lacedemończycy, pozbawieni zapasów i odcięci od swoich baz zaopatrzeniowych, musieli wycofywać się z Attyki już po kilkudziesięciu dniach. Tak było przed laty. Obecnie Alkibiades przekonywał rząd Lacedemonu, że w razie wznowienia walk wprost z Atenami – co wydawało się nieuniknione – należy obrać inną taktykę: wojska lacedemońskie muszą zająć i na stałe umocnić się w Dekelei, aby stamtąd bez przerwy nękać całą Attykę.

Pomysł był rzeczywiście świetny. Dekeleja leżała w samym sercu półwyspu, między górami Parnes i Pentelikon, w odległości około dwudziestu kilometrów od Aten. Tamtędy wiodła najkrótsza droga na północ, ku równinie Oropos, skąd znowu najłatwiej było dostać się do Beocji i na Eubeję. Trzymając Dekeleję panowało się również nad całą żyzną doliną Kefizosu. Można było także robić wypadki ku cypłowi półwyspu, gdzie znajdował się wielki okręg górniczy; tamtejsze kopalnie srebra były jednym z głównych źródeł dochodu dla ateńskiego skarbu. Eksploatacja owych kopalń w razie zagrożenia przez Spartan byłaby co najmniej bardzo utrudniona, co przy zwiększonych wydatkach wojennych mogłoby się okazać dotkliwym ciosem. Również uprawa roli w całej Attyce stałaby się niemożliwa.

Obie propozycje Alkibiadesa zostały przez rząd lacedemoński przyjęte, ich słuszność bowiem była oczywista. Zresztą już i przedtem odzywały się w Sparcie głosy, że zajęcie Dekelei na stałe miałyby ogromne znaczenie wojskowe. Jednakże ostrożny rząd i tak zwlekał, nawet po mowach i zachętach ze strony Alkibiadesa. Najpierw, wiosną roku 414, wysłano do Syrakuz tylko małą eskadrę, pięć okrętów pod wodzą energicznego Gylipposa. Dekeleję zajęto w rok później, wiosną 413; dokonał tego, na czele dość znacznych sił, sam król Agis.

\*

– Jestem przekonany, że nikt z was źle mnie nie sądzi. To prawda, że obecnie występuję z wszystkich sił przeciw własnemu państwu i wchodzę w przymierze z jego najgroźniejszymi wrogami – choć przedtem uchodziłem za człowieka, który głęboko kocha swoją ojczyznę. Mam też nadzieję, że w moich wypowiedziach nikt nie dosłucha się owej nieprzejednanej zaciekłości, tak charakterystycznej dla emigrantów politycznych. Owszem, musiałem uciekać. Jeśli jednak uciekłem od podłości tych, którzy mnie wygnali, to jeszcze nie wynika z tego, że obecnie mam się uchylać od okazania wam pomocy! Kocham moją ojczyznę nie wtedy, gdy krzywd od niej doznaję, lecz kiedy mogę w niej żyć jako obywatel nie lękający się o własne bezpieczeństwo. W moim przekonaniu nie działam obecnie na szkodę ojczyzny. Nie, ja staram się zdobyć ojczyznę, której już nie ma! Bo i któż jest prawdziwym patriotą? Chyba nie ten, kto bez własnej winy utracił ojczyznę i znosi to obojętnie, lecz właśnie ten, kto usiłuje odzyskać ją wszelkim sposobem – bo tęskni do niej!

Tak usprawiedliwiał Alkibiades swoje ostatnie poczynania, a więc zarówno przejście na stronę Lacedemonu, jak i owe rady, które miały przynieść Atenom jak najrychlejszą klęskę wojenną. Wzywał też Lacedemończyków, aby ufali mu całkowicie, i to w każdej sprawie, nawet najbardziej ryzykownej. Mówił:

– Jeśli nawet wyrządziłem wam wiele zła poprzednio, to obecnie, jako przyjaciel, mogę być bardzo użyteczny. Znam przecież doskonale sprawy wewnętrzne Aten, teraz zaś i w waszych orientuję się niezgorzej.

Poglądy Alkibiadesa łatwo byłoby uznać za wyraz przewrotności i zakłamania. Zwłaszcza w tej formie, w jakiej przytacza je Tukidydes. Ileż w tych słowach retorycznych chwytów i błyskotliwych paradoksów! Jak choćby ten: uciekłem od podłości, ale nie uchylam się od okazywania wam pomocy. Historyk zapewne dość wiernie przytacza rzeczywiście wypowiedziane myśli Alkibiadesa, bo musiały one spotkać się z żywym zainteresowaniem w całym

świecie helleńskim. Ta wykrętna argumentacja dowodzi, że Alkibiades nie darmo obcował z mistrzami filozoficznych dyskusji, jak choćby z Sokratesem.

Chodziło jednak o rzecz zasadniczą. Alkibiades był całkowicie niewinny. Mimo to wyrok odebrał mu nie tylko prawa obywatelskie, nie tylko dobre imię, ale nawet możliwość rehabilitacji. Zresztą wówczas skrzywdzono tak nie samego Alkibiadesa, obłądana podejrzliwość wtrąciła do więzień setki ludzi, równie jak i on nie ponoszących żadnej odpowiedzialności za cudze występki. Znieważenie herm i rzekome parodiowanie misteriów wyzwoliło w społeczeństwie, a nawet w łonie rządzącego stronnictwa, ciemne siły nienawiści, donosicielstwa, jadowitych intryg. Wszystko to dowodziło, jak bardzo niedoskonały jest system ateńskiego ludowładztwa.

Alkibiades więc uważał, że skoro niezasłużenie zadano mu cios tak bolesny, ma moralne prawo dążyć do obalenia nienawistnych i zgubnych stosunków wszelkim sposobem – nawet za cenę chwilowego sprzymierzenia się z wrogiem swego państwa. Tak – pragnął, by ojczyzna poniosła klęski wojenne; potem bowiem mogłaby odrodzić się uzdrowiona, w nowym kształcie, jak feniks powstający z popiołów. Nie można wątpić, że takie były jego najgłębsze intencje. Na pewno bowiem nie należał do kategorii pospolitych zdrajców. Nie był też – i to trzeba rzec na jego obronę – postacią wyjątkową i odosobnioną. Miał wielu poprzedników i wielu naśladowców. Bo urażona miłość własna i poczucie krzywdy doznanej od państwa nie-raz podsuwały politykom greckim pomysły tak samo desperackie, jak ów Alkibiadesowy.

## SYRAKUZY I DEKELEJA

Co tymczasem działo się na Sycylii?

Zapewne jeszcze we wrześniu roku 415, a więc najwyżej w miesiąc po odwołaniu Alkibiadesa, Ateńczykom udało się zdobyć miasto Hikkarę. Leżało ono u północnych wybrzeży wyspy, niedaleko od Egesty, i było z nią po sąsiedzku skłócone. Obecnie, na skutek obcej ingerencji, Hikkarę przeszła pod władzę Egesty. Ale tylko ziemia i budynki, całą bowiem ludność Ateńczycy wywieźli na swoich okrętach i sprzedali handlarzom, którzy towarzyszyli wyprawie jak sępy. Kasa wojskowa zarobiła na tym sporą sumę stu dwudziestu talentów, co bardzo się przydało na pokrycie najpilniejszych wydatków. Od samej bowiem Egesty, miasta sprzymierzonego, uzyskano zaledwie 30 talentów, i to pomimo osobistych nalegań Nikiasa. Wśród sprzedanych w niewolę mieszkańców Hikkarę była też siedmioletnia dziewczynka imieniem Lais. Później dostała się ona do Koryntu, otrzymała tam odpowiednie wychowanie i przez wiele lat cieszyła się szeroką sławą jako znakomita hetera.

Ale zdobycie małego miasteczka było właściwie jedynym sukcesem uszczuplonego dowództwa wyprawy. Wciąż żądny walki Lamachos i zawsze niezdecydowany Nikias marnowali czas na sporach i wzajem sobie przeszkadzali. Jeśli nawet podejmowali jakąś śmiałą akcję, z reguły nie doprowadzali jej do końca. W ten sposób zmarnowali świetne zwycięstwo, jakie udało się odnieść z końcem listopada pod murami samych Syrakuz. Zamiast umocnić po bitwie swoje pozycje, Ateńczycy zaraz następnego dnia powrócili do obozu w Katanie, i to bez żadnej naglącej potrzeby. Tymczasem przerażeni swoją sytuacją Syrakuzanie wyprawili posłów do Koryntu i Lacedemonu, błagając o pomoc; z nimi właśnie spotkał się Alkibiades w Sparcie i, jak się już rzekło, bardzo skutecznie poparł ich prośby. Sami zaś Syrakuzanie zabrali się gorliwie do pracy nad umacnianiem murów i wejść do portu.

Tymczasem eskadra floty ateńskiej pozęgłowała do Messany. Spodziewano się, że natychmiast dojdzie tam do przewrotu i władzę obejmą zwolennicy sojuszu z Atenami. Istotnie, było ich tam sporo, i swego czasu Alkibiades nawiązał z nimi tajne porozumienie. Jednakże później ten sam Alkibiades, niby to wracając posłusznie do Aten, zdołał w porę ostrzec rząd Messany, że w mieście są zdrajcy; podał też ich nazwiska. Wszyscy oni zostali uwięzieni i zginęli. Toteż obecnie flota ateńska daremnie czekała pod Messaną na przychylną odpowiedź lub na przewrót w mieście. Po trzynastu dniach okręty musiały odpłynąć, zaczął się bowiem okres zimowej niepogody, a brakowało również żywności.

Niepowodzenie pod Messaną było pierwszą wskazówką, jak drogo Ateńczycy będą musieli zapłacić za odwołanie Alkibiadesa z Sycylii.

Kwatery zimowe założono najpierw w mieście Naksos, potem zaś w Katanie. Aby nie tracić czasu w miesiącach zimowych, Ateńczycy usiłowali przeciągnąć na swoją stronę Sykulów; były to rodzime, niehelleńskie plemiona z wnętrza wyspy, od których zresztą otrzymała ona swoją nazwę. Wówczas jednak tylko część Sykulów opowiedziała się po stronie najeźdźców.

Z nastaniem wiosny spustoszone niektóre okolice wyspy oraz pozyskano sobie miasto Kenturipa, leżące nieco w głębi. Tymczasem przybyły posiłki z Aten. Okręty przywiozły jeźdźców, których brak w dotychczasowych operacjach odczuwano dotkliwie, oraz trzysta talentów.

Wtedy dopiero – a było to już pod koniec kwietnia – zdecydowano się uderzyć na same Syrakuzy. Dzięki zdumiewającej opieszałości ich mieszkańców udało się łatwo opanować wielki skalisty płaskowyż Epipolaj. Górował on nad miastem od strony północno-zachodniej i

zamykał główne drogi: same bowiem Syrakuzy, jak była o tym już mowa, leżą na półwyspie. Na południe od Epipolaj, nad zatoką Wielkiego Portu, rozciągały się bagniska u ujścia rzeki Anapos; po zdobyciu płaskowyżu panowało się więc nad wszystkimi dościami do miasta od strony lądu.

Mniej więcej w środku Epipolaj Ateńczycy zbudowali natychmiast wielki, okrągły fort. Miał on służyć jako punkt centralny, zaplecze i ochrona właściwych prac oblężniczych. Zamierzano bowiem poprowadzić przez płaskowyż mur, który by odciął Syrakuzy od połączeń z wyspą. Temu Syrakuzanie nie byli w stanie przeszkodzić; choć liczebnie górowali nad oblegającymi, byli gorzej wyćwiczeni i żałośnie niezdyscyplinowani.

Aby udaremnić plan ateński, Syrakuzanie przystąpili do budowy muru, który miał przeciąć Epipolaj wzdłuż, w kierunku zachodnim. Ateńczycy zniszczyli go z łatwością. Wówczas Syrakuzanie zaczęli wznosić umocnienia – wał i palisadę – które biegnęły nieco na południe od stoków płaskowyżu, poprzez bagniska.

Tutaj doszło do zacieklej, krwawej bitwy. Jej losy ważyły się długo, w pewnym momencie zdawało się nawet, że padnie okrągły fort, gdzie z garstką przybocznych przebywał chory na nerki Nikias; nie doszło do tego tylko dzięki podpaleniu stosów drzewa, przygotowanego do budowy umocnień i machin. Ostatecznie zwyciężyli Ateńczycy, ale zapłacili za to drogo, bo śmiercią Lamachosa. Zginął on z bronią w rękę, osaczony wraz z kilku łucznikami przez oddział nieprzyjacielskiej jazdy. Zwłoki stratega Ateńczycy odzyskali dopiero po bitwie, drogą wymiany za poległych Syrakuzan.

Tak więc Nikias pozostał jedynym wodzem. Ironia losu sprawiła, że spośród trzech strategów pozostał na teatrze działań wojennych właśnie ten, który był od początku przeciwny wyprawie. Początkowo wydawało się, że wbrew przewidywaniom samego Nikiasa, właśnie jemu przypadną laury zwycięzcy. Dotychczasowe sukcesy ateńskie sprawiły, że wiele miast Sycylii zaczęło wyraźnie przechylać się na stronę silniejszych. Posiłki przysły nawet z dalekiej Etrurii. Tamtejsze miasta, od dawna niechętnie Syrakuzom, przysłały pod rozkazy Nikiasa trzy duże okręty. Najważniejsze jednak było to, że i w samych Syrakuzach nikt już chyba nie wierzył w możliwość odparcia najeźdźcy. Panował nastrój przygnębienia i defetyzmu, wszyscy wzajem podejrzewali się o zdradę. Dotychczasowych wodzów złożono z urzędu. Zaczęto też szukać dróg porozumienia z Ateńczykami, rozumując – poniekąd słusznie – że im wcześniej podda się miasto, tym łagodniejsze będą postawione mu warunki. Nieoficjalne rozmowy zaszły już tak daleko, że w Syrakuzach myślano o przedłożeniu tej sprawy zgromadzeniu ludowemu.

Wszystko to sprawiło, że Nikias nie przykładął już tak wielkiej wagi do budowy owych murów, które miały zamknąć Syrakuzy. Kończono tylko mur podwójny, idący z okrągłego fortu na południe, przez płaskowyż i bagniska do wybrzeży Wielkiego Portu. Natomiast mur, który wychodził z fortu na północ, był gotowy tylko w części; na pewnych odcinkach zdołano tam jedynie zgromadzić stopy kamieni.

Tym razem Ateńczycy dali się zaskoczyć. Była pełnia lata, kiedy – zupełnie dla nich niespodziewanie – przez północną krawędź Epipolaj przemaszerował oddział trzech tysięcy zbrojnych pod wodzą Gilipposa. Połączył się na płaskowyżu z wojskiem syrakuzzańskim i spokojnie, w ogóle nie zaczepiany przez Ateńczyków, wkroczył do miasta. A przecież Nikias od dawna już wiedział, że w Lacedemonie namowy Alkibiadesa odniosły skutek i Syrakuzom wysłano pomoc. To prawda, że była ona niemal symboliczna. Ale Gilippos, o czym Nikias również wiedział, rozwinął żywą działalność w Italii i na Sycylii; najwięcej żołnierzy dostarczyła mu Himera, miasto u północnych wybrzeży wyspy.

Odkąd Gilippos znalazł się w Syrakuzach i objął tam naczelne dowództwo, sytuacja zaczęła się szybko zmieniać na niekorzyść Ateńczyków. Trafnie i autorytatywnie przedstawił to sam Nikias w oficjalnym liście, który wystosował do zgromadzenia ludowego w Atenach z początkiem zimy roku 414.

\*

„Pierwsza bitwa z Gilipposem zakończyła się dla nas zwycięstwem. Jednakże następnego dnia musieliśmy cofnąć się za mur, ulegając liczebnej przewadze jego jazdy i oszczepników. Dlatego też przerwaliśmy budowę owych murów, które miały zamknąć miasto. Nie prowadzimy obecnie żadnych działań, nie możemy bowiem wprowadzić do walki większych sił, jako że część naszych hoplitów musi pilnować umocnień. Tymczasem Syrakuzanie zbudowali w poprzek linii, po której miał iść nasz mur, swój mur pojedynczy. To uniemożliwia zamknięcie ich miasta – chyba że udałoby się ów mur zdobyć; to jednak wymagałoby dużej liczby żołnierzy. Wytworzyła się więc taka sytuacja, że my, którzy niby to oblegamy, raczej sami jesteśmy oblegani na lądzie. Z obawy bowiem przed jazdą nieprzyjacielską nie możemy się zbytnio oddalać.

Syrakuzanie wyprawili posłów na Peloponez, aby ściągnąć stamtąd dalszą pomoc wojskową. Gilippos udał się tymczasem na objazd miast Sycylii. Stara się pozyskać jako sojuszników te, które dotychczas zachowywały neutralność, od innych zaś usiłuje otrzymać dodatkowe posiłki, piechotę i okręty. Mam wiadomości, że chcą jednocześnie zaatakować – na lądzie nasz mur, na morzu zaś okręty.

Niech was nie dziwi, że i na morzu nie jesteście bezpieczni. Przedtem nasza flota była w doskonałym stanie i nieprzyjaciel dobrze o tym wie. Okręty nie przepuszczały wody i miały pełną obsadę. Obecnie wszystko przedstawia się inaczej. Okręty wciąż stoją na morzu, więc przeciekają, załogi się wykruszyły. Tymczasem okrętów nie możemy wyciągnąć na brzeg i osuszyć, bo flota nieprzyjacielska, która liczebnie dorównuje naszej albo ją przewyższa, tylko na to czeka, żeby natychmiast uderzyć. Nie ulega wątpliwości, że Syrakuzanie przygotowują się do tego i tylko od nich zależy, kiedy przystąpią do działania. Mogą łatwo suszyć swoje okręty, bo nie trzymają ich, jak my, w stałej gotowości. My zaś musimy operować całą flotą. Bo jeśli choćby na krótko poniechamy czujności, urwie się zaopatrzenie, które zresztą i teraz tylko z trudem sprowadzamy morzem tuż obok miasta.

Postępujące uszczuplenie załóg tłumaczy się tym, że wielu naszych ludzi oddała się w poszukiwaniu drzewa, żywności, wody i ginie z rąk jazdy nieprzyjacielskiej. Zresztą także i służba ucieka, odkąd wyrównały się siły obu stron. Ludzie obcy, których zaciągnęliśmy przemocą, powracają do swych miast. Natomiast cudzoziemcy, których zwabiła nadzieja wysokiego żołdu i którzy sądzili, że idą nie na wojnę, ale na zarobek, teraz, kiedy zobaczyli, że wbrew przypuszczeniom nieprzyjaciel stawia opór na lądzie i morzu – odchodzą; robią to pod jakimkolwiek pozorem, a nawet nie szukając pretekstu. Są też tacy, którzy kupują jeńców z Hikkary, potem zaś wchodzą w zмовę z dowódcami okrętów i dają niewolników na swoje miejsce. Oczywiście, wpływa to niekorzystnie na sprawność floty. Wiadomo bowiem, że z każdej załogi tylko część jest naprawdę wartościowa i tylko niewielu potrafi umiejętnie wiosłować.

Z wszystkiego zaś najgorsze jest to, że wódz nie może zapobiec złu. Istotną bowiem cechą Ateńczyków jest to, że nie znoszą dyscypliny. Załóg w ogóle nie ma skąd uzupełnić, a tymczasem nieprzyjaciel ma stały dopływ nowych sił. Nasi sprzymierzeńcy, miasta Naksos i Katan, nie są w stanie udzielić nam pomocy. Może się zdarzyć, że nieprzyjaciel odniesie jeszcze jakiś sukces. Kraje Italii, skąd sprowadzamy żywność, zorientują się wówczas w sytuacji i przejdą, być może, na stronę przeciwnika. Wtedy nieprzyjaciel odniesie ostateczne zwycięstwo w tej wojnie, i to nawet nie wydając nam bitwy: obleżeni, będziemy musieli się poddać.

Wasi żołnierze i dowódcy wypełnili swój obowiązek i winić ich nie możecie. Teraz powstaje przeciw nam cała Sycylia. Oczekuje się również dalszych wojsk z Peloponezu. Dlatego wy musicie już teraz coś postanowić. Siły, jakimi tu rozporządzamy, nie mogą sprostać



nawet obecnym potrzebom. Albo należy nas odwołać, albo też zorganizować drugą wyprawę: przysłać flotę i wojsko nie mniejsze od poprzednich, a także dużo pieniędzy. Trzeba też pomyśleć o strategu, który by mnie zastąpił, gdyż ja z powodu choroby nerek nie mogę tu dłużej przebywać. Proszę o wyrozumiałość, bo kiedy byłem zdrow, nieraz jako wódz oddałem usługi ateńskiemu ludowi.

Cokolwiek zamierzacie, wykonajcie to zaraz z nastaniem wiosny. Zwlekać nie wolno.”

Nikias spodziewał się, że z Aten przyjdzie rozkaz natychmiastowego powrotu całej wyprawy. Właśnie dlatego zapowiadał w swym piśmie Ateńczykom, że jeśli chcą zwycięstwa, muszą przysłać drugą armię, równie potężną jak pierwsza. Przypuszczał, że perspektywa tak wielkiego, ponownego wysiłku, przede wszystkim zaś ogrom wydatków, przerazi zgromadzenie i spowoduje uchwałę o wycofaniu się z Sycylii.

Jakżeż się mylił! Sprawa Alkibiadesa i terror donosicieli miały ten skutek, że u władzy w Atenach znalazły się najskrajniejsze żywioły demokratyczne. Naczelnym ich hasłem było prowadzenie wojny na wszystkich frontach i wszystkimi siłami, aż do zwycięskiego końca – to jest do podporządkowania sobie całego świata helleńskiego, a potem także innych krain. Nie było więc mowy o odwoływaniu czy to wyprawy, czy choćby samego Nikiasa. Na razie dodano mu do pomocy dwóch oficerów, uchwalono jednak wysłać na Sycylię nową flotę. Jej przygotowanie zajęło sporo czasu, potem zaś, w drodze na Zachody przeprowadziła ona jeszcze pewne dodatkowe operacje wojenne. Toteż wpłynęła do Wielkiego Portu Syrakuz dopiero z końcem lipca 413 roku.

Na czele drugiej wyprawy stali Demostenes i Eurymedont. Liczyła ona ponad 70 okrętów wojennych, na których znajdowało się około pięciu tysięcy hoplitów. Wszystkich marynarzy i żołnierzy było łącznie około dwudziestu tysięcy. Byli to zarówno obywatele ateńscy, jak i ludzie przysłani przez państwa podległe Atenom, a także najemnicy z różnych państw helleńskich i krajów barbarzyńskich.

Przybycie Demostenesa przyjęto jak zbawienie. Jeszcze wiosną Ateńczycy stracili trzy forty na przylądku Plemmirion, strzegącym wejścia do Wielkiego Portu od południa; w fortach tych znajdowały się wielkie magazyny armii i floty. Potem ateńskie okręty zostały zepchnięte w głąb zatoki i szukały schronienia za palisadą sztucznego portu zbudowanego przez Nikiasa. Gdyby Syrakuzanom udało się zamknąć je tam na dłużej, Ateńczycy, pozbawieni możliwości zaopatrywania się drogą morską, musieliby się poddać.

Demostenes natychmiast przystąpił do działania. Był zdania, i słusznie, że należy odzyskać panowanie nad płaskowyżem Epipolaj. Jednakże próba zawładnięcia nim, dokonana pewnej księżycowej nocy w początku sierpnia, zakończyła się całkowitą klęską. Skutkiem zamieszania oddziały ateńskie wycofały się w popłochu, i to w chwili, gdy zwycięstwo zdawało się już pewne. Zginęło około dwóch tysięcy ludzi – jedni z ręki nieprzyjaciela, inni spadając ze skał i urwisk,

Było oczywiste, że nie ma żadnych widoków na zdobycie Syrakuz i że należy jak najrychlej wycofać się spod miasta, by uniknąć dalszych niepotrzebnych strat. Obóz należało przenieść pod Katanę lub Naksos. Demostenes parł do tego usilnie, a tegoż zdania byli inni dowódcy. Jednakże Nikias, który dotychczas proponował, by w ogóle wycofać się z Sycylii, teraz wyraźnie się ociągał. Płynęło to przede wszystkim z właściwego mu niezdecydowania. Po wtóre obawiał się gniewu ateńskiego ludu, po trzecie zaś wiódł spór z Demostenesem o to, kto jest naczelnym wodzem wyprawy. Tak minęło 20 cennych dni. Wśród żołnierzy i wioślarzy szerzyły się choroby, obozowano bowiem w miejscu niezdrowym, na bagnistej równinie nad Wielkim Portem. Tymczasem do Syrakuz znowu przybył Gilippos prowadząc posiłki, które zebrał w różnych miastach Sycylii.

Wreszcie Nikias ustąpił. W tajemnicy rozpoczęto przygotowania do zwinięcia obozu i odpłynięcia spoci Syrakuz. Niespodziewanie, wieczorem dnia 27 sierpnia, nastąpiło całkowite zaćmienie księżyca.

Przerażeni żołnierze widzieli w tym zły znak. Co najmniej równie zaniepokojony był sam Nikias. Wróżbici, których zawsze miał przy sobie, orzekli, że należy odczekać trzy razy po dziewięć dni – cały księżycowy miesiąc!

\*

Wysyłając na Sycylię drugą wyprawę Ateńczycy wykazali odwagę wręcz szaleńczą. Wielu, nie bez podstaw, zapytywało wówczas, czy nie przeceniają oni swoich sił i możliwości. Mianowicie od wczesnej wiosny roku 413 Ateńczycy mieli już wroga we własnym kraju i to dosłownie w zasięgu wzroku.

Lacedemończycy bowiem poszli wreszcie za radą Alkibiadesa. Czekali z tym prawie półtora roku, jednakże pomyślny obrót spraw na Sycylii zachęcił ich do energicznych działań także i w samej Helladzie. Wojska peloponeskie pod wodzą króla Agisa wkroczyły do Attyki w marcu roku 413. Spustoszyły urodzajną równinę, następnie zaś zajęły miasteczko Dekeleja, dobrze widoczne z Aten. Miejscowość tę Lacedemończycy umocnili oraz obsadzili na stałe silną, wciąż zmienianą załogą. Jak słusznie przewidywał Alkibiades, skutki zajęcia Dekelei były dla całej gospodarki Attyki wręcz katastrofalne. Odtąd tylko w najbliższej okolicy Aten można było bezpiecznie uprawiać ziemię, Lacedemończycy bowiem bez przerwy nękali wypadami coraz to inne okręgi półwyspu. Trzeba było wyrznąć prawie całe bydło. Drzewa oliwne zostały wycięte, winnice stratowane. Ludność schroniła się w murach miasta; wobec bliskości nieprzyjaciela musiała dniem i nocą zaciągać uciążliwe straże. Ateńczyków oblegano więc w ich własnym mieście prawie tak samo, jak oni oblegali Syrakuzy na dalekiej Sycylii. Oczywiście, gdyby wojska tam wysłane znajdowały się w Attyce, Lacedemończycy na pewno by się nie odważyli na zajmowanie Dekelei. Żywność sprowadzano do Aten tylko drogą morską, głównie z Eubei, wokół przylądka Sunion. W mieście zamarło normalne życie handlowe, zamknięto większość warsztatów rzemieślniczych. Brakowało zresztą rąk do pracy, stopniowo bowiem uciekło do nieprzyjaciela około dwudziestu tysięcy niewolników. Ceny szły nieustannie w górę i nawet ludzie zamożni, pozbawieni dochodów ze swych majątków, cierpieli niedostatek. Skarb państwa nie mógł sprostać wydatkom, zmniejszyły się bowiem wpływy, a rezerw nie było, jako że ogromne sumy wyłożono na zorganizowanie drugiej wyprawy sycylijskiej.

Jednakże w lecie roku 413 skutki obsadzenia Dekelei jeszcze nie wystąpiły w całej ostrości. Być może wydawało się wówczas Ateńczykom, że zdołają własnymi siłami uporać się z wojskiem króla Agisa. Odprawili więc tysiąc trzystu żołnierzy trackich, którzy mieli wziąć udział w wyprawie Demostenesa, ale przybyli do Aten za późno, kiedy flota już odpłynęła. Wprawdzie lekkobrojni Trakowie doskonale by się nadawali do zwalczania lacedemońskich zagonów, pustoszących Attykę, w Atenach jednak uznano, że ci najemnicy kosztowaliby za dużo; żądali bowiem drachmy dziennie dla każdego żołnierza. Tak więc odesłano Traków z powrotem do ich pomocnej ojczyzny.

Ateński oficer Diejtrefes otrzymał rozkaz odprowadzenia tych barbarzyńskich sojuszników. Rząd polecił też Diejtrefesowi, by po drodze nie pomijał okazji niszczenia ziem nieprzyjaciela. Chodziło, oczywiście, o sprzymierzone z Lacedemonem miasta Beocji, bo w marszu powrotnym można było właśnie o tę krainę zawadzić.

Dzielny oficer dobrze wywiązał się z zadania. Nie zawiódł zaufania ateńskiego ludu. Na czele swoich Traków napadł na małe, spokojne miasteczko Mikalesos w Beocji. Leżało ono daleko od teatru działań wojennych i było zupełnie nie przygotowane do obrony. Trakowie wdarli się w jego mury jak stado zgłodniałych wilków. Wymordowali wszystko, co żyło; nie tylko ludzi, ale i zwierzęta pociągowe. Wyrznęli nawet dzieci w szkole. Wprawdzie na od-

chodzących z łupami Traków napadła jazda tebańska i wielu z nich, chroniąc się w popłochu na okręty, utonęło, większość jednak zdołała się uratować.

Tak więc w ciągu niespełna trzech lat Ateńczycy zniszczyli całkowicie trzy miasta: Melos, Hikkarę, Mikalessos.

## KATASTROFY

Przez cały ten czas, a przynajmniej od początku roku 414, Alkibiades przebywał w Lacedemone. Nie tylko przebywał: stał się Lacedemończykiem. Wprawiał w podziw obywateli tego kraju swym prostym, prawdziwie spartańskim trybem życia. Włosy zgolił do skóry, kąpał się tylko w zimnej wodzie, nosił odzież grubo tkaną, jadał chleb jęczmienny i czarną polewkę. Trudno było uwierzyć, że niedawno jeszcze ten człowiek gorszył nawet rozwiązanych Ateńczyków swoim wygodnictwem i wyuzdanym erotyzmem. Stopniowo więc Alkibiades zdobywał sobie w nowej ojczyźnie pewną popularność, a może i szacunek. Dla jego pozycji najważniejsze było oczywiście to, że rozwój wypadków wojennych potwierdzał słuszność rad, jakich udzielił zaraz po swoim przyjeździe do Sparty.

Niespodziewanie, pod sam koniec września roku 413, przyszła wiadomość o wydarzeniu, które stało się punktem zwrotnym całej wojny, czyli jak to nazywano w dramatach, jej „katastrofą”. Na Alkibiadesie wiadomość ta musiała wywrzeć wrażenie wręcz wstrząsające.

Ateńską armię na Sycylii spotkała całkowita zagłada. Niemal wszyscy jej żołnierze polegli lub dostali się do niewoli.

W tych dwóch krótkich zdaniach zawarta była tragedia kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi. W ciągu niespełna miesiąca, wśród niewypowiedzianych cierpień i upokorzeń, dotarli oni na samo dno klęski.

Zaćmienie księżyca w nocy 27 sierpnia wywołało, jak wspomnieliśmy, ogólną panikę w ateńskim obozie. Syrakuzanie natychmiast się dowiedzieli, że oblegający chcieliby potajemnie odpłynąć spod miasta. Ośmieleni tym, postanowili sami wystąpić zaczepnie. Tak więc z początkiem września doszło w Wielkim Porcie do dwóch bitew morskich, i to w odstępie zaledwie kilkudniowym. Obie zakończyły się klęską Ateńczyków. Wobec tego wodzowie ich uznali, że najbezpieczniej będzie wycofać się spod Syrakuz lądem. Pozostało wprowadzić jeszcze 60 okrętów, ale karność upadła tak dalece, że wioślarze nie chcieli ich obsadzać. Część spalili sami Ateńczycy, część zaś zabrali Syrakuzanie; nikt już nie próbował im w tym przeszkodzić.

Wojsko opuściło obóz na trzeci dzień po ostatniej bitwie; wkrótce miało się okazać, że Syrakuzanie dobrze wyzyskali tę zwłokę. Wymarsz odbywał się w ponurym nastroju przygnębienia. Wszędzie leżały nie pogrzebane zwłoki, z wszystkich namiotów wypełzali chorzy i ranni. Błagali, aby ich nie pozostawiać na lasce wrogów, ostatkiem sił czepiali się krewnych i towarzyszy. Liczebnie owa odstępująca armia przedstawiała się jeszcze okazale, wszystkich bowiem żołnierzy było około czterdziestu tysięcy. Jednakże ta wielka masa ludzi była całkowicie zdemoralizowana. Długa kolumna wlokła się w rosnącym upale, obciążona nie tylko bronią, lecz i żywnością; z braku służby i taborów żołnierze musieli wszystko dźwigać sami. Najsilniejsze zastępy szły na przedzie i z tyłu, bagaże pod osłoną hoplitów niesiono w środku.

Przygnębiał odchodzących nie tylko żałosny widok obozu i nie tylko świadomość klęski. Panowała również niepewność co do przyszłych losów armii; czy zdoła ona przedrzeć się w bezpieczne miejsce? Najszluszniej byłoby maszerować wprost do Katany. Wtedy jednak trzeba by torować sobie drogę przez skały Epipolaj, gdzie stały oddziały syrakuzzańskie. Wobec tego postanowiono zwrócić się najpierw ku górą w głębi półwyspu, gdzie można było liczyć na pomoc ludności miejscowej, i dopiero potem przedostać się do Katany.

Nikias dowodził przednią kolumną. Choć schorowany, nieustannie przechodził wzdłuż szeregów i dodawał żołnierzom otuchy. Mówił:

– Bierzcie przykład ze mnie. Dręczy mnie choroba, sił mam mniej niż ktokolwiek z was. Dotychczas zawsze, tak w sprawach państwowych, jak w życiu prywatnym, dopisywało mi szczęście. Byłem pobożny i uczciwy. A teraz znalazłem się w takim samym niebezpieczeństwie, jak najędzniejszy człowiek. Mimo to nie tracę nadziei. Może wkrótce los okaże się dla nas łaskawszy, bo już zbyt długo szczęści się naszym wrogom. Zbyt pewni siebie wyruszaliśmy na tę wyprawę, więc chyba któryś z zawistnych bogów zesłał na nas te klęski. Ale nasza pycha została już ukarana! Teraz możemy wzbudzać tylko litość. Z drugiej strony nie jesteśmy bezbronni. Spójrzcie, ilu nas razem maszeruje. Nie ma takiego miasta na Sycylii, które by pomieściło tylu ludzi. Pamiętajcie; miejsce, gdzie przyjdzie nam walczyć, będzie naszą ojczyzną, a nasze tarcze murem miasta!

Przy przeprawie przez rzekę Anapos odrzucono Syrakuzan. Potem przez cały dzień posuwano się w górę rzeki, choć jeźdźcy i oszczepnicy bez przerwy nękali kolumnę ze wszystkich stron. Dnia następnego przebyto nieco krótszy odcinek. W trzecim dniu okazało się, że Syrakuzanie zamknęli drogę biegnącą grzbietem wzgórza; przejścia nie zdołano sforsować. Czwartego dnia, przy powtórnej próbie przebicia się, zaskoczyła Ateńczyków gwałtowna burza. Przez cały ten czas wojsko było nadal narażone na ataki jazdy i lekkozbrojnych. Sytuacja stawała się groźna. W obozie było wielu rannych, brakowało żywności. W piątym dniu próbowano otworzyć sobie drogę z innej strony, ale równie bezskutecznie.

Wodzowie ateńscy postanowili wówczas w ogóle zmienić kierunek marszu i zawrócić na południe, ku morzu. Wojsko odeszło nocą, w obozie zaś dla niepoznaki pozostawiono zapalone ogniska. Jednakże w czasie marszu w ciemnościach wybuchła panika. Największe zamieszanie zapanowało w oddziałach straży tylnej, którą dowodził Demostenes, i kolumna ta pozostała daleko za głównym korpusem. W południe otoczył ją pościg syrakuzkański i tegoż dnia wieczorem – był to szósty dzień od wymarszu spod miasta – Demostenes skapitulował. Poddało się około sześciu tysięcy ludzi pod warunkiem, że wydadzą broń i pieniądze (pieniędzy zebrano cztery pełne tarcze), ale zachowają życie. Sam Demostenes nie chciał się poddać. Usiłował w ostatniej chwili popełnić samobójstwo, wyrwano mu jednak miecz z ręki.

Siódmego dnia Syrakuzanie doścignęli Nikiasa. Wódz odrzucił propozycję kapitulacji i postawił warunki: wolny odmarsz całej armii, w zamian za co Ateńczycy pokryją wszystkie koszty wojenne. Warunki te odrzucono. Przez cały dzień ludzie Nikiasa stawiali dzielny opór. Nocą nie udało się im wyrwać niepostrzeżenie, wyszli więc dopiero rankiem, wciąż nękami przez wroga. Zmierzali ku rzece Assinaros. Spodziewali się, że da im ona osłonę przed nieprzyjacielem; byli też bardzo spragnieni. Kiedy więc ujrzeni wodę, rzucili się ku niej hurmem, łamiąc szeregi i porządek, tratując się wzajem i topiąc. Nieprzyjaciel napierał zewsząd. Wielu jednak nie zważając na nic wchodziło do rzeki i piło wodę, choć pełna była mułu i krwi.

Nikias poddał się nie Syrakuzanom, lecz Gilipposowi, prosząc go tylko, by przerwano potworną rzeź jego ludzi.

\*

Jak Alkibiades przyjął wiadomość o nieszczęsnym losie wyprawy? Znajdował się w przdziwnej sytuacji, a więc i jego reakcja, w każdym razie ta skrywana, musiała być złożona. Z jednej strony cała ta wyprawa była w głównej mierze jego dziełem, nikt bowiem wiosną roku 415 nie popierał w Atenach równie gorąco projektu podboju Sycylii. Z drugiej strony właśnie on wydatnie przyczynił się do klęski wojska i floty pod Syrakuzami, a to przez swoje usilne zabiegi u Lacedemończyków, by przyszli temu miastu z pomocą, i przez wyjawienie im właściwych, ostatecznych celów wyprawy. Obecnie więc można było sobie zadać pytanie, czy to sam pomysł zawładnięcia Zachodem był nierealny i z góry skazany na niepowodzenie, czy też przyczyną klęski było odwołanie człowieka najbardziej oddanego sprawie? Pycha z pew-

nością podsuwała Alkibiadesowi tę drugą odpowiedź. Był on jednak zbyt trzeźwym, a nawet zbyt cynicznym politykiem, by nie miały go dręczyć wątpliwości: czy wielka myśl podboju Sycylii nie była od samego początku żalną pomyłką, wynikłą z zupełnej nieznajomości sił i zasobów tamtejszych miast i ludów? Czy o losie wyprawy naprawdę mogłaby zdecydować jednostka?

Alkibiades na pewno nie spodziewał się, że klęska Ateńczyków będzie tak całkowita i druzgocąca. Bo też do ostatnich niemal dni nikt – ani w Helladzie, ani na Sycylii, ani nawet w samych Syrakuzach – nie przypuszczał, że sprawa przyjmie tak katastrofalny obrót! Przecież jeszcze z końcem sierpnia flota ateńska mogła spokojnie wypłynąć z Wielkiego Portu, uwzględniając bezpiecznie wszystkich ludzi i wszelkie zasoby. Mogła – gdyby nie owo fatalne zaćmienie księżyca.

Wiadomość o katastrofie sycylijskiej była zupełnym zaskoczeniem nawet dla rządu ateńskiego, choć był on stale informowany o przebiegu wydarzeń. Dowodzi tego pierwsza reakcja władz i społeczeństwa.

Pod koniec września jakiś cudzoziemiec, który dopiero co wysiadł z okrętu w Pireusie, wstąpił do fryzjera i zgodnie z obyczajem zaczął rozmowę o najnowszych wypadkach politycznych (obyczaj ten przetrwał do czasów, które pamiętają jeszcze i u nas starsi ludzie). Cudzoziemiec wyraził przede wszystkim żal i ubolewanie z powodu żaloby, która okryła Ateny: marnie zginęła cała armia, tak wspaniała i wielka, w niewoli nawet wodzowie... Fryzjer, posłyszawszy to, wypadł jak szalony na ulicę i pobiegł w stronę rynku, krzycząc wielkim głosem, że stało się nieszczęście. Natychmiast zbiegły się tłumy, wszczął się popłoch i krzyki. Komisja prytanów postanowiła zwołać zgromadzenie ludowe. Wprowadzono fryzjera i zaczęto go wypytywać, jaką drogą doszła do niego ta wiadomość. On jednak nie potrafił nikogo wskazać, ponieważ przezorny klient, kiedy spostrzegł, co się dzieje w mieście, uciekł i gdzieś się ukrył. Wzięto więc fryzjera na tortury; zaczęto bowiem podejrzewać, że został przekupiony i działa w interesie wrogów. Już zabierano się do łamania go kołem, kiedy przybyli następni zwiastunowie nieszczęścia. Ale i tak, przez wiele jeszcze dni, nie ogarniano ogromu tego, co stało się na Sycylii. Wciąż się ludzono, że to nieprzyjaciele rozsiewają fałszywe pogłoski i rozdymają do rozmiarów nieszczęścia jakąś niepomysłną potyczkę. Nie dowierzano w pełni nawet relacjom żołnierzy, którzy cudem się uratowali i pojedynczo wracali do ojczyzny. Sądono, że wyolbrzymiają oni klęskę, aby usprawiedliwić własne tchórzostwo. Ta nieufność Ateńczyków i to samookłamywanie się miały przynajmniej tę dobrą stronę, że mogli oni stopniowo oswoić się ze świadomością klęski i równocześnie pomyśleć o sposobach sprostanienia wytworzonej sytuacji.

Pewne więc, że niespodziewana wiadomość musiała wstrząsnąć Alkibiadesem. Któż jednak orzeknie, co przeważało w jego sercu: współczucie dla cierpień tysięcy rodaków, połączone ze świadomością winy, czy raczej dumne zadowolenie, że ci, którzy tak go skrzywdzili, zostali bezlitosnym wyrokiem losu upokorzeni i ukarani?

Bez żalu chyba dowiedział się, że Nikias, tyloletni; jego rywal i przeciwnik, został w Syrakuzach skazany na śmierć i ścięty. To samo spotkało Demostenesa, i Ciała ich obu wyrzucono przed bramy miasta, by każdy przechodzień mógł się sycić triumfem i okazywać im swoją wzgardę. Taki los spotkał doczesne szczątki Nikiasa, jednego z najmajętniejszych i najwplywowszych ludzi w Atenach. Nie mniej okrutnie obeszli się z pamięcią nieszczęsnego wodza jego ziomkowie: wszystkim poległym na Sycylii wystawiono symboliczny grób i tablicę na państwowym cmentarzu zasłużonych za Bramą Dipylońską; na tablicy wyryto nazwiska dowódców, ale ostantacyjnie pominięto Nikiasa, ponieważ zgodził się na bezwarunkową kapitulację i w przeciwieństwie do Demostenesa chciał zachować życie.

Egzekucja wodzów ateńskich odbyła się zresztą wbrew woli Gilipposa, który chętnie zabrałby obu do Lacedemonu; zwłaszcza Nikias, tak zasłużony przy zawarciu pokoju w roku 412, miał w Sparcie wielu przyjaciół. Jednakże w syrakuzzańskim zgromadzeniu ludowym

większość domagała się głowy ateńskich strategów. Podobno szczególnie gorliwie gardłowali za tym właśnie ci Syrakuzanie, którzy poprzednio potajemnie knowali z Nikiasem i gotowi byli zdradą wydać mu miasto. W czasie obrad, kiedy ważyły się losy wodzów i jeńców, przypomniano również zbrodnie ateńskie wobec innych miast i ludów: wymordowanie zamożniejszych obywateli Mityleny, wyrżnięcie wszystkich mężczyzn w Skione i na Melos, sprzedanie do niewoli ich kobiet i dzieci, pojmanie całej ludności Hikkary.

Toteż los jeńców ateńskich był straszny. Około siedmiu tysięcy Syrakuzanie uwięzili w kamieniołomach u stoków Epipolaj. Przebywali tam oni przez wiele miesięcy pod gołym niebem, stłoczeni i pozbawieni najniezbędniejszych rzeczy, jak zwierzęta. Za dnia znosili straszliwy żar słońca i rozpalonych kamieni, w nocy zaś, zwłaszcza jesienią i zimą, cierpieli od przejmującego chłodu i wilgoci. Otrzymywali na dzień po chochli wody i po dwie chochle ziarna. Umierali masowo, trupów jednak nikt nie wynosił, tak samo zresztą jak nie uprzątno odchodów. Żywi i martwi leżeli w ciasnocie, w brudzie i smrodzie. Po siedemdziesięciu dniach Syrakuzanie sprzedali w niewolę tych jeńców, którzy pochodzili z miast należących do Związku Morskiego, większość jednak pozostała nadal w kamieniołomach: byli to obywatele ateńscy oraz ich sprzymierzeńcy z Sycylii i Italii. Wszyscy oni gnili w skalnym więzieniu jeszcze przez osiem miesięcy. Kto przeżył, szedł potem do syrakuzńskiego więzienia lub tą czy inną drogą dostawał się do któregoś z domów jako niewolnik. Jeszcze w czasie odwrotu spod Syrakuz niektórzy żołnierze zdołali przedrzeć się do Katany pojedynczo lub grupami. Potem zbiegli tam również ci, którym udało się wydostać z niewoli. W końcu jedni i drudzy dotarli do Aten. Ale takich było niewielu, garstka zaledwie.

Wśród Ateńczyków zabitych i wziętych do niewoli musiało być wielu znajomych, krewnych i przyjaciół Alkibiadesa. Nic jednak o tym nie wiemy, by; usiłował on komukolwiek pomóc, choć na pewno mógł to uczynić, przynajmniej pośrednio. Pozostał w Lacedemonie i – co więcej – nie poniechał działalności, której celem miała być całkowita klęska Aten.

\*

Po katastrofie sycylijskiej najistotniejsze znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków miała jednak nie postawa Alkibiadesa, lecz państw z Atenami sprzymierzonych. One to bowiem, miasta należące do Związku Morskiego, były prawdziwym fundamentem ateńskiej potęgi.

Dotychczas państwa te utrzymywane były w ryzach siłą i strachem. Zachowywały wierność, wszystkie bowiem miały przed oczyma los mieszkańców Mityleny, Skione, Melos. Pozwoliły wciągnąć się w groźny wir wojny. Dawały Ateńczykom tysiące swojej miedzieży. Dostarczały okrętów wojennych. Posłusznie płaciły coraz to wyższe daniny. Czyniły to wszystko, choć wiedziały, że swoje ewentualne zwycięstwo przywódca Związku wyzyska przede wszystkim dla umocnienia władzy nad nimi. Obecnie jednak, po klęsce, jaką Ateny poniosły na Sycylii, przed wszystkimi poddanymi otworzyła się, zupełnie niespodziewanie, nęcąca perspektywa zrzucenia jarzma. Co więcej, wystąpienie ze Związku wydawało się nakazem rozsądku i racji stanu: Ateny stały na krawędzi przepaści, w którą mogły pociągnąć innych! Oczywiście, żadne państwo nie ośmieliłoby się samodzielnie zerwać z hegemonem. Oglądano się na pomoc i zachętę postronną. Ta mogła przyjść tylko od Lacedemonu. Przeważał zaś pogląd, że nawet gdyby trzeba było przyjąć zwierzchność tego państwa, to w każdym razie nie byłaby ona tak surowa jak dotychczasowa, ateńska.

Późną jesienią roku 413 w głównej kwaterze króla Agisa w Dekelei stawili się kolejno posłowie dwóch wielkich i bogatych wysp: najpierw Eubei, potem Lesbos. Patrząc na Ateny, widoczne stąd daleko na horyzoncie, posłowie oświadczyli królowi, że byliby gotowi odebrać się od Związku, gdyby na ich wyspy przybyły choćby niewielkie oddziały lacedemońskie. Agis wysłuchał ich życzliwie. Siedząc w Dekelei rozwijał działalność żywą i szeroką.

Nie ograniczał się do pustoszenia Attyki. Zdawał sobie sprawę, że o potęgę Aten stanowią nie pola i sady ich kraju, lecz panowanie nad morzem i miastami Związku.

Jako głównodowodzący wojsk w polu, Agis miał według ustaw i zwyczajów lacedemońskich bardzo szerokie kompetencje. Mógł podejmować ważne decyzje strategiczne i polityczne nawet bez porozumiewania się z rządem w Sparcie. Wydał tedy rozkazy dotyczące wyprawy na pobliską Eubeję, której posłowie przybyli pierwsi. Potem rozmyślił się i zamierzał wysłać najpierw eskadrę floty na Lesbos. Miało się to stać wiosną roku 412, Poczyniono już nawet pewne przygotowania, tymczasem jednak w Sparcie zapadły zupełnie inne decyzje. Alkibiades, który umiejętnie wyzyskał spory pomiędzy rządem a królem, odegrał w tej sprawie niemałą rolę.

W Lacedemonie wiele wpływowych osób patrzyło na władcze poczynania Agisa niechętnie, a nawet wręcz podejrzliwie. Uważano za rzecz wysoce niewłaściwą, by o losach wojny decydowała z dala od stolicy wola jednego człowieka. Nadmierne uprawnienia jednostki, zwłaszcza tak energicznej jak Agis, wydawały się groźne dla ustroju. Zresztą ów spór pomiędzy rządem a królami wybuchał w Lacedemonie już nieraz, często też przybierał ostre formy.

W tym czasie wielką rolę w kolegium eforów odgrywał Endios, ów rodzinny przyjaciel i gospodarz Alkibiadesa. Rozwój wypadków sam nasunął im sposoby pokrzyżowania zamiarów Agisa.

Tejże zimy roku 413/12 przybyli do Sparty wysłannicy z różnych krain i od różnych osób, przywożąc propozycje, które mogły całkowicie zmienić bieg wypadków. Oto na teatr wojny, którą dotychczas toczyli pomiędzy sobą tylko Hellenowie, wkraczała nowa siła, największe mocarstwo ówczesnego świata – Persja. Panujący wówczas król Dariusz II również pragnął odnieść jakieś korzyści z załamania się potęgi ateńskiej. Chodziło mu przede wszystkim o odzyskanie miast u wybrzeży Azji Mniejszej, które niegdyś jemu podlegały, ale już od lat kilkudziesięciu należały do Związku Morskiego, pozostawały więc pod władaniem Aten. Król wydał odpowiednie rozkazy swoim satrapom w Azji Mniejszej, ci zaś z kolei szukali kontaktów z Lacedemonem, sami bowiem nie mieli ani wojsk, ani floty mogącej sprostać trudnemu zadaniu wyparcia Ateńczyków z miast nadbrzeżnych. Mieli natomiast pieniądze, którymi mogli opłacić ekspedycję lacedemońską. Kłopot polegał na tym, że w Sparcie zgłosili się jednocześnie wysłannicy dwóch satrapów, z których każdy starał się doprowadzić do porozumienia na własną rękę. Tyssafernesowi, który rezydował w Sardes, podlegały krainy zwane Jonią i Karią; prosił on o przysłanie przede wszystkim wojsk lądowych; zapewniał im żywność oraz wysoki żołd. Sprawę Tyssafernesa popierali również posłowie Chios i Erytrei, które chciały wystąpić ze Związku, a swoją nienawiść do Aten posuwały tak daleko, że gotowe były współdziałać nie tylko z Lacedemonem, lecz nawet z Persami. Spodziewano się widocznie, że król królów będzie panem wyrozumialszym od ateńskiego ludu. Tłumaczyło się to również okolicznością, że na Chios w owym czasie u władzy byli oligarchowie.

Jednakże przeciwko posłom Tyssafernesa i Chiotów gwałtownie występowali ludzie działający w imieniu innego satrapy perskiego, Farnabazesa. Sprawował on rządy nad tymi krainami Azji Mniejszej, które przylegają do cieśnin wiodących ku Morzu Czarnemu. Same cieśniny były jednak całkowicie pod kontrolą Aten, czego Persowie nie mogli ścierpieć. Wysłannicy Farnabazesa przybyli do Sparty zaopatrzeni w pieniądze. Gotowi byli od razu wypłacić 25 talentów, jeśli tylko Lacedemończycy wyprawią okręty wojenne na wody Hellespontu. Wskazywali, że opanowując cieśniny zada się Ateńczykom cios bardzo dotkliwy, bo właśnie tą drogą przewożą oni z miast nad Morzem Czarnym wiele ważnych dla swej gospodarki towarów; zboże, suszone ryby, skóry. Było też oczywiste, że działania w Hellesponcie dałyby się pogodzić z Agisowym planem okazania pomocy wyspie Lesbos, leżącej stosunkowo niedaleko od wejścia do cieśniny.

Narady w Sparcie toczyły się długo i nieraz przeradzały się w spory bardzo gwałtowne. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że od wyboru sojusznika zależą nie tylko dalsze losy wojny i



zasięg działań, lecz także układ sił wewnątrz samego Lacedemonu: czyje wpływy przemogą – króla czy też eforów i rady. Z obawy przed Ateńczykami wszystkie, rokowania i narady otoczone były, oczywiście, całkowitą tajemnicą, co przydawało im jeszcze dramatyczności. Na ostatecznej decyzji zaważyły nie tyle względy strategiczne, ile rozgrywki obu stronnictw. Endios był stanowczo przeciwny wszystkiemu, co by przesunęło działania wojenne ku północy, w pobliże Lesbos, bo w ten sposób poszłoby się na rękę królowi, który zaangażował swój autorytet przyrzekając Lesbijczykom przysłanie wojska i floty. Z Endiosesem współdziałał, rzecz prosta, jego przyjaciel i gość, Alkibiades, a zdanie tego wygnańca znaczyło wówczas wiele, bo na Sycylii i w Attyce okazało się, że radzi mądrze. Ostatecznie postanowiono więc udzielić najpierw pomocy Chiotom i Tyssafernesowi; miała to być zarazem nauczka dla króla Agisa, by wiedział na przyszłość, kto naprawdę rządzi Lacedemonem!

Niedługo potem, jeszcze zimą, dotknął Spartę kataklizm dość częsty w krajach Hellady: trzęsienie ziemi. Było ono, jak się wydaje, dość lekkie, w każdym razie większych szkód nie spowodowało. Mimo to wielu i tak uważało, że jest to zły znak dla przygotowywanej wyprawy. Lecz więcej chyba mówiono w mieście o niesłychanym skandalu, który wydał się właśnie skutkiem kataklizmu: oto, gdy ziemia zadrżała, z domu króla Agisa (który od tyłu już miesiące przebywał w Dekelei), z pokojów jego żony Timai, jakby schwytyany na gorącym uczynku, wybiegł przerażony mężczyzna. Był nim Alkibiades.

Wojna przenosiła się w nowe rejony, na wschód. A jednocześnie, skutkiem romansu z Timają, rozpoczął się nowy łańcuch niezwyklej spraw i przygód Alkibiadesa.

## UWAGI O ŹRÓDŁACH I OPRACOWANIACH

Książka ta, choć nie opatrzona przypisami, zbudowana jest jednak wyłącznie z materiału źródłowego, to znaczy z danych zawartych w dziełach pisarzy starożytnych. Autorowie ci byli wymieniani wielokrotnie w toku opowieści, przypomnijmy jednak raz jeszcze ich nazwiska i dzieła:

Tukidydes: *Wojna peloponeska*; Andokides; mowa O *misteriach* Pseudo-Andokides: pamflet przeciw Alkibiadesowi; Ksenofont: *Wspomnienia o Sokratesie*; Platon: Dialogi, zwłaszcza *Uczta*, *Protagoras*, *Gorgias*; Arystofanes: Komедie; fragmenty innych komediopisarzy tego okresu, zwłaszcza Eupolisa; Plutarch (który opierał się na wielu wcześniejszych pisarzach): Żywoty Alkibiadesa, Nikiasa, Peryklesa.

Należy jednak pamiętać, że teksty źródłowe przytaczane są w tej książce nie w formie filologicznie wiernego przekładu, lecz swobodnej parafrazy. Każdy bowiem przekład tekstów antycznych wymaga z reguły dodatkowych objaśnień, często obarczony jest dziwactwami stylistycznymi i sztuczną archaizacją, a idealnej zgodności z oryginałem i tak nie osiąga.

Jest rzeczą wiadomą, że źródła starożytne nie zawsze są wiarogodne i dokładne. Dopiero szczegółowa ich analiza, interpretacja i krytyka pozwala na rekonstrukcję przebiegu wydarzeń. Dla okresu przedstawionego w tej książce najważniejsze są następujące prace naukowe:

J. Beloch: *Die attische Politik seit Perikles*, Leipzig 1884

G. Busolt: *Griechische Geschichte*, III 2, Gotha 1902

G. M. Calhoun: *Athenian Clubs*, Roma 1964 (przedruk wyd. Z 1913 r.)

J. Hatzfeld: *Alcibiade*, Paris 1951

F. Jacoby: *Fragmente der griechischen Historiker*, III 1 – 2, Leiden 1954

A. H. M. Jones: *Athenian Democracy*, N. York 1958.